

MASS EFFECT™

ASCENSION

DREW KARPYSHYN

Best-seller sur la liste du *New York Times*
et auteur de *Mass Effect : Révélation*

Une aventure palpitante inspirée du jeu vidéo
de BioWare plusieurs fois récompensé !



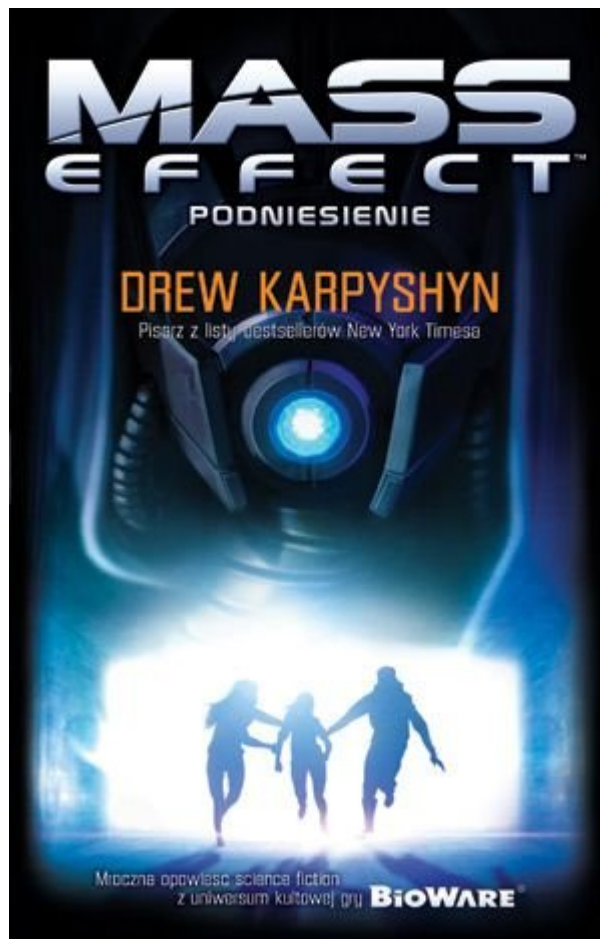
MASS EFFECT™

PODNIESIENIE

DREW KARPYSHYN

Pisarz z listy bestsellerów New York Timesa

Mocne opowieści science fiction
z uniwersum kultowej gry **BIOWARE™**



Spis treści

Cover...

Karta tytułowa

Dedykacja

To druga powieść z uniwersum Mass Effect...

PROLOG

.1.

.2.

.3.

.4.

.5.

.6.

.7.

.8.

.9.

.10.

.11.

.12.

.13.

.14.

.15.

.16.

.17.

.18.

.19.

.20.

.21.

.22.

.23.

.24.

.25.

EPILOG

DREW KARPYSHYN

MASS EFFECT

PODNIESIENIE

(MASS EFFECT: ASCENSION)

Przełożyła: Milena Wójtowicz



fabryka słów

Fabryka Słów: 2010

*Mojej żonie, Jennifer
Nie dałbym rady bez
Twojej nieskończonej miłości i wsparcia.*

To druga powieść z uniwersum Mass Effect i po raz kolejny chcę podziękować całemu zespołowi BioWare Mass Effect za pomoc. Zaszczycem i przywilejem była dla mnie praca z tak niesamowicie utalentowanymi ludźmi. Bez ich kreatywności, ciężkiej pracy, geniuszu i pasji Mass Effect nie mógłby zaistnieć.

PROLOG

Ekran widu migotał jednostajnie w miarę wyświetlania kolejnych ujęć śmierci i zniszczenia, które spowodował atak Sarena na Cytadelę. Ciało poległych w walce gethów i członków Służby Ochrony Cytadeli bezładnie leżących w komnatach Rady. Całych sektorów Prezydium teraz zredukowanych do spalonego, poskręcane metalu. Stopionych i poczerniałych kawałów złomu, niegdyś statków floty Cytadeli, dryfujących w obłoku Mgławicy Węża, niczym pas asteroidów zrodzonych w wyniku krwawej rzezi.

Człowiek Iluzja spoglądał na to wszystko z chłodnym dystansem. Prace nad odbudową i naprawą ogromnej stacji kosmicznej już się rozpoczęły, jednak skutki bitwy były o wiele bardziej dalekosiężne niż widoczne wokół zniszczenia. Od czasu tego strasznego ataku gethów wszystkie najważniejsze sieci medialne całej Galaktyki ani na chwilę nie przestawały pokazywać przerażających, a do niedawna niewyobrażalnych nawet obrazów.

Atak wstrząsnął Przymierzem władającym Galaktyką aż po jego kosmiczny rdzeń i brutalnie odarł je z naiwnego poczucia nietykalności. Cytadela, siedziba Rady i symbol nieugiętej siły i pozycji, niemal padła. Zginęły dziesiątki tysięcy. Cała przestrzeń podlegająca Radzie pogrążona była w żałobie.

Ale tam, gdzie inni widzieli tragedię, Człowiek Iluzja dostrzegł szansę. Wiedział, zapewne lepiej niż ktokolwiek inny, że ludzkość może jeszcze skorzystać z tego, iż Galaktyka boleśnie uświadomiła sobie własną delikatność. To właśnie czyniło go kimś wyjątkowym – wizjonerem.

Kiedyś był taki jak inni. Wraz z innymi mieszkańcami Ziemi podziwiał odkrycie proteańskich ruin na Marsie. Zdumiony oglądał na widokach

wiadomości o pierwszym, brutalnym kontakcie ludzkości z obcymi. Wtedy był przeciętnym człowiekiem z przeciętną pracą i przeciętnym życiem. Miał rodzinę i przyjaciół. Miał nawet imię.

Teraz to wszystko odeszło. Ustąpiło w obliczu sprawy. Stał się Człowiekiem Iluzją, porzuciwszy swoją zwyczajną egzystencję w imię o wiele większego celu. Ludzkość wyrwała się z nieprzyjaznych okowów Ziemi, ale nie odnalazła oblicza Boga. Zamiast niego odkryła kwitnącą galaktyczną społeczność: dwanaście gatunków rozsianych po setkach systemów słonecznych i tysiącach światów. Nowicjusze trafili wprost na międzygwiazdną arenę polityczną, ludzkość musiała się adaptować i ewoluować, jeśli chciała przetrwać.

Przymierze, stanowczo zbyt liczne zbiorowisko przedstawicieli rozmaitych rządów i organizacji militarnych, było instrumentem dawno już stępionym, opornym, spowalnianym przez rozmaite prawa i konwencje i paraliżowanym wręcz naciskami opinii publicznej. Większość czasu zajmowało mu podlizywanie się różnym gatunkom obcych. Przymierze nie było w stanie, bądź też zwyczajnie nie chciało, podejmować trudnych decyzji, które pchnęłyby ludzkość ku jej przeznaczeniu.

Ludzie z Ziemi potrzebowali obrońcy, orędownika. Potrzebowali patriotów i bohaterów gotowych ponieść ofiary, by wznieść ludzkość ponad jej międzygwiazdnych konkurentów. Potrzebowali Cerberusa, a Cerberus nie mógłby istnieć bez Człowieka Iluzji.

Jako wizjoner dobrze to rozumiał. Bez Cerberusa ludzkość była skazana na poddaństwo i służbę u obcych. Jednak niektórzy nazwaliby go przestępcą. Nieetycznym. Niemoralnym. Historia go osądzi, ale na razie on i jego poplecznicy musieli pozostać w ukryciu, w tajemnicy pracując nad realizacją swoich celów.

Obrazy na widzie się zmieniły, teraz pokazywał twarz komandora Sheparda. Shepard, pierwsze ludzkie Widmo, odegrał znaczącą rolę w pokonaniu Sarena i jego gethów... a przynajmniej tak twierdziły oficjalne raporty.

Człowiek Iluzja wciąż się dziwił, jak wiele informacji nigdy do tych raportów nie trafia. Wiedział, że atak był czymś więcej niż napadem zbuntowanego turiańskiego Widma i jego gethów na Radę. Przede wszystkim był tam przecież „Suweren”, wspaniały okręt flagowy Sarena. Widzy utrzymywały, że to wytwór gethów, ale tylko ślepy albo głupi przyjąłby za dobrą monetę ich wyjaśnienia. Jednostka, która zdołała oprzeć się połączonej potędze flot Przymierza i Rady, była zbyt zaawansowana, by być dziełem któregośkolwiek ze znanych gatunków.

Było jasne, że władze nie chcą upubliczniać pewnych spraw. Lękano się zapewne wybuchu paniki, więc przekręcano fakty i rozmywano prawdę. Jednocześnie rozpoczęła się żmudna i długofalowa akcja likwidowania ostatnich stref oporu rebeliantów. Ale Cerberus miał swoich ludzi w Przymierzu. Wysoko postawionych. Z czasem wszelkie szczegóły ataku spłyną do Człowieka Iluzji. Mogło minąć kilka tygodni, może nawet miesiące, nim pozna całą prawdę. Ale mógł poczekać. Był cierpliwy.

Nie mógł zaprzeczyć, że żył w ciekawych czasach. W ciągu ostatniej dekady trzy gatunki zasiadające w Radzie – salarianie, turianie i asari – robiły wszystko, by uniemożliwić ludzkości zyskanie na znaczeniu, zatrzaskując jej przed nosem jedne drzwi za drugimi. Teraz te przeszkody rozpadły się w pył. Siły Cytadeli zostały zdziesiątkowane przez gethy, flota Przymierza stała się najpotężniejszą siłą we wszechświecie. A Rada, której struktura nie zmieniała się od niemal tysiąca lat, została radykalnie przekonstruowana.

Niektórzy wierzyli, że to koniec tyranii triumwiratu obcych i początek niepowstrzymanego rozwoju ludzkości. Jednak Człowiek Iluzja wiedział, że utrzymanie władzy było o wiele trudniejsze niż jej zdobycie. Jakiegokolwiek korzyści polityczne, które Przymierze mogło zyskać w krótkim czasie, były w najlepszym razie chwilowe. Dzień po dniu znaczenie działań Shepada i bohaterstwo floty Przymierza rozmyje się w zbiorowej świadomości Galaktyki. Podziw i wdzięczność rządów obcych powoli zbledną, zastąpione podejrzliwością i urazą. Z czasem obcy odbudują swoje floty. I wreszcie dojdzie do nieuniknionego – obcy spróbują odzyskać władzę i wznieść się wyżej kosztem ludzkości.

Ludzkość zrobiła odważny krok naprzód, ale do celu wciąż było daleko. W walce o dominację nad Galaktyką czekała ich jeszcze niejedna bitwa. Atak na Cytadelę był tylko małym elementem wielkiej układanki, którym Człowiek Iluzja zamierzał zająć się we właściwym czasie. Teraz były pilniejsze sprawy. Jako wizjoner wiedział, że trzeba mieć więcej niż jeden plan. Wiedział, kiedy należy czekać, a kiedy przeć naprzód. A teraz nadszedł czas na wykorzystanie atutu, jaki mieli w Projekcie Podniesienie.

.1.

Kiedys Paul Grayson nie śnił. Kiedy był młody, przesypiał spokojnie całe noce. Ale te niewinne czasy miał dawno za sobą.

Lecieli już od dwóch godzin, jeszcze cztery dzieliły ich od celu. Grayson sprawdził status silników i napędu, potem, po raz czwarty w ciągu ostatniej godziny, potwierdził trasę na ekranach nawigacyjnych. Nie musiał robić wiele więcej. Kiedy statek leciał w nadświetlnej, wszystko było w pełni zautomatyzowane.

Nie śnił każdej nocy, ale niemal co drugiej. Może były to oznaki starzenia się albo skutek uboczny czerwonego piasku, który okazynie zażywał. A może po prostu wyrzuty sumienia. Salarianie mawiali, że umysł, który kryje wiele tajemnic, nie zazna spoczynku.

Grał na zwłokę. Sprawdzał po raz kolejny instrumenty i odczyty, by odwlec nieuniknione. Przyznanie się do własnego strachu i zwlekania pozwoliło mu, a raczej zmusiło go do stawienia czoła sytuacji. Uporania się z nią. Nabrał głęboko powietrza, by wziąć się w garść. Gdy powoli wstawał, serce waliło mu jak młotem. Nie było sensu dłużej zwlekać. Nadszedł czas.

Na pewnym poziomie świadomości zawsze wiedział, kiedy śni. Wszystko przesłaniała dziwna mgła, zasłona, która sprawiała, że fałszywa rzeczywistość była wyblakła i wygłuszona. Jednak przez ten filtr niektóre rzeczy widać było z maksymalną dokładnością, najdrobniejsze detale wciskały się mocno w podświadomość. Dziwaczny kontrast potęgował

jeszcze bardziej surrealizm snów, ale jednocześnie sprawiał, że stawały się bardziej żywe, bardziej intensywne niż świat po przebudzeniu.

Wyściełanym wykładziną korytarzem szedł z kokpitu do kabin pasażerskich. Tam Pel i Keo zajmowali dwa z czterech krzeseł, na przeciwległych rogach stołu. Pel był wielkim mężczyzną o szerokich barkach i oliwkowej cerze. Czarne włosy tworzyły gęste afro, a cienka broda podkreślała linię szczęki. Siedział twarzą do wejścia i kiwał się na krześle w rytm dobiegającej ze słuchawek muzyki. Palcami lekko bębnił o udo, a idealnie przycięte paznokcie ślizgały się po ciemnym materiale eleganckich spodni. Krawat wciąż miał ciasno zawiązany, ale marynarkę rozpiętą, a lustrzane okulary schowane do kieszeni na prawej piersi. Pel przymknął oczy: pochłonął go rytm muzyki – wyglądał na spokojnego, wyluzowanego gościa, co zupełnie nie pasowało do wizerunku jednego z najlepszych agentów ochrony partii Terra Firma.

Keo miała na sobie taki sam garnitur jak jej partner, wyjąwszy krawat. Zupełnie nie pasowała do stereotypu ochroniarza. Była całą stopę niższa od Pela i ważyła może połowę tego, co on, jednak twarde węzły mięśni pozwalały przypuszczać, że nie ucieka przed stosowaniem przemocy.

Trudno było dokładnie określić jej wiek, aczkolwiek Grayson wiedział, że Keo musi mieć co najmniej czterdziestkę. Postęp w terapii genowej i odżywianiu sprawiał, że ludzie około pięćdziesiątki wyglądali tak młodo i zdrowo jak trzydziestolatkowie. Jednak w przypadku Keo jej niezwykle wygląd dodatkowo utrudniał określenie, ile ma lat. Błada skóra miała kredowobiały odcień, co sprawiało, że kobieta przypominała zjawę, zaś srebrne włosy były tak krótkie, że niemal ich nie było.

Mieszane małżeństwa zawierane pomiędzy różnymi ziemskimi grupami etnicznymi w przeciągu ostatnich dwustu lat sprawiły, że tak jasna skóra

stała się rzadkością, i Grayson podejrzewał, że karnacja Keo jest wynikiem niewielkiego braku pigmentu, którego kobieta nigdy nie próbowała wyleczyć... Chociaż możliwe też było, że poddała się rozjaśnianiu skóry w celach kosmetycznych. W końcu bycie widocznym stanowiło jeden z kluczowych aspektów jej pracy: niech ludzie widzą, że pracujesz, zastanowią się wtedy dwa razy, zanim zrobią coś głupiego. Dziwny wygląd Keo z pewnością sprawiał, że wyróżniała się z tłumu mimo skromnej postury.

Spoglądała w inną stronę, ale kiedy Grayson wszedł, odwróciła się do drzwi. Sprawiała wrażenie skupionej i pełnej napięcia, gotowej na wszystko – absolutny kontrast w stosunku do spokoju Pela. W przeciwieństwie do swojego partnera Keo nie była w stanie się odprężyć, nawet w najbardziej prozaicznej sytuacji.

– Co jest? – zapytała, spoglądając na niego podejrzliwie, gdy podszedł bliżej.

Grayson zatrzymał się i unióśł dłonie na wysokość ramion.

– Przyszedłem tylko po coś do picia – zapewnił.

Jego ciało pełne było nerwowego wyczekiwania, swędziały go czubki palców. Ale był ostrożny i nie pozwolił, by targające nim emocje dało się słyszeć w jego głosie.

Ten sen był zbyt znajomy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przeżywał na nowo swoje pierwsze zabójstwo setki, jeśli nie tysiące razy. Oczywiście były inne zadania, inne śmierci. W imię wyższej sprawy odebrał wiele, wiele żyć. Jeśli ludzkość miała przetrwać – zatriumfować nad innymi gatunkami – należało ponieść ofiary. Ale ze wszystkich tych ofiar, ze wszystkich żyć, jakie odebrał, ze wszystkich misji, jakie wykonał, o tej śnił najczęściej.

Upewniwszy się, że pilot nie stanowi bezpośredniego zagrożenia, Keo odwróciła się, opadając na siedzenie, wciąż jednak gotowa wybuchnąć przy cieniu prowokacji. Grayson przeszedł za jej plecami do małej lodówki w rogu kabiny. Przełknął ślinę, gardło miał tak suche, że aż go to zabolalo. Wyobraził sobie, jak Keo zastrzygła uszami, słysząc ten dźwięk.

Kątem oka zobaczył, jak Pel zdejmuje słuchawki i odkłada je na krzesło obok, wstając, by się przeciągnąć.

– Ile jeszcze do lądowania? – zapytał. Ziewnięcie częściowo zniekształciło jego słowa.

– Cztery godziny – odpowiedział Grayson, otwierając lodówkę i zaglądając do środka. Z trudem utrzymywał równy i spokojny oddech.

– Żadnych komplikacji? – zapytał Pel, gdy pilot przeglądał zawartość lodówki.

– Wszystko zgodnie z planem – odparł Grayson, chwytając lewą ręką butelkę wody, a prawą rękojeść długiego, cienkiego ząbkowanego noża, który umieścił w pojemniku z lodem przed rozpoczęciem tej podróży.

Grayson, choć wiedział, że śni, nie mógł w żaden sposób wpłynąć na bieg zdarzeń. Wszystko miało się odbyć jak zwykle, bez zmian. Był uwięziony w roli pasywnego obserwatora, świadka zmuszonego, by patrzył, jak wydarzenia toczą się oryginalnym torem, podczas gdy podświadomość odmawiała mu prawa do zmiany jego historii.

– Chyba zajrzę do śpiącej królowny – rzucił nonszalancko Pel, dając Graysonowi zakodowany sygnał do działania. Nie było już odwrotu.

Na pokładzie przebywał jeszcze tylko jeden pasażer, Claude Menneau, jeden z najwyższych postawionych członków proludzkiej partii politycznej Terra Firma. Był osobistością bogatą i wpływową, charyzmatyczną, choć

niekoniecznie lubianą postacią publiczną, kimś, kto mógł sobie pozwolić na własną jednostkę międzygwiazdową z osobistym pilotem i dwoma pełnoetatowymi ochroniarzami towarzyszącymi mu podczas częstych podróży.

Jak zawsze Menneau tuż po starcie zamknął się w kajucie dla VIP-ów. Odpoczywał tam i przygotowywał się do swojego wystąpienia. Za kilka godzin zgodnie z planem wylądują w cywilnym porcie na Shanxi, gdzie Menneau będzie przemawiał do rozentuzjasmowanego tłumu zwolenników Terra Firmy.

Po skandalu z Nashan Stellar Dynamics Inez Simmons została zmuszona do ustąpienia ze stanowiska przywódcy partii. Było jasne, że przejmie je albo Menneau, albo niejaki Charles Saracino. Obaj kandydaci odbywali częste podróże do ludzkich kolonii, walcząc o poparcie.

Aktualnie Menneau prowadził w sondażach o całe trzy procent. Ale wszystko miało się zmienić. Człowiek Iluzja chciał, by Saracino wygrał, a Człowiek Iluzja zawsze dostawał to, czego chciał.

Grayson wyprostował się, chowając nóż za butelką wody, na wypadek gdyby Keo spojrzała w jego stronę. Na szczęście kobieta pozostała odwrócona, skupiając uwagę na plecach Pela, który właśnie długimi, spokojnymi krokami zmierzał ku kajucie VIP-a znajdującej się na rufie.

Chłód butelki z wodą sprawił, że lewa dłoń Graysona była zziębnięta i wilgotna. Prawa też była wilgotna – rozgrzana i spocona od ściskania rękojeści broni. Grayson zrobił krok, stając kilka centymetrów za Keo. Jej nagi kark był obnażony i wystawiony na cios.

Pelowi nie udałooby się tak do niej zbliżyć. Nie bez wzbudzania podejrzeń i wzmożonej czujności. Mimo że od prawie sześciu miesięcy pracowali razem jako ochroniarze Menneau, Keo wciąż nie do końca ufała partnerowi. Pel był byłym najemnikiem, profesjonalnym zabójcą z

podejrzaną przeszłością. Keo zawsze miała na niego oko, na wszelki wypadek. Dlatego zadanie musiał wykonać Grayson. Keo mu nie ufała – nie ufała nikomu – ale nie obserwowała go tak czujnie jak Pela.

Trzymał broń gotową do ciosu, wziął głęboki oddech i pchnął pod kątem, w miękkie ciało tuż za uchem Keo. To powinno być czyste zabójstwo. Ale chwila wahania dała Keo szansę na wycucie ataku, zanim ten nastąpił. Posłuszna instynktowi przetrwania wyrobionemu podczas niezliczonych misji rzuciła się naprzód, odwracając się ku napastnikowi, w chwili gdy ostrze sięgało celu. Niesamowity refleks ocalił ją od natychmiastowej śmierci. Nóż, zamiast wbić się prosto w mózg, trafił w szyję i ugrzązł.

Grayson poczuł, jak rękojeść wyslizguje się ze spoczonej dłoni, gdy zatoczył się w tył, na ścianę obok małej lodówki. Nie miał gdzie uciec. Keo poderwała się już na nogi, spoglądała na niego z drugiej strony krzesła. W jej oczach widział swoją śmierć. Bez przewagi zaskoczenia nie miał szans przeciwko jej doświadczeniu. Nie miał już nawet broni: nóż wystawał dziwnie z karku Keo, rękojeść lekko drżała.

Nie sięgnęła po pistolet w kaburze na biodrze – nie miała zamiaru ryzykować strzału na statku podczas lotu – wyszarpnęła zza pasa krótki, morderczo wyglądający nóż i przeskoczyła przez krzesło oddzielające ją od Graysona.

To był decydujący błąd. Grayson spartaczył szybkie zabójstwo, ujawniając swój brak doświadczenia. Dlatego Keo go nie doceniła; ruszyła zbyt agresywnie, próbując szybko skończyć starcie, zamiast trzymać pozycję albo przejść ostrożnie naokoło krzesła. Jej błąd dał Graysonowi chwilę potrzebną do odzyskania przewagi.

Gdy tylko oderwała się od ziemi, Grayson zanurkował naprzód. W powietrzu Keo nie mogła wstrzymać ruchu ani zmienić jego kierunku. Zderzyli się. Grayson poczuł, jak nóż przecina jego lewy biceps, ale w

zwarcia drobna kobieta nie mogła wystarczająco się zamachnąć i rana była powierzchowna.

Kopnęła go i próbowała się odtoczyć, by odzyskać przewagę, jaką dawały jej szybkość i refleks. Grayson nie próbował jej zatrzymać. Zamiast tego wyciągnął rękę i chwycił rękojeść noża wciąż wbitego w jej szyję. Wyciągnął go jednym długim, płynnym ruchem, podczas gdy Keo stawała na nogi.

Kiedy klinga wysunęła się z karku Keo, wytrysnął z niego szkarłatny gejzer. Ząbkowane ostrze rozcięło tętnicę. Keo ledwie miała dość czasu na to, by skrzywić się w grymasie zaskoczenia i niedowierzania, nim nagły spadek ciśnienia krwi w mózgu pozbawił ją przytomności. Jej bezwładne ciało runęło u stóp Graysona.

Strumień ciepłej, lepkiej substancji obryzgał mu twarz i dłonie. Grayson wzdrygnął się, parskając z obrzydzenia, i odsunął pospiesznie, tak że znowu znalazł się pod ścianą obok lodówki. Krew lała się z dziury w gardle Keo, strumień słabł i wzmagał się w rytm uderzeń jej serca. Gdy kilka sekund później mięsień się poddał, pulsująca rzeka zmieniła się w powolną strugę.

Niecałą minutę później Pel wrócił z pokoju na rufie. Widząc krew pokrywającą Graysona, uniósł brew, ale nic nie powiedział. Pewnym krokiem podszedł do ciała Keo i sprawdził jej puls, omijając kałuże krwi, tak by nie poplamić butów. Upewniwszy się, że kobieta nie żyje, wstał i usiadł na krześle, które zajmował wcześniej.

– Dobra robota, Zabójco – powiedział z lekką kpinką w głosie.

Grayson wciąż stał pod ścianą. Niczym zahipnotyzowany patrzył, jak życie Keo wypływa z niej wraz z krwią.

– Menneau nie żyje? – zapytał. Głupio, ale adrenalina wywołana pierwszym morderstwem już odpłynęła, pozostawiając go z poczuciem spowolnienia i otępienia.

Pel skinął głową.

– Ale nie w tak brudny sposób jak ona. Wolę, gdy moje trupy są schludne. – Sięgnął po leżące na krześle obok słuchawki.

– Powinniśmy posprzątać?

– Nie ma po co – powiedział Pel, nakładając słuchawki. – Jak tylko spotkamy się z zespołem przejmującym, pošlę ten statek w najbliższe słońce. Nie zapomnij o swoim trofeum – dodał olbrzym, zamykając oczy. Jego ciało zaczęło kiwać się w rytm muzyki.

Grayson z trudem przełknął ślinę, a potem zmusił się do działania. Oderwał się od ściany i podszedł do ciała Keo: Leżała na boku, po pistolet zamocowany na biodrze łatwo było sięgnąć. Wyciągnął drżącą rękę w stronę broni...

Sen zawsze kończył się dokładnie w tym samym miejscu. I za każdym razem Grayson budził się z mocno bijącym sercem, napiętymi mięśniami i spoconymi dłońmi, jakby jego ciało przeżywało to wszystko razem z podświadomością.

Nie wiedział wtedy – i nie wiedział tego teraz – dlaczego Menneau musiał zginąć. Wiedział tylko, że w jakiś sposób jego śmierć służyła większemu dobru. I to wystarczało. Był oddany sprawie, całkowicie lojalny wobec Cerberusa i jego przywódcy. Człowiek Iluzja wydał mu rozkaz, a Grayson wykonał go bez wahania.

Poza błędem, jakim było dopuszczenie do tego, by Keo przeżyła początkowy cios, pierwsza misja Graysona była niewątpliwie sukcesem. Zespół, który miał ich odebrać, czekał w wyznaczonym punkcie i statek wraz z ciałami został usunięty. Zniknięcie Menneau i jego załogi wzbudziło podejrzenia i spowodowało powstanie wielu teorii, ale nie było dowodów na poparcie żadnej z nich. A po zniknięciu głównego rywala Charles

Saracino sięgnął po przywództwo Terra Firmy... chociaż można było tylko zgadywać, jaką rolę odegrał w dalekosiężnych planach Człowieka Iluzji.

Działanie Graysona wywarło duże wrażenie na jego zwierzchnikach z organizacji Cerberus i podczas kolejnych dziesięciu lat wykonał wiele misji. Ale to wszystko dobiegło końca, gdy Gillian została przyjęta do Projektu Podniesienie.

Nie lubił myśleć o Gillian. Nie tak, nie sam w mieszkaniu, otoczony przez duszącą ciemność. Wypchnął jej twarz z myśli i obrócił się na bok, licząc na to, że znowu zaśnie. Zesztywniał, usłyszawszy szmer zza drzwi sypialni. Nadstawił uszu i usłyszał głosy dochodzące z pokoju dziennego. Możliwe, że idąc do łóżka, zostawił włączony ekran, zbyt napiaszczony, by go wyłączyć. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Bezszelestnie wstał z łóżka, zostawiając splątana pościel. Miał na sobie tylko bokserki i gdy ostrożnie otwierał szufladę szafki nocnej i wyciągał swój pistolet, jego ciało drżało z zimna. *Pistolet Keo*, napłynęła myśl, niosąc ze sobą tamto wspomnienie.

Uzbrojony, cicho przemknął przez sypialnię i ruszył w głąb mieszkania. Wszędzie było ciemno, widział jedynie łagodny blask widu płynący się z pokoju dziennego. Przemykał pod ścianami, skulony, by stanowić jak najmniejszy cel, na wypadek gdyby intruz zamierzał strzelać.

– Odłóż broń, Zabójco – usłyszał głos Pela. – To tylko ja.

Przeklinając pod nosem, Grayson wyprostował się i wszedł do pokoju dziennego, by spotkać się z nieproszonym gościem.

Pel siedział na wypchanej sofie przed widem, oglądał wiadomości. Nadal był potężny i masywny, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat przybrał na wadze. Nie wyglądał teraz już na stuprocentowego twardziela, ale na kogoś, kto bez umiaru korzysta z luksusów życia.

– Jezu, wyglądasz koszmarne – zauważył, gdy Grayson wszedł do pokoju. – Przestań wydawać forszę na czerwony piasek i od czasu do czasu kup sobie coś porządnego do żarcia.

Mówiąc to, szturchnął stopą mały stolik do kawy stojący na środku pokoju. Grayson był zbyt naćpany, by go uprzątnąć przed pójściem spać – lusterko, żyletka i mała paczuszka czerwonego piasku leżały na widoku.

– Pomaga mi zasnąć – mruknął.

– Wciąż masz koszmary? – zapytał Pel. W jego tonie pobrzmiwała drwina.

– Sny – odpowiedział Grayson. – O Keo.

– Też o niej śniłem – przyznał z krzywym uśmiechem Pel. – Zawsze się zastanawiałem, jaka by była w łóżku.

Grayson rzucił pistolet na stół, na którym leżały narkotyki, i usiadł na fotelu naprzeciwko kanapy. Nie był pewien, czy Pel z niego żartuje, czy nie. Z Pelem nigdy nie było wiadomo.

Spojrzał na wid. Pokazywali nowo wyremontowaną Cytadelę. Dwa miesiące temu atak zdominował wszystkie serwisy i świadomość każdej istoty żyjącej w przestrzeni Rady. Teraz jednak przerażenie i szok powoli bladły. Wracała normalność, powoli, ale nieuchronnie podpełzając z każdej strony. Obcy i ludzie powracali do rutyny: praca, szkoła, przyjaciele, rodzina. Zwykli obywatele żyli dalej.

Atak trzymał się jeszcze tylko w mediach, ale teraz już jedynie specjaliści i politycy analizowali wydarzenia i rozbierali je na czynniki pierwsze. Zespół politycznych ekspertów – ambasador asari, voluski dyplomata i emerytowany salariański agent wywiadu – pojawił się na ekranie widu, debatując nad stanowiskami politycznymi ludzkich kandydatów do Rady.

– Myślisz, że Człowiek ma jakiś wpływ na to, kogo wybiorą? – Grayson skinął głową w stronę ekranu.

– Może – odparł niejasno Pel. – Nie byłby to pierwszy raz, kiedy angażuje się w politykę.

– Zastanawiasz się czasem, czemu chciał śmierci Menneau? – pytanie padło, nim Grayson uświadomił sobie, że je zadaje.

Pel obojętnie wzruszył ramionami, choć w jego spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość.

– Mógł mieć setki powodów. Nie zadaję takich pytań. I ty też nie powinieneś.

– Sądzisz, że jesteśmy mu winni ślepe posłuszeństwo?

– Sądzę, że już po sprawie i nic tego nie zmieni. Ludzie tacy jak my nie mogą sobie pozwolić na oglądanie się w przeszłość. To sprawia, że stajemy się nieuważni.

– Panuję nad wszystkim – zapewnił go Grayson.

– Oczywiście. – Pel ruchem głowy wskazał czerwony piasek na stole.

– Po prostu mi powiedz, dlaczego tu jesteś.

– Człowiek chce, żeby dziewczyna dostała kolejną porcję leków.

– Ona ma imię – mruknął Grayson. – Gillian.

Pel usiadł prosto, a potem pochylił się do przodu. Ręce oparł na biodrach i z irytacją pokręcił głową.

– Nie chcę znać jej imienia. Imiona sprawiają, że sprawy stają się osobiste. A sprawy osobiste potrafią się skomplikować. Ona nie jest osobą. Jest tylko zewnętrznym zasobem. Tak będzie łatwiej, kiedy Człowiek Iluzja uzna, że należy ją usunąć.

– On tego nie zechce – sprzeciwił się Grayson. – Jest zbyt cenna.

– Na razie – warknął Pel. – Ale z czasem ktoś może uznać, że dowiedzą się więcej, jeśli rozetną jej czaszkę i pogrzebią w mózgu. A wtedy, Zabójco,

co się stanie?

Wizja zmasakrowanego ciała Gillian leżącego na kozetce pojawiła się w umyśle Graysona, ale nie zamierzał dać się złapać na przynętę Pela.

Poza tym to się nigdy nie stanie. Gillian jest im potrzebna.

– Jestem oddany sprawie – powiedział głośno, unikając kłótni z Pelem. – Zrobię to, co będzie konieczne.

– Dobrze to słyszeć – odrzekł Pel. – Nie chciałbym myśleć, że zmiękłeś.

– Po to tu przyszedłeś? – chciał wiedzieć Grayson. – Przysłał cię tu aż z Układów Terminusa, żebyś sprawdził, co ze mną?

– Już mi nie podlegasz, Zabójco – zapewnił go Pel. – Tylko przejeżdżałem. Musiałem naprostować pewne sprawy na Ziemi, więc zgłosiłem się na ochotnika, żeby w drodze powrotnej dostarczyć zapasy.

Olbrzym wyciągnął z kieszeni płaszcza małą fiolkę przejrzystego płynu i rzucił ją Graysonowi, który złapał ją sprawnie jedną ręką. Na fiolce nie było żadnej nalepki, nic nie wskazywało na to, jak działała zawartość ani skąd pochodziła.

Wykonawszy zadanie, Pel wstał z kanapy i odwrócił się.

– Zgłosisz czerwony piasek? – zawołał Grayson, gdy jego gość był już przy drzwiach.

– Mnie to nie dotyczy – odparł Pel, nie odwróciwszy się. – Jeśli o mnie chodzi, możesz ćpać co noc. Muszę się spotkać z kontaktem na Omedze. Jutro o tej porze będę brodził po pachy w kosmitach.

– To część mojej przykrywki – powiedział asekuracyjnie Grayson. – Pasuje do mojej postaci. Zaniepokojony ojciec.

Pel przesunął dłonią przed panelem drzwi wyjściowych, a te otworzyły się.

– Jak uważasz, stary. To twoje zadanie.

Wyszedł na korytarz, ale odwrócił się jeszcze, by na pożegnanie rzucić ostrzeżenie:

– Zabójco, nie stawaj się nieuważny. Nie znoszę sprzątać po kimś bałaganu.

Drzwi zamknęły się w chwili, gdy wygłosił ostatnie słowo, uniemożliwiając Graysonowi odpowiedź.

– Sukinsyn, zawsze śmieje się ostatni – mruknął.

Z parsknięciem wstał z krzesła i postawił fiolkę na małym stoliku obok paczki z czerwonym piaskiem, a potem niechętnie wrócił do łóżka. Na szczęście jedyne sny, jakie jeszcze miał tej nocy, dotyczyły córki.

.2.

Kahlee Sanders pewnymi, szybkimi krokami przemierzała korytarze Akademii Jona Grissoma. Stacja kosmiczna zbudowana siedem lat wcześniej na orbicie wokół ludzkiej kolonii Elizjum dostała imię po kontradmirałe Jonie Grissomie, pierwszym człowieku, który podróżował przez prędkość masy, i jednym z najbardziej podziwianych i szanowanych żywych bohaterów.

Który, tak się składało, był też ojcem Kahlee.

Jej buty z obcasem rozsądnej, centymetrowej wysokości stukały cicho, gdy przemierzała korytarze dormitorium, a kitel laboratoryjny powiewał lekko przy każdym kroku. Była już prawie godzina po kolacji i uczniowie byli w swoich pokojach, ucząc się i przygotowując do jutrzejszych zajęć. Większość miała zamknięte drzwi, ale kilkoro wołało zostawiać je otwarte i gdy przechodziła, podnosili głowy znad swoich e-booków i komputerów, zaalarmowani odgłosem kroków. Niektórzy uśmiechali się i kiwali na powitanie głowami. Kilkoro młodszych zamachało do niej entuzjastycznie. Każdemu uprzejmie odpowiadała.

Tylko garstka ludzi wiedziała, że Jon Grissom był jej ojcem, pokrewieństwo nie miało nic wspólnego z pozycją, jaką Kahlee zajmowała w Akademii. Rzadko widywała ojca, ostatni raz rozmawiała z nim ponad rok temu. A ta rozmowa, tak jak każda poprzednia, skończyła się kłótnią. Jej ojca trudno było kochać.

Grissom dobiegał siedemdziesiątki i w przeciwieństwie do większości korzystającej z dobrodziejstw rozwiniętej medycyny wyglądał na swoje lata. Kahlee przekroczyła czterdziesiątkę, ale wyglądała na młodszą o dziesięć lat. Przeciętne wzrostu i budowy, była wystarczająco wysportowana, by

poruszać się z młodzieńczą sprężystością. Skórę wciąż miała gładką, nie licząc kilku zmarszczek w kącikach oczu, które pojawiały się, gdy się śmiała. Włosy koloru blond, przetykane piaskowymi pasmami, sięgały ramion. Przez co najmniej kolejne trzydzieści lat nie musiała martwić się siwizną.

Za to jej ojciec wyglądał staro. Jego umysł – i język – wciąż były sprawne i ostre jak nóż, ale ciało stawało się suche i pomarszczone. Skóra szorstka i ciężka, rysy rozmyte i zapadnięte, twarz porysowana zmarszczkami minionych dekad, pełnych presji, jaką niosło za sobą życie żywego symbolu. Włosy Grissoma już niemal całkiem zbieleły, poruszał się powoli i z namysłem, jak ktoś bardzo stary, a nawet zaczynał się garbić.

Widząc takiego Grissoma, trudno było sobie wyobrazić, że to właśnie jest wielki bohater, którym zachwycaly się media i książki historyczne. Kahlee nie mogła się pozbyć wrażenia, że to wszystko fasada, którą Grissom wznosił, by trzymać innych na dystans. Nie chciał swojej sławy, nie chciał być symbolem Ziemi czy Przymierza. Odmówił przybycia na konsekrację Akademii Jona Grissoma i w ciągu ostatnich siedmiu lat odrzucił dziesiątki zaproszeń od zarządu, mimo że obiekt unosił się na orbicie planety, na której zamieszkał.

Zapewne tak jest najlepiej, pomyślała Kahlee. Lepiej, żeby ludzie pamiętali go takim, jakim był przed laty. Tamten Grissom bardziej nadawał się na symbol szlachetności i odwagi niż ten obecny, mizantropiczny stary drań, którym się stał. Poza tym w Akademii miała pełne ręce roboty i bez użerania się z własnym ojcem.

U celu porzuciła te rozważania. Zapukała do zamkniętych drzwi.

– Proszę – zawołał ponuro młody chłopięcy głos i chwilę później drzwi się otworzyły.

Nick leżał na plecach na łóżku, gapiąc się z niechęcią w sufit. Miał dwanaście lat, choć wyglądał na mniej. Mimo to miał w sobie coś – podświadomie wyczuwalną aurę arogancji i okrucieństwa – od razu było widać, że to prześladowca raczej niż bezwolna ofiara.

Kahlee weszła do środka, a drzwi zasunęły się za nią. Nick uparcie patrzył w przestrzeń, nie przyjmował do wiadomości obecności gościa. Szkolny komputer, wyłączony i ignorowany, leżał na małym biurku w kącie pokoju. Było jasne, że chłopak się dąsał.

– Nick, co się dzieje? – zapytała, podchodząc, by usiąść na skraju łóżka.

– Hendel dał mi szlaban na trzy tygodnie! – wykrzyknął, siadając nagle. Na jego twarzy malowały się wściekłość i szczere oburzenie. – Nie pozwala mi nawet grać w sieci!

Uczniowie Akademii Grissoma mieli świetne warunki, ale kiedy źle się zachowywali, odbierano im pewne przywileje – dostęp do gier w extranecie, oglądanie widów w pokojach, słuchanie muzyki. Nick miał w tym zakresie spore doświadczenie.

– Trzy tygodnie to wieczność! – protestował. – To kompletnie niesprawiedliwe!

– Trzy tygodnie to długo – zgodziła się Kahlee, poważnie kiwając głową i starając się za wszelką cenę powstrzymać uśmiech. – Co zrobiłeś?

– Nic! – Po chwili bardzo znaczącej ciszy zaczął mówić dalej: – Ja tylko... tak jakby... „popchnąłem” Sessauna.

Kahlee z potępieniem pokręciła głową. Po rozbawieniu nie został nawet ślad.

– Nick, wiesz, że tego nie wolno robić – powiedziała surowo.

Uczniowie Akademii Grissoma byli w jakiś sposób wyjątkowi: geniusze matematyczni i techniczni, genialni artyści, muzycy i kompozytorzy światowej klasy. Ale Kahlee zajmowała się tylko tymi biorącymi udział w

Projekcie Podniesienie – programie mającym pomóc dzieciom ze skłonnościami biotycznymi zmaksymalizować ich potencjał. Kiedy dopasowano im mikroskopijne wzmacniacze do systemu nerwowego, biotyicy mogli wykorzystywać wytwarzane w mózgu impulsy elektromagnetyczne do tworzenia pól efektu masy. Dzięki latom szkoleń i technologii biowspierającej te pola mogły stać się na tyle silne, by zmienić swoje fizyczne otoczenie. Potężny biotyik mógł unosić i rzucać przedmioty, zatrzymywać je w miejscu, a nawet zniszczyć wyłącznie za pomocą siły umysłu. Biorąc pod uwagę, jaki potencjał posiadali uczniowie, nie było niczym dziwnym, że korzystanie z mocy bez nadzoru było im surowo zakazane.

– Zrobiłeś mu krzywdę?

– Małą – przyznał ponuro Nick. – Uderzył się w kolano, kiedy go przewróciłem. Nic wielkiego.

– To jest coś wielkiego – upierała się Kahlee. – Nie możesz używać biotyki na innych dzieciach, Nick. Wiesz o tym!

Tak jak wszyscy uczniowie z grupy Projektu Podniesienie Nick przeszedł operację implantacji ponad rok wcześniej. Większość dzieci wciąż walczyła o dostęp do nowo uzyskanych możliwości, ćwicząc i ucząc się, jak skoordynować wzmacniacze z własnym układem biologicznym. W ciągu pierwszych dwóch lat większość z nich ledwie dawała radę podnieść długopis na kilka centymetrów.

Nick jednak uczył się szybko. Wstępne testy wskazywały, że większość jego kolegów w ciągu kolejnych lat z pewnością go dogoni, kilku nawet mogło go przerosnąć. Ale w chwili obecnej był o wiele potężniejszy niż jego rówieśnicy... Wystarczająco potężny, by powalić dwunastolatka.

– To on zaczął – bronił się Nick. – Nabijał się z moich butów. Więc go po prostu „popchnąłem”. Nic nie poradzę na to, że jestem dobry z biotyki!

Kahlee westchnęła. Podejście Nicka było całkowicie normalne i całkowicie nie do zaakceptowania. Projekt Podniesienie miał dwa główne cele: pracę z osobami o zdolnościach biotycznych w ramach próby zmaksymalizowania ludzkiego potencjału w tej dziedzinie i, co jej zdaniem było ważniejsze, pomoc biotykom w zintegrowaniu się z tak zwanym normalnym społeczeństwem. Studentów uczono nie tylko technik biotycznych, ale też przekazywano im zestaw filozoficznych i moralnych reguł, które miały im pomóc zrozumieć obowiązki i odpowiedzialność, jakie niosły ze sobą ich niezwykle zdolności.

Było bardzo ważne, żeby dzieci nie wyrobiły sobie poczucia, że mają do czegoś prawo albo że są lepsze od innych ze względu na swoje zdolności. Oczywiście ta lekcja była jedną z najtrudniejszych.

– Sshaun jest większy od ciebie, prawda? – zapytała po chwili namysłu Kahlee.

– Wszyscy chłopcy są ode mnie więksi – wymamrotał Nick, krzyżując nogi. Pochylił się naprzód i oparł łokcie na łóżku, a potem wsparł podbródek na dłoniach z niezwykle giętkością, tak charakterystyczną dla dzieci.

– Czy zanim założono ci implanty, zaczepiał cię? Popychał cię dlatego, że był od ciebie większy?

– Nie. – Nick wywrócił oczami, czując, do czego zmierza ta rozmowa. – To byłoby złe – dodał z obowiązku, wiedząc, że to właśnie chciała usłyszeć.

– To, że jesteś większy, silniejszy czy lepszy w biotyce, nie oznacza, że możesz robić, co ci się podoba

– powiedziała Kahlee, wiedząc, że chłopiec nie słucha jej uważnie. Miała jednak nadzieję, iż powtarzanie w kółko tego samego któregoś dnia sprawi, że słowa do niego trafią. – Masz niezwykle dar, ale to nie oznacza, że można krzywdzić innych.

– Wiem – przyznał chłopiec. – Ale to był w zasadzie przypadek. I przeprasiłem.

– Przeprosiny nie zawsze wystarczą – odparła Kahlee. – Dlatego Hendel dał ci szlaban.

– Ale trzy tygodnie to tak dłuugo!

Kahlee wzruszyła ramionami.

– Hendel był żołnierzem. Wierzy w dyscyplinę. A teraz sprawdźmy twoje odczyty.

Chłopiec, wciąż opierając podbródek na dłoniach, pochylił głowę, odsłaniając kark. Kahlee ostrożnie dotknęła go tuż ponad kołnierzem, sztywniejąc, gdy mała iskra przepłynęła po opuszkach jej palców. Nick wzdrygnął się lekko, choć był do tego przyzwyczajony. Biotycy często doznawali małych, gwałtownych wyładowań elektrycznych: ich ciała były naturalnie statyczne, jakby właśnie przeszli po dywanie w wełnianych skarpetkach.

Kciukiem i palcem wskazującym złapała skórę na jego karku, a prawą ręką wyciągnęła z kieszeni fartucha małą igłę. Na jej łebku znajdował się małe okrągły transponder.

– Gotów? – upewniła się.

– Gotów – odpowiedział przez zaciśnięte zęby Nick. Kahlee pewnie wsunęła igłę pomiędzy jego dwa kręgi.

Ciało chłopca zeszywniało, jęknął, ale zaraz się odprężył. Kobieta wyciągnęła omniklucz z drugiej kieszeni i sprawdziła odczyty, by mieć pewność, że dane Nicka są przekazywane bez problemów.

– Pani też była żołnierzem? – zapytał wciąż pochylony Nick.

Kahlee zamruła zaskoczona. Akademia Grissoma była przedsięwzięciem Przymierza i cywilów, finansowanym w dużym zakresie przez Przymierze. Jednak strukturą przypominała raczej szkołę z internatem

niż akademię wojskową. Rodzice mogli w każdej chwili odwiedzić dzieci albo zakończyć ich szkolenie, nie podając powodu. Ochrona, opieka i wspomaganie były zapewnione przez umundurowany personel wojskowy, ale większość instruktorów, badaczy i akademików była cywilami. To było ważne zwłaszcza w przypadku Projektu Podniesienie, ponieważ pomagało rozwiązać podejrzenia, że Przymierze szkoli biotycznych superżołnierzy.

– Byłam w Przymierzu – przyznała Kahlee. – Jestem teraz na emeryturze.

Kahlee, genialna programistka z talentem do syntetycznych i sztucznych inteligencji, zaciągnęła się w wieku dwudziestu dwóch lat, krótko po śmierci matki. Czternaście lat pracowała nad różnymi ważnymi projektami ochrony dla Przymierza, potem wróciła do cywilnego życia. Przez kolejne kilka lat była doradcą-freelancerem, ugruntowując swoją reputację jednego z najlepszych ekspertów w branży. Pięć lat temu zarząd Akademii zaoferował jej lukratywny kontrakt w Projekcie Podniesienie.

– Domyśliłem się, że była pani żołnierzem – powiedział z lekką dumą w głosie Nick. – Wygląda pani na twardzielkę, gotową się bić w każdej chwili. Jak Hendel.

Kahlee aż się wzdrygnęła. Odbyla podstawowe szkolenie wojskowe, było obowiązkowe dla pracowników Przymierza. Ale nie dostrzegала w sobie podobieństwa do zaprawionego w bojach weterana takiego jak Hendel. Większą część służby spędziła w laboratorium badawczym otoczona komputerami i innymi naukowcami, a nie na polu walki.

Poza okresem, kiedy pomagała Andersonowi zabić krogańskiego wodza-w-boju, przypomniiał cienki głosik w jej umyśle. Próbowała odepchnąć to wspomnienie. Nie lubiła myśleć o Sidonie i o wszystkim, co stało się potem: zbyt wielu straciła tam przyjaciół. Ale gdy kilka miesięcy temu twarz Sarena nagle zaczęła się pojawiać na widach, ciężko było

zapomnieć. Za każdym razem gdy widziała „Suwerena” atakującego Cytadelę, zadawała sobie pytanie, czy istniał jakiś związek między nielegalnymi badaniami doktora Shu Qiana na Sidonie a ogromnym statkiem obcych, którego Saren użył, by poprowadzić atak gethów.

– Panno Sanders? Chyba już koniec.

Głos chłopca przywołał ją do rzeczywistości. Transmitter wbity w jego szyję pikał cicho.

– Przepraszam, Nick – mruknęła, wyciągając igłę.

Dzieciak usiadł prosto, rozmasowując kark.

Kahlee schowała igłę, potem kolejny raz sprawdziła odczyty na omnikluczu, weryfikując potrzebne dane. Na tym głównie polegała jej praca w Projekcie Podniesienie. Najnowsze implanty biotyczne, nazywane konfiguracją L4, były wyposażone w sieć chipów z wirtualną inteligencją. Chipy WI monitorowały aktywność fal mózgowych biotyka, ucząc się złożonych wzorów myśli nosiciela i adaptując swoje działanie tak, by zmaksymalizować jego potencjał biotyczny.

Analizując dane zebrane w chipach, Kahlee i jej zespół mogli dokonać subtelnych dostosowujących zmian w programie WI koordynującym wzmacniacze jednostki, osiągając dzięki temu jeszcze większy postęp. Jak na razie testy wykazały wzrost zdolności biotycznych o dziesięć do piętnastu procent w stosunku do starszej konfiguracji L3 w dziewięćdziesięciu procentach przypadków, i żadnych widocznych efektów ubocznych. Ale, jak większość badań w obszarze biotyki, dopiero próbowali określać granice możliwości.

Nick znowu położył się na plecach.

– Staję się coraz silniejszy, prawda? – powiedział miękko, uśmiechając się delikatnie.

– Nie mogę tego określić, tylko patrząc na odczyty – odparła, unikając odpowiedzi na pytanie. – Muszę wrócić do laboratorium i wszystko sprawdzić.

– Myślę, że staję się coraz silniejszy – powiedział pewnie chłopiec, zamykając oczy.

Odrobinę zaniepokojona, poklepała go delikatnie po nodze i wstała.

– Odpocznij – powiedziała, zostawiając go samego w pokoju.

.3.

Gdy drzwi do pokoju Nicka zamknęły się za jej plecami, Kahlee zauważyła idącego korytarzem Hendla w jego typowym stroju: brązowych spodniach i obcisłej czarnej koszulce z długimi rękawami. Był wysoki, mierzył trochę ponad sześć stóp i miał masywny kark, klatkę piersiową i ramiona. Starannie przystrzyżona broda i wąsy zakrywały podbródek i górną wargę, ale policzki pozostawały gładko wygolone. Rudobrązowe włosy i imię pozwalały przypuszczać, że Hendel pochodził ze Skandynawii. Jednak nazwisko: Mitra, wyraźnie wskazywało na mieszane pochodzenie. Tak naprawdę urodził się na przedmieściach Nowej Kalkuty, w jednej z najbogatszych części Ziemi.

Kahlee zakładała, że jego rodzice wciąż tam mieszkają, choć nie byli częścią życia Hendla. Jej dysfunkcyjny związek z Grissomem był wręcz podręcznikowo poprawny w porównaniu z relacjami Hendla z rodziną. Nie rozmawiał z nimi od ponad dwudziestu lat, odkąd oddali go na Szkolenie Przystosowania i Opanowania Biotycznego, gdy był nastolatkiem. Program SPiOB, w przeciwieństwie do Projektu Podniesienie, prowadzono w ściśle tajnej jednostce wojskowej, okazał się zresztą przygnębiającą porażką i został zamknięty. Twórcy programu chcieli, by instruktorzy mogli działać nieograniczani wpływem rodziny, więc starali się jak mogli przekonać rodziców, że biotycy są niebezpieczni. Próbowali wzbudzić w nich poczucie wstydu, oddalić od siebie uczniów i ich rodziny. W przypadku Hendla udało im się to wyśmienicie.

Szedł ku niej pewnie i szybko, długimi krokami. Ignorował dzieci wyglądające ciekawie z pokojów, które mijał. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w podłogę.

To jest właśnie ktoś, kto chodzi jak żołnierz, pomyślała Kahlee.

– Hej! – zawołała zaskoczona, gdy minął ją, najwidoczniej w ogóle nie zauważywszy. – Patrz, gdzie idziesz!

– Co? – Zatrzymał się gwałtownie i obejrzał przez ramię. – Przepraszam. Śpieszę się.

– Przejdę się z tobą – zaproponowała.

Hendel ruszył, Kahlee również. Co chwila musiała podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku.

– Byłaś u Nicka? – zapytał.

– Dąsa się – odparła. – Myśli, że jesteś niesprawiedliwy.

– Ma szczęście – burknął Hendel. – Kiedy ja chodziłem do szkoły, za takie coś dostawało się po głowie na tyle mocno, że krew szła z uszu. Teraz mamy tylko szlabany i pogadanki. Nie dziw, że połowa z tych dzieciaków wyrośnie na aroganckich, zadzierających nosa buntowników.

– To chyba raczej wynika z bycia nastolatkiem, a nie biotykiem – zauważyła Kahlee, uśmiechając się lekko. Słowa Hendla były ostre, ale wiedziała, że nigdy nie pozwoliłby, żeby dzieciom, z którymi pracował, stała się krzywda.

– Ktoś musi tego dzieciaka naprostować – ostrzegł Hendel. – Albo skończy jako jeden z tych facetów, którzy idą do baru, startują do dziewczyny innego faceta... a potem używają biotyki, żeby kopnąć go w tyłek, zanim zdąży się zamachnąć do ciosu. Będzie myślał, że to wszystko to świetny żart... dopóki ktoś od tyłu nie przyłoży mu w łeb butelką.

Kahlee lubiła Hendla, ale był czarnowidzem i pesymistą, czego dowodziła ostatnia wypowiedź. Oczywiście w jego słowach kryło się trochę prawdy – istnieli biotyki, którzy zachowywali się tak, jakby byli obdarzeni supermocami i niezniszczalni. Ale ten talent miał swoje ograniczenia. Stworzenie pola efektu masy wymagało czasu i niezwyklej koncentracji.

Szybko pojawiała się zmęczenie. Po jednym czy dwóch niezwykłych wyładowaniach mocy biotyk był wyczerpany i podatny na ciosy jak zwykły człowiek.

Zdarzyło się kilku biotyków chełpiących się swoją mocą: oszukujących w kości czy w ruletce w kasynie, zmieniających trajektorię piłki w trakcie meczu koszykówki, nawet robiących ludziom kawały, na przykład wyciągając spod nich krzesło. A konsekwencje tych działań były zwykle poważne. Były przypadki, gdy rozwścieczone tłumy atakowały, a nawet zabijały biotyków, mszcząc się za drobne zniewagi, reagując przesadnie pod wpływem niezrozumienia i strachu.

– Z Nickiem tak nie będzie – uspokoiła Hendla. – Nauczy się. W końcu do niego dotrzemy.

– Może któryś z nauczycieli powinien strzelić do niego z ogłuszacza? – zaproponował Hendel z kamienną twarzą.

– Na mnie nie patrz. – Kahlee roześmiała się i podbiegła kawałek, by nie zostać z tyłu. – Nigdy swojego nie noszę.

Ogłuszacze – małe elektryczne paralizatory produkowane przez Aldrin Labs, mogące pozbawić studenta przytomności – stanowiły standardowe wyposażenie pracowników Projektu Podniesienie: środek ostrożności, na wypadek gdyby któryś ze studentów przypuścił poważny atak biotyczny na kolegę czy kogoś z personelu. Zgodnie z prawem każdy niebiotyczny członek personelu miał obowiązek nosić zawsze ogłuszacz przy wykonywaniu swoich obowiązków, ale Kahlee otwarcie łamała tę zasadę. Nienawidziła ogłuszaczy. Pozostawały echem braku zaufania i strachu, jaki panował w czasach SPiOB-u. Poza tym od początku projektu nikt nie musiał z nich korzystać.

I niech z bożą pomocą tak będzie dalej, pomyślała. Głośno zapytała:

– Dokąd zmierzamy w takim pośpiechu?

– Do Gillian.

– Czy to nie może poczekać? – zapytała Kahlee. – Jiro zbiera odczyty.

Hendel zerknął na nią.

– Nie nadzorujesz tego?

– Wie, co robi.

Z jakiegoś powodu Hendel nigdy nie przekonał się do Jiro. Mogło to wynikać z różnicy pokoleń – Jiro był jednym z najmłodszych członków personelu. Albo z tego, że mieli zupełnie inne charaktery – Jiro był wesoły, ekstrawertyczny i gadatliwy, podczas gdy Hendel był, krótko mówiąc, stoikiem.

– Nie mam nic przeciwko Jiro – zapewnił Kahlee, która wiedziała, że to nie do końca prawda. – Ale Gillian nie jest taka jak inni studenci.

– Za bardzo się o nią martwisz.

– I kto to mówi – odparł.

Kahlee zignorowała ten komentarz. Ona i Hendel poświęcali Gillian dodatkowy czas i uwagę. Nie było to fair wobec pozostałych studentów, ale Gillian była wyjątkowa. Potrzebowała więcej pomocy niż inni.

– Ona lubi Jiro – wyjaśniła Kahlee. – A on sobie świetnie poradzi bez ciebie wiszącego mu nad głową jak nadopiekuńczy rodzic.

– To nie ma nic wspólnego z jej odczytami – burknął Hendel. – Grayson chce ją znowu odwiedzić.

Kahlee zatrzymała się i złapała kolegę za łokieć, szarpnięcie zachwiało olbrzymem i odwróciło go twarzą ku niej.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie chcę, żeby dowiedziała się o tym od ciebie.

– Jestem odpowiedzialny za ochronę tego skrzydła – zaprotestował Hendel. – Wszystkie odwiedziny wymagają mojej akceptacji.

– Nie myślisz chyba poważnie, żeby mu odmówić? – Kahlee była przerażona. – To jej ojciec! Ma prawo!

– Jeśli uznam, że wizyta jest zagrożeniem dla dziecka, mogę odmówić rodzicowi – odpowiedział zimno Hendel.

– Zagrożeniem? Jakim zagrożeniem?

– Na litość boską, to narkoman!

– Nie masz na to dowodów – ostrzegła Kahlee. – I nie możesz mu odmówić, bazując na podejrzeniach. Nie bez utraty pracy.

– Chce przyjechać pojutrze! – zaprotestował Hendel. – Muszę się upewnić, że Gillian da radę. Może będzie lepiej, jeśli on odczeka kilka tygodni, a ona przyzwyczai się do tej myśli.

– Tak, jasne – w głosie Kahlee słychać było sarkazm. – Chodzi tylko o to, co dla niej najlepsze. Twoje osobiste poglądy nie mają z tym nic wspólnego.

– Gillian potrzebuje porządku i regularności – upierał się Hendel. – Wiesz, jak się denerwuje, kiedy coś w jej planie zostanie zmienione. Jeśli Grayson chce być częścią jej życia, może ją odwiedzać co miesiąc, jak robią to inni rodzice, a nie pojawiać się raz czy dwa razy do roku, kiedy mu akurat wygodnie. Te niespodziewane odwiedziny są dla niej za trudne.

– Da sobie radę. – Kahlee zmrużyła oczy. – Powiem Gillian, że jej ojciec przyjeżdża. A ty wracaj do biura i zaakceptuj prośbę Graysona.

Hendel otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozsądnie z tego zrezygnował.

– Zaraz to zrobię – mruknął, odchodząc w przeciwną stronę, z powrotem do administracyjnego skrzydła budynku.

Kahlee spoglądała za nim, potem wzięła głęboki oddech i spróbowała się uspokoić. Gillian była zaskakująco spostrzegawcza, odgadywała emocje innych i reagowała na nie, a Hendel był dla niej wzorem. Gdyby przekazał

wiadomość o odwiedzinach ojca, natychmiast wyczułaby jego dezaprobatę i również zareagowałaby negatywnie. To nie było sprawiedliwe wobec Graysona ani jego córki.

Pokój Gillian znajdował się na końcu dormitorium, gdzie nie docierały hałasy mogące jej przeszkadzać. Gdy Kahlee dotarła do drzwi, na twarzy miała uśmiech radosnego wyczekiwania. Podniosła rękę i zapukała lekko. Odpowiedziała jej nie dziewczynka, ale Jiro.

– Proszę.

Drzwi odsunęły się, ukazując Gillian siedzącą przy biurku. Była szczupła i kanciasta, najwyższa w grupie rówieśników, przerastająca innych o kilka cali. Miała gęste czarne włosy, które sięgały niemal do pasa, i oczy, które zdawały się zbyt duże i zbyt od siebie oddalone jak na jej podłużną twarz. Kahlee podejrzewała, że dziewczynka wygląd odziedziczyła po matce, bo poza szczupłą budową nie przypominała w ogóle Graysona.

Gillian miała dwanaście lat, tyle samo co Nick. Niemal wszystkie dzieci z Projektu Podniesienie były w tym wieku. Trzydzieści lat wcześniej wydarzyły się trzy poważne katastrofy przemysłowe, każda w obrębie innej kolonii, ale wszystkie w przeciągu czterech miesięcy. Okoliczności budziły podejrzenia, jednak śledztwa nie wykazały żadnego związku pomiędzy wydarzeniami. Oczywiście nie powstrzymało to zwolenników teorii spiskowych na Extranecie, którzy nie chcieli uwierzyć, że to był tylko tragiczny w skutkach splot zaniedbań i zbiegów okoliczności.

Trzeci wypadek był najgorszy: niektóre z raportów nazywały go największą toksyczną katastrofą w dziejach ludzkości. Załadowany transporter Eldfell-Ashland eksplodował w atmosferze, zabijając załogę i rozbryzgując zabójczą chmurę elementu zero nad całą kolonią Yandoa, narażając tysiące nienarodzonych dzieci.

U większości nie wystąpiły żadne długoterminowe problemy zdrowotne, u kilkuset stwierdzono poważne zaburzenia, od raka po uszkodzenia organów, wady wrodzone, występowały nawet samoistne poronienia. Jednak z tej tragicznej statystyki wynikło coś dobrego: trzydzieścioro siedmioro z narażonych na kontakt z elementem zero dzieci zdiagnozowano nie tylko jako całkowicie zdrowe, ale też posiadające znaczący potencjał biotyczny. Wszystkie uczęszczały teraz do Akademii Grissoma.

Gillian z niepokojącą intensywnością wpatrywała się w wyświetlone na ekranie komputera zadanie. Niekiedy siedziała tak godzinami, zupełnie bez ruchu. I nagle, jakby uaktywnił się w jej mózgu jakiś niewykrywalny włącznik, zaczynała się błyskawicznie poruszać, wpisując odpowiedzi tak szybko, że jej palce rozmywały się w ruchu. Jej odpowiedzi były zawsze w stu procentach prawidłowe.

– Skończone? – zapytała Kahlee swojego asystenta, zbierającego w kącie pokoju sprzęt.

– Dopiero co. – Jiro uśmiechnął się.

Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, był przystojny i zorganizowany. Jego rysy były przyjemną dla oka mieszanką cech jego amerykańskich i azjatyckich przodków. Farbowane na ciemną czerwień włosy miał zawsze zmierzwiłone i rozczochrane, jakby dopiero wstał z łóżka. Urok osobisty połączony z pewnością siebie i uśmiechem godnym chochlika sprawiały, że Jiro wydawał się młodszy niż w rzeczywistości.

Złodziej niemowląt, pisnęło coś w kącie jej umysłu. Zignorowała to.

– Gillian świetnie sobie dziś poradziła – dodał Jiro, uśmiechając się do dziewczynki. – Prawda?

– Chyba – mruknęła cicho, nie odwracając twarzy od ekranu.

Gillian miała dobre i złe dni, a to, że w ogóle się odezwała, wskazywało, że ten mógł być dobry.

– Mam wspaniałe wieści – oznajmiła Kahlee, podchodząc i stając obok Jiro.

W przypadku każdego innego dziecka usiadłaby na skraju biurka albo położyła dłoń na ramieniu ucznia. Ale u Gillian nawet muśnięcie czubkiem palca wywoływało niekiedy taką reakcję, jakby ktoś dotknął jej rozżarzonego żelazem. Czasami za to zdawało się, że jest kompletnie obojętna na bodźce, jakby jej zakończenia nerwowe obumarły. To utrudniało codzienne pobieranie odczytów, których Kahlee potrzebowała do badań. Na szczęście dziewczynka dobrze reagowała na Jiro i zwykle udawało mu się pobrać dane, nie sprawiając jej przy tym większego bólu.

– Twój ojciec przyjeżdża z wizytą. Będzie tu za dwa dni.

Czekała na reakcję i z ulgą zauważyła delikatny ślad uśmiechu w kącie ust dziewczynki. Jiro zauważył zmianę w nastroju Gillian i natychmiast zareagował.

– Na pewno nie może się doczekać, aż cię znowu zobaczy – powiedział wyjątkowo wylewnie.

Dziewczynka odwróciła się do nich. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Mogę włożyć sukienkę, którą mi dał – powiedziała. Jej głos był odległy i rozmarzony.

Podczas swojej ostatniej wizyty, prawie dziewięć miesięcy temu, Grayson podarował córce sukienkę. Kahlee wątpiła, czy ubranie wciąż będzie na nią pasować, ale nie chciała o tym mówić, by nie zepsuć nastroju.

– Pewnie wolałby cię zobaczyć w mundurku – wtrącił się płynnie Jiro. – Pokażemy mu, jak ciężko pracujesz na lekcjach.

Gillian zmarszczyła brwi i skrzywiła się, przetrawiając tę informację. Potem rozluźniła się i znowu uśmiechnęła.

– Lubi rozmawiać o szkole.

– To dlatego, że jest bardzo dumny z tego, jaka jesteś mądra – dodał Jiro.
– Muszę skończyć zadanie – powiedziała nagle Gillian. Wspomnienie o nauce sprawiło, że sprawy związane z Akademią wysunęły się na pierwszy plan jej myśli. Jej umysł skupiał się na jednej rzeczy, pomijając wszystkie inne. Dziewczynka odwróciła się z powrotem do ekranu komputera i znów patrzyła weń z niezwykłą uwagą.

Kahlee i Jiro, dobrze zaznajomieni z tym niezwykłym zachowaniem, nie przeszkadzali jej i wyszli bez pożegnania.

– Co powiesz na chwilę tylko we dwoje? – szepnął Jiro, gdy szli korytarzem, i otoczył ramieniem talię Kahlee.

– Nie w miejscu, gdzie dzieci mogą nas zobaczyć – zgañła go, żartobliwie szturchając łokciem w żebra.

Drgnął, ale jej nie puścił.

– Moglibyśmy wrócić do pokoju Gillian – zaproponował, przyciągając ją bliżej. – Nawet by nas nie zauważyła.

– To nie jest zabawne! – Kahlee ponownie go szturchnęła, tym razem o wiele mocniej.

Puścił ją z przesadzonym jękiem i zgiął się wpół, udając, że walczy o oddech. Kahlee wywróciła oczami i poszła dalej.

– Ostrożnie, żołnierzu – powiedział, prostując się i podbiegając, by dotrzymać jej kroku. – Nie można tak sobie bić niewinnych cywili.

– Nie kwalifikujesz się na niewinnego – odparła. – Poza tym teraz i ja jestem cywilem.

– Możesz zabrać dziewczynę z wojska, ale wojska z dziewczyny nie zabierzesz – odparował z uśmiechem.

To był nieszkodliwy żart. Jiro zawsze drażnił się z nią, wypominając jej wojskową przeszłość. Ale dzisiaj wróciła myślami do Nicka, który porównał ją z Hendlem.

– Gillian dziś chyba dobrze sobie radziła – powiedziała, chcąc zmienić temat.

Jiro wzruszył ramionami. Jego twarz spoważniała.

– Nadal w ogóle nie wchodzi w interakcje z innymi dziećmi. Ma zaległości w porównaniu z resztą klasy.

Kahlee wiedziała, że chodzi o biotykę, a nie o zwykłe lekcje. Nawet pomiędzy niezwykłymi dziećmi z Projektu Podniesienie Gillian była wyjątkowa. W wieku trzech lat zdiagnozowano u niej średni stopień wysoko funkcjonującego autyzmu; przez to zarząd niemal odrzucił jej podanie do Akademii. W końcu zmienili zdanie, częściowo z powodu hojnej darowizny Graysona, a częściowo dlatego, że Gillian wykazywała większy potencjał niż którykolwiek z uczniów... czy też ktokolwiek inny w krótkiej historii ludzkiej biotyki.

Powszechnie uznana teoria głosiła, że potencjał biotyczny kształtował się we wczesnym dzieciństwie i pozostawał stały i niezmienny. Celem programu takiego jak Projekt Podniesienie było nauczenie biotyków wykorzystywania talentu w sposób najbardziej efektywny, nie zaś rozwijanie wrodzonych zdolności. Jednak w przypadku Gillian wyniki przeprowadzanych testów wskazywały jednoznacznie, że jej potencjał rośnie w sposób przypadkowy, ale niezaprzeczalny, dopasowuje się i rozwija – o takim fenomenie wcześniej nikt nie słyszał.

Różnica między zdolnościami biotycznymi Gillian a jej kolegów z klasy od początku była znaczna.

Mimo to dziewczynka miała trudności z przełożeniem swojego potencjału na konkretne osiągnięcia. Ze względu na niezwykle przebieg jej procesów kognitywnych z trudem opanowywała techniki umysłowe niezbędne do tego, by skoordynować wzmacniacze z elektrycznymi

impulsami jej mózgu. Krótko mówiąc, nie wiedziała, jak skorzystać ze swojej mocy, i żaden z instruktorów nie miał pojęcia, jak ją tego nauczyć.

– Może pierwsza decyzja zarządu była słuszna – westchnęła Kahlee. – Może dla niej to zbyt wiele.

– Wizyta ojca może pomóc – zasugerował bez przekonania Jiro. Po chwili zapytał: – Jak Hendel zareagował, kiedy dowiedział się, że Grayson przyjeżdża?

– Tak jak się można było spodziewać – odparła. – Próbował znaleźć jakiś sposób, by mu odmówić.

– Niech zgadnę – Jiro uśmiechnął się – wyjechałaś mu z oficerską gadką?

– Dość tych wojskowych wypominek – wytknęła mu ze zmęczeniem.

– Przepraszam – bąknął zgaszony. Chwilę później jednak jego uśmiech powrócił w pełnym blasku. – Hej, może dziś położysz się wcześniej? – zaproponował. – Zrobię za ciebie badania. Wrócisz do mojego pokoju, rozgościsz się, odprężysz, a ja przyjdę, jak skończę.

– To najlepszy pomysł, jaki dzisiaj usłyszałam. – Kahlee uśmiechnęła się znacząco, oddając mu swój omniklucz.

Rozejrzała się wokoło, by upewnić się, że są sami, i złożyła na jego wargach szybki pocałunek.

– Nie każ mi długo czekać.

– Patrz, gdzie idziesz, człowieku.

.4.

Kroganin, którego Pel nieumyślnie potrącił, spojrział na niego z góry. Widać było, że tylko szuka powodu, by wszcząć bójkę. Zwykle Pel nie wycofywał się, zwłaszcza gdy przeciwnikiem był obcy, ale miał dość rozumu, by zrobić wyjątek dla wściekłej ośmiostopowej masy twardych mięśni.

– Przepraszam – wymamrotał, unikając kontaktu wzrokowego, póki przerośnięty jaszczur nie odszedł, by gdzie indziej zaspokoić swój głód krwi.

W normalnych okolicznościach Pel nie byłby na tyle nieostrożny, by wpaść na gadającego gada rozmiarów małego czołgu, nawet na zatłoczonych ulicach Omegi. Ale teraz pochłaniały go inne sprawy. Cerberus wysłał go na spotkanie z nowym kontaktem z Układów Terminusa, ale ten się nie pojawił. Już tylko to wystarczyłoby, aby Pel poczuł się zdenerwowany. Tymczasem kiedy wracał do wynajętego w sąsiedniej dzielnicy mieszkania, miał wrażenie, że jest obserwowany.

Nie zauważył nikogo podejrzanego, ale Cerberus uczył swoich agentów, że ignorowanie intuicji to prosta droga do śmierci. Niestety, Omega nie była miejscem, po którym można było się przechadzać, nieustannie zerkając przez ramię. Trzeba było patrzeć, gdzie się idzie, o ile nie chciało się skończyć z nożem w brzuchu.

Omega, olbrzymia stacja kosmiczna zlokalizowana w głębi Układów Terminusa, nie przypominała żadnego innego miejsca w znanej Galaktyce. Zbudowano ją na szczątkach masywnej, nieregularnie ukształtowanej asteroidy, której wypełniony ciężkimi metalami rdzeń był systematycznie drażony, aż asteroida stała się niemal zupełnie pusta, dostarczyła też surowców na ciasną zabudowę pokrywającą każdy jej cal. Nikt nie

wiedział, ile stacja liczy sobie lat, chociaż wszyscy byli zgodni co do tego, że została zbudowana przez Protean. Jednak nie wiadomo było, który gatunek pierwszy zasiedlił ją, po tym jak Proteanie zniknęli w tajemniczych okolicznościach.

W długiej historii stacji pojawiło się kilka prób jej przejęcia, jednak żadnemu ze zdobywców nie udało się utrzymać kontroli dłużej niż kilka lat. Obecnie stanowiła punkt spotkań i zawierania międzygwiazdnych interesów dla tych, dla których nie było miejsca w przestrzeni Cytadeli, na przykład dla batarian i salariańskiej gałęzi Lysthenii, a także najemników, łowców niewolników, zabójców i kryminalistów wszelkich ras.

Mimo wojenek okazjonalnie wybuchających między zamieszkującymi stację rasami Omega stała się de facto stolicą Układów Terminusa. W ciągu wieków osiedliły się tu przeróżne grupy, a kolejni osiedleńcy przebudowywali część stacji tak, by odpowiadało to ich specyficznym potrzebom. Te wysiłki sprawiły, że Omega przekształciła się w coś w rodzaju ogromnego dryfującego miasta podzielonego na liczne niezależne od siebie dzielnice, z których każdą charakteryzowała niespójna architektura i przypadkowość zabudowy. Z daleka stacja wydawała się nierówna i krzywa. Ramiona dodane do głównej konstrukcji wyrastały z asteroidy pod każdym możliwym kątem, a do nich doczepione były kolejne sekcje. Wewnątrz poszczególnych obszarów budynki zdawały się powstawać bez planu i myśli przewodniej. Ulice skręcały i zawracały niespodziewanie, niekiedy tworząc prowadzące donikąd pętle. Nawet autochtoni szybko gubili się i tracili orientację, a nowo przybyli mieli nieustające trudności z adaptacją.

Pel bywał na Omedze na tyle często, by przyzwycząić się do irytującej przypadkowości miejsca, ale nadal go nie znosił. Stacja była pełna istot wszelkich gatunków, nawet ludzi było tam wielu. Ale w przeciwieństwie do

uporządkowanej, harmonijnej – niemal sterylnej – koegzystencji, jaka miała miejsce w Cytadeli, ulice Omegi były zatłoczone, brudne i niebezpieczne. Nie było tu przedstawicieli prawa, bo i praw było niewiele, a przestrzegania nielicznych reguł pilnowały gangi na usługach tych, którzy kontrolowali poszczególne dzielnice. Drobną przestępczość była powszechna, a morderstwa częste.

Pela to nie martwiło. Umiał o sobie zadbać. Omega nie podobała mu się z innych powodów. Każdy kąć śmierdzał zmieszany odorem obcych: potem i feromonami, których nie zdołał zamaskować duszący zapach nieznanymi perfumami, smrodem trudnego do zidentyfikowania pożywienia dobiegającym zza uchylonych okien i drzwi, okropnym swądem niewyrzucanych śmieci zalegających w bocznych uliczkach.

Zapachy były obrzydliwe, ale hałas jeszcze gorszy. Inaczej niż w przestrzeni Rady, tutaj obcy nie używali wspólnych języków handlowych, chyba że nie mieli innego wyjścia. Niekończąca się kakofonia burknięć, pisków i skrzeków raniła uszy Pela, gdy przeciskał się przez tłum. Jego automatyczny translator był bezużyteczny w przypadku kosmicznych dialektów, na które nie był zaprogramowany.

Obcy nie mogli się dogadać nawet w sprawie nazwy stacji. Każdy nazywał ją inaczej w swoim ojczystym języku. Niewymawialna nazwa w języku asari oznaczała w wolnym tłumaczeniu „serce zła”, turianie mówili o „świecie bezprawia”, salarianie nazywali ją „miejszem tajemnic”, a dla krogan był to „kraj możliwości”. Dla wygody automatyczny translator, który Pel nosił przy pasie, tłumaczył wszystkie te terminy jako ludzkie słowo „Omega” – absolutny kres wszystkiego.

Chociaż Pel bardzo chciał być gdzie indziej, tutaj miał zadanie do wykonania. Cerberus wysłał go, by pośredniczył w zawarciu umowy z kontaktem, a Pel dobrze wiedział, że Człowiekowi Iluzji lepiej się nie

sprzeciwiać. Oczywiście nie powstrzymało to ani jego, ani jego ludzi od zaangażowania się w kilka niezależnych projektów, które mogłyby nie uzyskać akceptacji zwierzchników. Dlatego tak ważne było dokładne wykonywanie powierzonych zadań, wypełnianie misji wedle instrukcji; siedź cicho i nie rób błędów, które mogłyby zwrócić czyjąś uwagę na to, co robisz, kiedy nie patrzą.

Chyba że już o tym wiedzą, pomyślał Pel, zastanawiając się, czy jego ogon to agent Cerberusa. Może cała ta misja miała na celu sprowadzenie go na Omegę, gdzie martwy człowiek nie zwracał niczyjej uwagi.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać – mruknął pod nosem, zrywając się do biegu i ciesząc się w duchu, że nie ma na sobie pancerza, który mógłby go spowolnić.

Biegł przez tłum, klucząc pomiędzy przechodniami, mijając zaskoczonych obcych, ignorując niezrozumiałe groźby i przekleństwa, którymi za nim rzucali. Skręcił gwałtownie w pustą boczną uliczkę pełną pojemników na odpadki, koszy i stosów śmieci. Minąwszy kilkoro zamkniętych drzwi, skrył się za dużym zasobnikiem. Przykucnąwszy, wyciągnął z kieszeni małe lusterko i ustawił je tak, by widzieć całą ulicę, nie wychylając się przy tym z ukrycia.

Kilka sekund później jego ogon pędem wpadł z głównej ulicy w zaułek. Był nieduży, o stopę niższy od Pela i od stóp do głów ubrany w ciemną odzież. Twarz miał całkowicie schowaną za szalikiem ciasno owiniętym wokół głowy.

Zatrzymał się i rozejrzał, szukając jakichś śladów Pela. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył i zaczął powoli posuwać się naprzód gotów strzelić w każdej chwili.

Pel też mógł wyciągnąć broń. Miał kilka do wyboru: zaufany Hahne-Keder w kaburze na biodrze, nóż przy pasku i mały awaryjny pistolecik w

podeszwie buta. Nic nie wskazywało, by tamten miał na sobie pancerz, który mógłby generować tarcze kinetyczne, więc pojedynczy, dobrze wycelowany strzał byłby śmiertelny. Ale zabicie idącego za nim osobnika nie wyjaśniłoby, kto go śledził i dlaczego. Zatem Pel siedział w ciszy i czekał.

Przeciwnik nadchodził, trzymając się środka uliczki, starał się nie zbliżyć zbyt do drzwi ani kontenerów. Wciąż rozglądał się na boki, przypatrując się każdej z potencjalnych kryjówek o sekundę dłużej, niż było trzeba.

Był już blisko, może o dziesięć stóp od Pela. Zerkając w lusterko, człowiek czekał, aż tamten obróci się w przeciwnym kierunku. Wtedy zaatakował. Błyskawicznie wypadł zza pojemnika i sięgnął ku broni przeciwnika.

Złapawszy go lewą ręką za przedramię, prawą skrzył nieznajomemu nadgarstek tak, że tamten zaczął celować sam w siebie. Przez cały czas starał się pozbawić przeciwnika równowagi, korzystając z przewagi, jaką dał mu rozpęd i wzrost.

Upadli obaj. Pistolet poleciał na ziemię, a Pel usłyszał jęk swojego przeciwnika. Głos należał do mężczyzny. Siłowali się chwilę, ale Pel był większy, silniejszy i miał tę przewagę, że kiedy upadli na ziemię, znalazł się na górze. Obrócił wroga na brzuch i zacisnął ramię na szyi, z wolna pozbawiając go tchu. Drugą dłoń wciąż zaciskał na nadgarstku mężczyzny i powoli zmuszał go do zgięcia ramienia za plecami.

Tamten wiał się i walczył. Był silny, ale nie mógł się mierzyć z przewagą, jaką Pelowi dawała jego postura.

– Kim jesteś? – syknął Pel w ucho powalonemu przeciwnikowi we wspólnym. – Kto cię przysłał?

– Golo – padła zduszona odpowiedź.

Pel lekko rozluźnił uścisk.

– Golo cię przysłał?

– Ja *jestem* Golo – translator Pela przekładał słowa na angielski, ale olbrzym rozpoznał rodzimy język przeciwnika i trudne do pomylenia słowa wypowiedane zza zamkniętej ochrono-maski.

Z parsknięciem odrazy Pel zszedł z quarianina i wstał.

– Miałeś się ze mną spotkać w barze – powiedział, nie próbując nawet pomóc kontaktowi wstać.

Golo poderwał się na nogi, sprawdzając, czy jest cały. Wyglądał tak samo jak każdy inny quarianin, jakiego Pel spotkał. Odrobinę niższy i drobniejszy niż człowiek, był owinięty kilkoma warstwami odzieży, przy czym poszczególne elementy stroju zupełnie do siebie nie pasowały. Ciemny szal, którym okrywał twarz, został poluzowany podczas walki, odsłaniając gładki, lustrzany wizor hełmu.

– Proszę o wybaczenie – odparł quarianin, przechodząc na angielski. – Wybrałem okoliczności spotkania tak, by móc cię obserwować z bezpiecznej odległości i upewnić się, że jesteś sam. Odbyłem zbyt wiele spotkań, na których osoba, która na mnie czekała, okazywała się tylko przynętą mającą mnie zwabić w zasadzkę.

– Ciekawe dlaczego? – zastanowił się na głos coraz bardziej zirytowany Pel. – Może zbyt często zdarzało ci się wystawić kogoś do wiatru? – był zbyt wkurzony, by podziwiać płynność, z jaką Golo władał ludzkim dialektem.

– Moje słowo to moja przysięga – zapewnił go Golo. – Ale jest wielu takich, którzy nie lubią quarian. Myślą, że jesteśmy tylko padlinożercami i złodziejami.

Bo jesteście, pomyślał Pel.

– Chciałem iść za tobą do twojego mieszkania – mówił dalej quarianin. – I tam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

– A zamiast tego ruszyłeś na mnie z bronią.

– Tylko w celach samoobrony – zaprotestował Golo. – Gdy zacząłeś biec, wiedziałem, że zostałem zauważony. Bałem się, że będziesz próbował mnie zabić.

– Wciąż mogę to zrobić – odparł Pel, ale to była pusta groźba. Cerberus potrzebował quarianina żywego.

Golo musiał wyczuć, że nic mu już nie zagraża, bo odwrócił się plecami do Pela, by podnieść swoją broń.

– Możemy iść do ciebie i kontynuować naszą rozmowę w bardziej odosobnionym miejscu – zaproponował, chowając pistolet gdzieś pomiędzy warstwami ubrań.

– Nie – odrzekł Pel. – W bardziej publicznym miejscu. Nie chcę, żebyś wiedział, gdzie się zatrzymałem. – *Pewnie byś później wrócił mnie obrabować.*

Golo obojętnie wzruszył ramionami.

– Znam odpowiednie miejsce, niedaleko stąd.

Zaprowadził Pela do miejscowego kasyna. Przy drzwiach stał ciężko uzbrojony kroganin, który skinął im głową, gdy wchodzili. Szyld nad nim głosił „Jaskinia Fortuny”, Pel jednak wątpił, by ktokolwiek dorobił się tu bogactwa.

– Często tu bywasz? – zapytał, gdy Golo prowadził go do boksu na tyłach.

– Mam umowę z właścicielem. Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał.

– Dlaczego nie umówiłeś się tu ze mną od razu?

– Jak mówiłem, musiałem się upewnić, czy jesteś sam. Olthar byłby niepokieszony, gdybym sprowadził mu do lokalu grupę ludzkich

najemników.

Sposób, w jaki wypowiadał imię „Olthar” sprawiał, że brzmiało ono dla Pela volusko, ale nie miał pewności, czy tak jest w istocie. I tak nie miało to znaczenia.

Pel usiadł naprzeciwko Golo i wtedy zauważył zaskoczony, że lokal jest prawie pusty. Dwóch czterookich batarian grało w kości, kilku okrągłych volusów w coś przypominającego tryktraka, a grupa ludzi siedziała na środku sali i grała w karty pod czujnym okiem salariańskiego krupiera. Pel lepiej czułby się w barze ze striptizem – takim z ludzkimi albo nawet asariańskimi tancerkami – ale nie narzekał głośno.

– Nie ma automatów do kwazara – zauważył.

– Za łatwe do zhakowania, za drogie do naprawiania – wyjaśnił quarianin.

Kelnerka – człowiek – podeszła i bez słowa postawiła przed nim kubek, potem odeszła, nie patrząc mu w oczy. Kiedyś mogła być atrakcyjna. Gdy odchodziła, Pel zauważył na jej kostce mały elektroniczny lokalizator, urządzenie powszechnie używane przez właścicieli niewolników do pilnowania swojej własności.

Mimowolnie zacisnął szczęki. Na myśl o tym, że człowiek był niewolnikiem obcych, poczuł mdłości, ale nie mógł w żaden sposób pomóc tej kobiecie. W każdym razie nie w tej chwili.

Niebawem nadejdzie dzień rozliczenia, powiedział sobie w duchu. I sprawiedliwość spadnie niczym grom na tych przeklętych obcych zboczeńców.

– Ja stawiam – powiedział Golo, wskazując na stojący przed nim napitek.

Na pierwszy rzut oka było to piwo w wersji obcych, ale Pel przekonał się na własnej skórze, że lepiej unikać ludzkiego jedzenia przygotowanego w nieludzkich knajpach. Gdyby miał szczęście, piwo byłoby tylko mdłe i gorzkie. Jeśli miałby pecha, czekałaby go noc spędzona na wyrzygiwaniu własnych wnętrzności.

– Podziękuję – powiedział, odsuwając kufel. – Dlaczego nic nie pijesz?
– zapytał podejrzliwie po chwili.

– Zarazki – wyjaśnił krótko Golo, wskazując na swój hełm.

Pel skinął głową. Odkąd quarianie zostali wygnani ze swojego świata przez gethy, żyli w Wędrownej Flocie, flotylli składającej się z kilku tysięcy statków przemierzających bez celu kosmos. Kolejne generacje dojrzewające w tak odizolowanym, starannie kontrolowanym środowisku sprawiły, że system immunologiczny quarian stał się bezbronny wobec bakterii i wirusów gnieźdzących się na każdej z zamieszkałych planet Galaktyki. By uniknąć zarażenia, quarianie nosili dopasowane kombinezony ochronne ukryte pod obszarpanymi ubraniami i nigdy nie zdejmowali szczelnych hełmów.

To spowodowało plotki, jakoby w rzeczywistości byli cyborgami, mieszkanką organicznego ciała i maszynierii skrytą pod ich pancerzami i wizorami. Pel wiedział, że prawda była o wiele mniej interesująca – przeciętny quarianin zwyczajnie nie mógł przetrwać poza flotyllą bez hermetycznie zamkniętego kombinezonu i maski.

– Przejdźmy do interesów – powiedział, skupiając się na wykonaniu zadania. – Twierdziłeś, że możesz nam podać częstotliwości transmisji i kody komunikacyjne Floty.

Człowiek Iluzja i Cerberus bardzo interesowali się Wędrowną Flotą, zwłaszcza po ataku gethów na Cytadelę. Quarianie powszechnie uważani byli za wyjątkowo nieprzyjemne utrapienie. Niemal siedemnaście milionów

uciekinierów żyjących z dnia na dzień na podrzędnej jakości starych statkach od trzech wieków w podróży, zmierzających od systemu do systemu, na próżno szukając odpowiedniej niezamieszkałej planety, na której mogliby się osiedlić.

Panowało przekonanie, że przybycie quarian groziło kolonii co najwyżej utratą zasobów – ograbieniem lokalnego pasa asteroidów z cennych metali albo rezerwuarów pierwiastka zero – i problemami z komunikacją, jakie musiał wywołać przelot kilku tysięcy niezapowiedzianych, przypadkowych jednostek. Te utrudnienia sprawiały, że quarianie nie byli mile widziani w żadnym z cywilizowanych obszarów kosmosu, ale tak naprawdę nikt nie postrzegał ich jako niebezpiecznych.

Jednak Człowiek Iluzja widział w nich coś więcej niż nieopanowaną chciwość i strupieszczące statki. Na poziomie technologicznym dorównywali każdemu innemu gatunkowi. Quarianie stworzyli gethy, które stały się zakałą Galaktyki. I udało im się przez setki lat utrzymać cywilizację liczącą niemal siedemnaście milionów istot bez wsparcia zasobów planetarnych. Kto mógł przewidzieć, do czego jeszcze są zdolni?

Wędrowną Flotę była też największą armadą w zbadanym obszarze galaktyki: dziesiątki tysięcy statków, od małych wahadłowców przez krążowniki aż po trzy ogromne agostatki – cuda inżynierii kosmicznej i rolniczej, które były podstawowym źródłem pożywienia dla całej floty. Wiadomo było, że większość statków jest uzbrojona, jednak ile dokładnie i w jakim stopniu, nikt nie wiedział. Quarianie byli społeczeństwem zamkniętym, żaden obcy nie postawił stopy na ich statku od exodusu z ojczystej planety.

Człowiek Iluzja nie ufał obcym mającym tyle statków i tyle tajemnic. Zdobycie quariańskich kodów i częstotliwości pozwoliłoby Cerberusowi na monitorowanie komunikacji pomiędzy Wędrowną Flotą... zakładając, że

udałoby mu się wysłać jeden ze statków organizacji na tyle blisko, by mógł odbierać transmisje, nie będąc zauważonym. Pel nie był pewien, jak Człowiek Iluzja zamierza poradzić sobie z tą częścią planu, ale to nie było jego zmartwienie. On miał tylko zdobyć dane.

– Właściwie nie mogę wam podać kodów – powiedział Golo. – Zmieniły się od czasów, kiedy byłem częścią flotylli.

Pel przygryzł wargę, próbując powstrzymać przekleństwo. Nie powinien był ufać Golo. To był wyrzutek z Wędrownej Floty. Quarianie nie mieli miejsca na statkach ani dość zasobów, by stworzyć więzienie, więc z kryminalistami radzili sobie, wykluczając ich ze społeczeństwa, porzucając na najbliższej zamieszkałej planecie albo stacji kosmicznej. W przypadku Golo – na Omedze.

Jakim chorym, pokręconym świrem trzeba być, żeby zostać wykopanym z rasy żebraków i złodziei? – zapytał się w duchu Pel. Zastanawiał się, czy Golo był mordercą, gwałcicielem, czy tylko całkowitym socjopatą.

– Jednak mam coś, co mogę wam zaoferować. – Golo zdawał się nie zauważać z trudem tłumionej wściekłości Pela. – Zaprowadzę cię do kogoś, kto może dostarczyć wam te informacje. Za wynagrodzeniem.

Brudny, dwulicowy sukinsyn.

– Nie taką mieliśmy umowę.

– Musisz się nauczyć elastyczności. – Golo wzruszył ramionami. – Improwizacji. Adaptowania się. Tak żyją moi ludzie. Tak udało mi się przetrwać, gdy znalazłem się na tej stacji.

Chciałeś powiedzieć: kiedy cię tu wyrzucili. Śmieć podrzucany innym do sprzątnięcia.

Mimo niewypowiedzianej odrazy Pel żywił do Golo niechętny szacunek. Quarianie byli na Omedze tak samo niemile widziani jak wszędzie indziej; to, że udało mu się przetrwać na stacji, było dowodem jego sprytu i

zaradności. I dowodem, że nie można mu ufać. Pel nie chciał wrócić do Człowieka Iluzji z pustymi rękami, ale nie był jeszcze gotów, by zaufać quarianinowi.

– Powiedz mi, czemu cię wygnano.

Golo zawahał się. Zza maski dobiegło coś, co mogło być westchnieniem żalu, i przez chwilę Pel sądził, że quarianin nie odpowie.

– Jakies dziesięć lat temu próbowałem dobić targu ze Zbieraczami.

Pel słyszał o Zbieraczach, choć nigdy żadnego nie widział. Wielu, w tym on sam, wątpiło, czy w ogóle istnieją. Historie o nich bardziej przypominały międzygwiazdną wersję miejskich legend niż historię prawdziwego gatunku.

Według tych opowieści Zbieracze pojawili się na galaktycznej scenie jakieś pięćset lat temu, ponoć przybywając z niezbadanego rejonu kosmosu gdzieś za niedostępnym przekaźnikiem Omega-4. Jednak mimo że kręcili się po Galaktyce od pięciu wieków, to niewiele wiedziano o nich i ich tajemniczej ojczyźnie. Zbieracze izolowali się wręcz ekstremalnie, nie pojawiali się nigdzie poza Omegą i kilkoma planetami w bezpośredniej okolicy stacji. Mijały dziesięciolecia, podczas których nikt ich nie spotykał, po czym w następnych latach pojawiali się, by handlować z innymi gatunkami.

Podczas tych rzadkich wypadów do Układów Terminusa Zbieracze dawali ponoć jasno do zrozumienia, że podobne wizyty innych gatunków na ich terytorium nie będą tolerowane. Mimo to wiele jednostek odważyło się przejść przez przekaźnik Omega-4 w poszukiwaniu ojczystej planety Zbieraczy. Żadna z nich nie wróciła. Ogromna liczba statków, ekspedycji i flot zwiadowczych zniknęła bez śladu w przekaźniku, co doprowadziło do szalonych spekulacji na temat tego, co znajdowało się po drugiej stronie. Niektórzy wierzyli, że przekaźnik prowadził wprost do czarnej dziury albo

serca słońca, choć to nie wyjaśniało, w jaki sposób Zbieracze mogli z niego skorzystać. Inni utrzymywali, że jest tam futurystyczny ekwiwalent raju: ci, którzy tam przeszli, żyli teraz w dekadentckim luksusie na idyllicznej planecie, nie chcąc wracać do brutalnego świata bezprawia w Układach Terminusa. Najpowszechniejsza teoria głosiła, że Zbieracze mieli jakiś rodzaj technologii obronnej, unikalnej i wysoce zaawansowanej, która całkowicie niszczyła wszelkie obce jednostki przechodzące przez przekaźnik.

Ale Pel nie był pewien, czy wierzył w którąkolwiek z tych opowieści.

– Myślałem, że Zbieracze to tylko mit.

– To powszechny błąd, zwłaszcza w przestrzeni Rady. Na podstawie własnych doświadczeń mogę cię zapewnić, że istnieją.

– Jakiego targu chciałeś z nimi dobić? – zapytał zaciekawiony Pel.

– Chcieli dwóch tuzinów „czystych” quarian, mężczyzn i kobiet, którzy spędzili całe życie we flocie, nieskażonych wizytami w innych światach.

– Myślałem, że każdy quarianin musi opuścić Flotę podczas swojej Pielgrzymki – zauważył Pel, odnosząc się do quariańskiego rytuału inicjacji.

– Nie wszyscy pielgrzymują – wyjaśnił Golo. – Robi się wyjątek dla zbyt chorych lub słabych, by przetrwali poza kolonią. W rzadkich wypadkach osobnik z cennym talentem lub umiejętnością może dostać dyspensę od Admiralicji. Od początku wiedziałem, że prawdopodobnie mnie złapią – dodał niemal z żalem. – Ale oferta była zbyt dobra, by jej nie przyjąć.

Pel kiwnął głową. To pasowało do innych historii, które znał. Zbieracze przybywali robić interesy i zwykle chcieli wymienić towary albo technologię na żywe istoty. Nie byli jednak zwykłymi handlarzami żywym towarem. O ich żądaniach krążyły najdziwniejsze opowieści. Zbieracze

zglaszali dziwaczne zapotrzebowania: dwa tuziny leworęcznych salarian, szesnaście par batariańskich bliźniaków, kroganin, którego rodzice pochodzili z wojujących klanów. W zamian Zbieracze oferowali niesamowitą technologię lub wiedzę: nowe konfiguracje napędów masy pozwalające zwiększyć wydajność silników albo pamięć systemu naprowadzającego, która znacząco poprawiała celność broni. Po jakimś czasie taka technologia rozprzestrzeniła się w całym społeczeństwie, ale przez kilka lat dawała przewagę każdemu, kto był dość bystry, by dobić targu. A przynajmniej tak brzmiało to w opowieściach.

Te nietypowe zwyczaje handlowe, ekstrawagancki sposób płacenia za prawdziwie nietypowy towar oraz fakt, że nikt nie znał prawdziwej nazwy gatunku, przyniosły im przydomek Zbieraczy. Tak samo jak w przypadku teorii spiskowych dotyczących tego, co znajdowało się za przekaźnikiem Omega-4, powstało wiele hipotez na temat motywacji Zbieraczy. Niektórzy uważali, że ich prośby wynikają z powodów religijnych, inni widzieli w tym dowód na dewiacje seksualne lub obrzydliwe upodobania kulinarne.

Jeśli Zbieracze naprawdę istnieli, jak twierdził Golo, to Pel był skłonny uwierzyć, że prowadzili genetyczne eksperymenty na innych gatunkach, choć nie był w stanie sobie wyobrazić, jak miałyby one przebiegać i jaki mieć cel. Z całą pewnością jednak działalność obcych była podejrzana.

– Jeśli Zbieracze są prawdziwi, dlaczego ich nie powstrzymano? – zastanowił się na głos.

– A kto miałby to zrobić, skoro na interesach z nimi można zyskać? – retoryczne pytanie Golo idealnie obrazowało najpopularniejszą filozofię w całych Układach Terminusa. – Pojawiają się i oferują coś wartego kilka milionów kredytów, a w zamian musisz im tylko dać kilkudziesięciu więźniów. Nie są gorsi od łowców niewolników, ale lepiej płacą.

W przestrzeni Rady niewolnictwo było nielegalne, ale w Układach Terminusa było akceptowaną – a nawet powszechną – praktyką. Jednak to nie moralna strona działań Zbieraczy niepokoiła Pela najbardziej.

– Czy nikt nie martwi się tym, co robią po drugiej stronie przekaźnika? Mogą tworzyć potężną nową broń genetyczną. Co, jeśli badają nasze gatunki, by nauczyć się o naszych słabościach i bolączkach, żeby potem dokonać inwazji?

Golo zaśmiał się, a jego śmiech odbił się głuchym echem wewnątrz maski.

– Nie mam wątpliwości, że szykują coś nieprzyjemnego – przyznał. – Ale robią to już od pięciuset lat. Jeśliby planowali inwazję, już by do niej doszło.

– Nie jesteś nawet ciekaw?

– Ciekawscy próbują przejść przez Omegę-4 – przypomniał człowiekowi Golo. – I nie wracają. Reszta tu na Omedze bardziej martwi się tym, czy sąsiad nie czai się z nożem, niż tym, co dzieje się na drugim końcu Galaktyki. Tutaj trzeba się skupić na teraźniejszości, by przeżyć.

Dobra rada, uznał Pel. Zbieracze z pewnością byli intrygujący i nie byłby zaskoczony, gdyby okazało się, że agenci Człowieka Iluzji już ich gdzieś szukają. Ale jego misja była inna.

– Powiedziałeś, że możesz doprowadzić mnie do kogoś, od kogo mogę dostać te kody.

Golo pokiwał energicznie głową, zadowolony, że rozmowa znowu skupiła się na interesach.

– Mogę wam powiedzieć, gdzie spotkacie załogę jednego ze statków zwiadowczych Wędrowniej Floty – zapewnił. – Będziecie tylko musieli wziąć jednego z nich żywcem.

.5.

Stewardessa powitała go szerokim uśmiechem. Jej głos był ciepły i życzliwy.

– Witamy na pokładzie, panie Grayson. Jestem Ellin.

Nie poznawał jej, ale mogła być nowym pracownikiem. Rzadko używał służbowego wahadłowca. Ellin miała niesamowicie zielone oczy – pewnie barwione – i długie, gęste blond włosy – pewnie farbowane. Wyglądała na kogoś ledwo po dwudziestce, choć, rzecz jasna, nie było gwarancji, że jej wiek ma w ogóle dwójkę z przodu.

– Miło cię poznać, Ellin. – Skinął jej głową. Uświadomił sobie, że uśmiecha się do niej głupkowato. Zawsze miał oko na blondynki.

– Do startu zostało jeszcze kilka minut – powiedziała, wyciągając rękę, by wziąć jego aktówkę. – Ale pański pokój jest gotowy. Proszę za mną, zakwaterujemy pana, podczas gdy pilot przygotowuje wahadłowiec do lotu.

Przyglądał się jej figurze, idąc za nią wąskim korytarzem do prywatnej kwatery VIP-ów na rufie.

– Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony – powiedziała, gdy dotarli do celu. Otworzyła przed nim drzwi.

Pomieszczenie różniło się diametralnie od prostych, często zatłoczonych kwater na statkach wojskowych czy wspólnych sypialni na statkach przewozowych. Wyposażone w luksusowe łóżko, wid będący dziełem sztuki, prysznic, wannę, pełen barek przypominało bardziej apartament w droгим hotelu na powierzchni planety niż kajutę wahadłowca.

– Do Akademii Grissoma dotrzemy za około osiem godzin, panie Grayson – mówiła dalej Ellin, stawiając jego teczkę w rogu. – Czy mogę panu coś podać przed startem?

– Dziękuję, chcę odpocząć – powiedział. Bolał go każdy mięsień, a w głowie huczało – klasyczne objawy odstawienia czerwonego piasku. – Proszę mnie obudzić na godzinę przed dotarciem do celu.

– Oczywiście, panie Grayson – odpowiedziała. Wyszła, zostawiając go samego i zamykając za sobą drzwi.

Rozebrał się, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo się pocił. Gdy rozpiął koszulę, lewa ręka lekko mu drżała. Ale nawet nie pomyślał o działce piasku. Nie pozwoliliby, żeby Gillian widziała go naćpanego. Nagi padł na łóżko, zbyt zgrzany, by wślizgnąć się pod miękkie jedwabne przykrycie.

Usłyszał odległe dudnienie, gdy pilot odpalił silniki. Rzecz jasna, Grayson sam mógłby pilotować... wciąż potrafił obsługiwać taki statek. Ale Cerberus potrzebował go w innej roli. Jako wysoki stopniem dyrektor Cord-Hislop Aerospace, średniej wielkości producenta statków z Elizjum, mógł bez przeszkód podróżować po całej Galaktyce prywatnym wahadłowcem bez wzbudzania podejrzeń. Ta przykrywka pozwalała też wyjaśnić ogromną darowiznę, jaką przekazał Akademii Grissoma.

Dni, kiedy udawał, że jest prywatnym pilotem kolejnych wschodzących polityków, dawno już minęły.

Teraz to on przebywał w luksusowej kabinie i miał stewardessę na posyłki. Człowiek Iluzja dbał o tych, z których był zadowolony.

Pewnie Menneau też tak myślał. Na chwilę przed tym, jak Pel go zabił.

Grayson usiadł na łóżku. Jego myśli krążyły wokół niedawnej wizyty Pela. Może jego stary kumpel jednak wspomniał Człowiekowi Iluzji o czerwonym piasku. Cerberus nie pozostałby obojętny wobec nałogu, który zagrażał powodzeniu misji.

Czy Ellin naprawdę była tylko stewardessą? Tysiące zwykłych ludzi pracowało w Cord-Hislop, nie podejrzewając nawet, że korporacja była

kontrolowana przez tajną grupę paramilitarną. Niewiele osób w firmie – czy w jakimkolwiek innym miejscu, skoro już o tym mowa – w ogóle zdawało sobie sprawę z istnienia Cerberusa. Ale w strukturze firmy, na listach pracowników, rozsiane po całej drabinie korporacyjnej, tkwiły dziesiątki agentów Człowieka Iluzji. Może Ellin czekała za drzwiami, by wbić mu w szyję szpikulec do lodu, tak jak on zrobił to Keo.

Wstał i nałożył wiszący na ścianie szlafrok frotte, potem nacisnął guzik wzywający obsługę. Kilka sekund później rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Grayson zawahał się, potem machnął dłonią przed panelem otwierającym. Gdy drzwi się otwierały, musiał zwalczyć chęć odskoczenia w tył.

Ellin stała w progu uzbrojona tylko w niegasnący szeroki uśmiech i radosny nastrój.

– Potrzebuje pan czegoś, panie Grayson?

– Moje ubranie... czy mogłabyś je wyczyścić i wyprasować?

– Oczywiście, sir.

Weszła do pokoju i z wyćwiczoną sprawnością pozbierała porozrzucane elementy garderoby. Miała w sobie dużo pewności siebie; profesjonalizm, który mógł być efektem specjalnego szkolenia wojskowego... albo po prostu był częścią jej pracy. Próbował obserwować dziewczynę tak, by tego nie zauważyła, miał nadzieję, że przyłapie ją na ukradkowych spojrzeniach w jego stronę. Jeśli pracowała dla Cerberusa, została na pewno poinstruowana, by śledzić pasażerów.

Ellin wyprostowała się i stanęła twarzą do niego, trzymając w ramionach kłęb ubrań. Służbowy uśmiech znikł z jej ust i Grayson uświadomił sobie, że wciąż wpatruje się w nią intensywnie.

Potrząsnął głową, by odgonić ponure myśli.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

Jej uśmiech powrócił, choć w spojrzeniu nadal był cień obawy.

– Coś jeszcze, panie Grayson?

Zauważył lekkie drzenie w jej głosie. *Albo jest po prostu małą, przerażoną stewardessą, albo naprawdę bardzo, bardzo dobrze udaje.* Za tą myślą przyплыnęła następna: *Czerwony piasek zmienia cię w paranoika.*–

– Dziękuję, Ellin. To wszystko.

Ułga na jej twarzy, gdy odsunął się, by ją przepuścić do wyjścia, była doskonale widoczna. Kiedy była już bezpieczna za progiem, zawahała się i odwróciła.

– Czy... czy nadal chce pan, bym pana obudziła godzinę przed lądowaniem?

– Tak – powiedział ostro, zamykając drzwi, nim kobieta mogła dostrzec rumieniec wstydu pełznący z jego szyi na twarz.

Weź się w garść, powiedział sobie, zdejmując szlafrok i padając na łóżko. Przestań podskakiwać z byle powodu. Ta misja jest zbyt ważna, byś mógł ją spieprzyć.

Odgłosy silników zmieniły się. Wpatrując się w sufit, czuł lekki nacisk na piersiach, wciskający go w miękki materac. Statek wzbijał się w niebo, walcząc z grawitacją i atmosferą na drodze do gwiazd. Pokój, który wydawał się taki nagrany, nagle wypełnił chłód. Grayson zadrzał i wśliznął się pod koc.

Sztuczne pola efektu masy generowane wewnątrz statku wyłumiały turbulencje i nacisk siły *g* podczas startu, ale instynkt pilota sprawiał, że Grayson wyczuwał ruch. Znajomy, uspokajający. W ciągu kilku minut ukołysał go do snu.

– *Mamy dla ciebie nowe zadanie* – powiedział Człowiek Iluzja i Grayson uświadomił sobie, że znowu śni.

Byli sami w jego mieszkaniu, tylko we dwóch... i jeszcze noworodek śpiący spokojnie w ramionach Człowieka Iluzji.

– Jestem pod wrażeniem tego, jak spisałeś się w sprawie Eldfell-Ashland. Wiem, że to była trudna misja.

– Wszystko w imię większego dobra – odpowiedział.

Nawet gdyby chciał, nie mógł powiedzieć nic innego. Wtedy w to wierzył, każdą komórką swojego ciała. Wciąż wierzył, chociaż ta część jego umysłu, która wiedziała, że śni, uświadamiała sobie, że sprawy nie są już tak proste, jak były kiedyś.

– Mam dla ciebie specjalne zadanie – powiedział Człowiek Iluzja, podając mu dziecko. – Jest biotyczką.

Grayson wziął małą dziewczynkę na ręce. Była ciepła i miękka, lżejsza, niż się spodziewał. Zmiana miejsca wywołała jej niepokój, mała otworzyła oczy i zaczęła się wiercić. Grayson ukołysał ją delikatnie. Powieczki opadły, na wardze pojawiła się banieczka śliny i dziewczynka znowu zasnęła.

Biorąc pod uwagę jej wiek, nie było wątpliwości, w jaki sposób zetknęła się z elementem zero.

– Częścią twojej przykrywki będzie praca dla Cord-Hislop – poinformował go Człowiek Iluzja. – Na razie w sprzedaży, ale w ciągu kilku najbliższych lat awansujesz do kierownictwa. Chcemy, żebyś wychował tę dziewczynkę jako swoją.

– Kto będzie moim partnerem?

– Nikt. Twoja żona umarła przy narodzinach. Nie ożeniłeś się ponownie.

Grayson zastanawiał się, co stało się z prawdziwymi rodzicami małej, ale nie był na tyle głupi, by pytać.

– Zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest ta misja? – zapytał Człowiek Iluzja. – Wyobrażasz sobie, jakie znaczenie dla ludzkości mogą mieć biotycy?

Młodszy mężczyzna skinął głową. Wierzył w to, co robił. Wierzył w Cerberusa.

– Znalezienie tej konkretnej dziewczynki nie było łatwe. Chcemy, żeby była ci oddana. Żeby ci ufała. Traktuj ją, jakby była krwią z twojej krwi.

– Tak zrobię – obiecał.

Złożył tę obietnicę, nie rozumiejąc prawdziwych konsekwencji. Gdyby wiedział, jaka będzie cena, może nie odpowiedziałby tak bez zastanowienia... chociaż w końcu odpowiedź i tak byłaby taka sama.

Grayson zafascynowany wpatrywał się w pomarszczoną twarzyczkę.

– Nie zostawimy cię z tym samego – zapewnił go Człowiek Iluzja. – Mamy najlepszych ekspertów. Przypilnują, by została odpowiednio wyuczona.

Grayson jak zahipnotyzowany patrzył na wiercącą się przez sen dziewczynkę, na jej małe piąstki zataczające kręgi w powietrzu.

Człowiek Iluzja odwrócił się.

– Czy ona ma imię? – zapytał Grayson, nie podnosząc głowy.

– Ojciec ma prawo nadać imię własnej córce – powiedział Człowiek Iluzja, zamykając za sobą drzwi.

Grayson obudził się, w uszach wciąż dźwięczało mu echo zamykanych drzwi.

– Światło, przytłumione – zawołał i lekki blask stojących przy łóżku lamp odegnał zalegające w pokoju cienie. Minęła dopiero godzina. Jeszcze siedem, nim dotrą do Akademii.

Wstał, nałożył szlafrok i sięgnął po swoją aktówkę. Zaniósł ją do małego biurka w rogu pokoju i postawił na nim. Siadł na krześle i wstukał kod dostępu. Chwilę później walizka otworzyła się z lekkim sykiem.

W środku było kilka dokumentów mających pomóc w utrzymaniu jego przykrywki dyrektora Cord-Hislop – kontrakty, raporty sprzedaży. Wyciągnął je i rzucił na podłogę, potem podniósł fałszywe dno walizki, by dostać się do ukrytej pod nim zawartości. Ignorując fiolkę, którą dał mu Pel – nie była mu potrzebna, póki nie spotka się z Gillian – sięgnął po mały woreczek czerwonego piasku.

Grayson zastanawiał się, ile Człowiek Iluzja wiedział o dziewczynce tej nocy, kiedy mu ją przekazał. Czy wiedział o jej stanie umysłowym? Czy wiedział, że Przymierze pewnego dnia zacznie program taki jak Projekt Podniesienie? Czy dawał małą dziewczynkę Graysonowi ze świadomością, że pewnego dnia każe mu ją oddać?

Otworzył woreczek i ostrożnie wysypał małą kupkę proszku. Dość, by rozluźnić napięcie, tylko tyle. Poza tym miał dużo czasu na dojście do siebie, nim dotrą do Akademii.

Z początku było łatwo. Gillian wydawała się taka jak każda inna dziewczynka. Co kilka miesięcy odwiedzali ją eksperci Cerberusa: pobierali próbki krwi i robili odczyty fal alfa, kontrolowali stan jej zdrowia, sprawdzali refleks i reakcje. Ale nawet mimo tych wszystkich wizyt Gillian była wesołym, zdrowym dzieckiem.

Objawy zaczęły się pojawiać pomiędzy trzecim a czwartym rokiem życia. Nienazwane zaburzenie dysocjacyjne, tak powiedzieli mu doktorzy. Łatwe do zdiagnozowania, ale trudne do wyleczenia. Nie żeby nie próbowali, zasypując dziewczynkę lekami i terapiami behawioralnymi. Ale na próżno. Z każdym rokiem stawała się bardziej wycofana, bardziej zamknięta w sobie. Złapana w pułapkę własnego umysłu.

Rosnąca pomiędzy nimi przepaść emocjonalna powinna ułatwić Graysonowi oddanie jej do Projektu Podniesienie, gdy Cerberus tak postanowił, ale wcale tak nie było.

Grayson nie miał wielu pewnych punktów w życiu, nie licząc lojalności wobec Cerberusa i oddania względem córki. Jedno było – na stałe połączone z drugim; po tym jak dostał Gillian pod opiekę, odsunięto go od wszelkich aktywnych misji, tak by mógł się skupić na wychowywaniu dziecka. Opieka nad córką wypełniła pustkę w jego życiu. W miarę jak dorastała – jak wychowywał ją od maleńkiego dziecka na piękną, mądrą, choć obarczoną problemami dziewczynkę – stawała się centrum jego świata... tak jak tego chciał Człowiek Iluzja.

I wtedy, dwa lata temu, kazali mu ją odesłać.

Zamknął woreczek, ukrywając go ponownie w fałszywym dnie walizki. Potem poszedł do łazienki i wrócił z ostrzem swojej „zawsze-ostrej” golarki. Krawędzią podzielił kupkę piasku na dwie długie, cienkie linie.

Człowiek Iluzja chciał, żeby Gillian dołączyła do Projektu Podniesienie, by Cerberus mógł opierać swoje własne badania na przełomowych odkryciach Przymierza. A Człowiek Iluzja zawsze dostawał to, czego chciał.

Grayson wiedział, że nie ma żadnego wyboru, ale mimo to nie było łatwo się z nią rozstać. Przez dziesięć lat była nieodłączną częścią jego życia. Brakowało mu jej widoku o poranku i układania jej wieczorem do snu. Tęsknił za tymi rzadkimi chwilami, gdy przebijała się przez niewidzialne ściany oddzielające ją od świata i okazywała mu prawdziwą miłość i oddanie. Ale, jak każdy rodzic, musiał przedkładać dobro dziecka nad własne.

Ten program był odpowiedni dla Gillian. Naukowcy z Akademii Grissoma rozszerzali granice badań nad biotyką. Robili postępy daleko większe, niż Cerberus byłby w stanie sam osiągnąć, a Projekt Podniesienie był jedynym miejscem, gdzie Gillian można było odpowiednio dopasować rewolucyjne wzmacniacze L-4.

Również sprawa wymagała, by odesłał dziecko. W ten sposób najlepiej można było ułatwić Cerberusowi badania ograniczeń ludzkiej biotyki, potężnej broni, która pewnego dnia okaże się niezbędna w walce o wyniesienie Ziemi i jej mieszkańców ponad inne rasy. Gillian miała swoją rolę do odegrania w planach Człowieka Iluzji, tak jak i sam Grayson. Miał tylko nadzieję, że pewnego dnia ludzie będą patrzyli na jego córkę jak na bohaterkę.

Grayson rozumiał to wszystko. Akceptował. Tak samo jak godził się z tym, że sam był tylko ogniwem łańcucha, łączem, które dawało badaczom z Cerberusa dostęp do Gillian, kiedy tego potrzebowali.

Niestety, akceptacja niczego nie ułatwiała.

Gdyby było to możliwe, odwiedzałby córkę co tydzień. Ale wiedział, że częste wizyty źle działały na Gillian; potrzebowała w życiu stabilizacji – źle reagowała na niespodzianki i nagłe zmiany planów. Więc trzymał się z dala i starał się jak mógł o niej nie myśleć. Tak łatwiej było znieść samotność, zmienić nieustanny ból w tępe pulsowanie w tle myśli.

Jednak czasami nie mógł się powstrzymać, by o niej nie pomyśleć – tak jak teraz. Wiedza, że ją zobaczy, uświadamiała mu, jak bardzo będzie bolało rozstanie. W takich chwilach nie był w stanie stłumić bólu. Nie bez pomocy.

Pochylił się do przodu i zatykając palcem lewe nozdrze, prawym wciągnął pierwszą strużkę czerwonego piasku. Potem lewym drugą. Proszek palił od środka i sprawiał, że oczy mu łzawiły. Usiadł prosto i zamrugał, by odgonić łzy. Zacisnął ręce na podłokietnikach tak mocno, że aż pobielaly mu kostki. Czuł, jak serce bije mu ciężko i powoli... *łup... łup... łup...* Tylko trzy uderzenia, nim ogarnęła go euforia.

Przez kilka następnych minut dawał jej się ponieść, siedząc z zamkniętymi oczami i kołysząc głową w przód i w tył. Co jakiś czas z głębi

jego gardła dobiegał zduszony dźwięk, pozbawiony słów odgłos niezwykłej przyjemności.

Pierwszy haj szybko zaczął mijać, ale Grayson zwalczył pragnienie zażycia kolejnej dawki. Wyczuwał nieprzyjemne emocje – strach, paranoję, samotność – czające się w mrocznych zakamarkach jego świadomości, wciąż obecne, ale chwilowo odegnane ciepłym blaskiem narkotyku.

Otworzył oczy. Wszystko w pokoju stało się różowawe. To był jeden z efektów ubocznych czerwonego piasku... ale nie ten najważniejszy.

Śmiejąc się pod nosem z niczego, odchylił się do tyłu na krześle, balansując na jego dwóch tylnych nogach. Jego wzrok błędził po kajucie, szukając odpowiedniego celu, aż w końcu spoczął na rozsypanych na podłodze dokumentach.

Ostrożnie, by się nie przewrócić, sięgnął lewą ręką i zaczął poruszać palcami. Papier zadrżał, jakby poruszany bryzą. Grayson próbował się skupić – wśród czerwonych oparów nie było to takie łatwe. Chwilę później uderzył dłonią w powietrze, a dokumenty poderwały się z podłogi.

Trzymał je w górze tak długo, jak zdołał, dzięki chwilowej, wywołanej narkotykami biotyčnością, która sprawiała, że tańczyły jak liście na wietrze.

* * *

Siedem godzin później, gdy Ellin zapukała do drzwi, był już trzeźwy. Przespał się, wziął prysznic, ogolił się i posprzątał kajutę, tak by nie zostawić żadnych śladów po czerwonym piasku.

– Godzina do lądowania, panie Grayson – przypomniała mu, podając oczyszczone i wyprasowane ubranie.

Skinął jej głową w ramach podziękowań i zamknął drzwi. Kiedy został znowu sam, obejrzał jeszcze raz kajutę, by upewnić się, że nie zostawił żadnych kompromitujących śladów.

I to jest właśnie różnica między nałogowcem i ćpunem, powiedział sobie, ubierając się i pewnymi palcami zapinając guziki koszuli. Jeden i drugi musi zażyć, ale nałogowiec jeszcze stara się ukryć, że to robi.

.6.

Kahlee nie mogła spać. Tłumaczyła sobie, że to częściowo dlatego, że wolała własne łóżko, a częściowo dlatego, że Jiro chrapał jej głośno tuż nad uchem. Mimo to go nie budziła – przyzwyczała się już. Ich akty miłości zwykle kończyły się w ten sposób, mimo że był od niej prawie dwadzieścia lat młodszy. Zawsze zaczynał z impetem, pełen pasji i ognia, ale nie umiał utrzymać tempa.

– W końcu się nauczysz – szepnęła, klepiąc go lekko po nagim udzie. – A twoja przyszła dziewczyna będzie mi za to wdzięczna.

Poruszając się cicho, by go nie obudzić, wyslizgnęła się spod przykrycia i naga stanęła obok łóżka. Teraz gdy nie ogrzewali wzajemnie swoich ciał, chłód panujący w pokoju sprawił, że dostała gęsiej skórki.

Zaczęła szukać swoich ubrań, co nie było łatwym zadaniem. W przypiływie entuzjazmu Jiro zwykle rozrzucał je po całej kwaterze. Znalazła koszulkę i naciągnęła ją przez głowę, kiedy usłyszała, że Jiro coś bełkocze. Odwróciła się i zaskoczona stwierdziła, że on nadal śpi i gada przez sen. Przez długą chwilę spoglądała na niego tęsknie – zwinięty na łóżku wyglądał tak młodo – i nagle poczuła się zawstydzona i winna.

To, co robili, nie było w żadnym razie nielegalne. Oboje byli pełnoletni i mimo że w zasadzie była jego szefem, w ich kontraktach nie było żadnego punktu zabraniającego takich stosunków. To była, jak lubił mawiać Jiro, etyczna szara strefa.

Kahlee czasami miała wrażenie, że Jiro wykorzystywał ją dla zrobienia kariery. Chociaż może podpowiadało jej to sumienie, zatruwające radość, jaką czerpała z tego związku. Jeśli chłopak naprawdę wierzył, że sypianie z szefową mogło mu jakoś pomóc, to srogo się mylił. Jeśli już, to była dla

niego ostrzejsza niż dla innych. Ale był dobry w swojej pracy, personel go szanował, a uczniowie lubili. To była jedna z tych rzeczy, które jej się w nim od razu spodobały.

To i jego śliczny tyłeczek, pomyślała, uśmiechając się przewrotnie.

W ciągu minionych lat miała niejednego partnera w łóżku, może nawet nieco więcej, niż nakazuje przyzwoitość, ale były to tylko niezobowiązujące znajomości, tak jak w przypadku Jiro. Nigdy jakoś nie szukała czegoś poważnego. Kiedy była w wojsku, na pierwszym miejscu było zawsze Przymierze, a kiedy wróciła do cywila, skupiła się na karierze.

Na szczęście wciąż miała jeszcze dużo czasu. Dzięki postępowi medycznemu ostatniego stulecia kobiety nie musiały już zakładać rodzin przed czterdziestką. Jeśli chciała, mogła poczekać jeszcze dwadzieścia lat i dopiero wtedy urodzić całkiem zdrowe dziecko.

Kahlee jednak wciąż nie była pewna, czego chciała. Nie żeby nie lubiła dzieci. Szansa na pracę z małymi biotykami była jednym z powodów, dla których zgodziła się przystąpić do projektu. Nie mogła sobie tylko wyobrazić, jak miałyby się zmienić w boginię ogniska domowego.

Weź się w garść, upomniała się. *I znajdź swoje cholerne ubrania.*

Odepchnęła od siebie myśli. Zauważyła wiszące na oparciu krzesła spodnie. Wciąż szukała zaginionej skarpetki, gdy Jiro obudził się, ziewając szeroko.

– Wychodzisz? – zapytał półprzytomnie.

– Wracam do siebie. Nie mogę spać, kiedy chrapiesz jak chory hipopotam.

Uśmiechnął się i usiadł, podkładając sobie poduszkę pod plecy i opierając głowę o wezglowie łóżka.

– Jesteś pewna, że to nie ma nic wspólnego z wizytą Graysona?

Nie zadała sobie trudu zaprzeczenia, tylko dalej szukała skarpetki. Znalazszy ją, usiadła na łóżku i założyła. Jiro obserwował ją w milczeniu, cierpliwie czekając, aż się odezwie.

– Martwię się o Gillian – wyznała w końcu. – Nic, co robimy, jej nie pomaga. Może program nie jest dla niej.

– Hej, chwileczkę! – wykrzyknął Jiro, nagle rozbudzony. Przeczłogał się na kolanach przez materac i położył jej rękę na ramieniu. – Gillian ma większy potencjał biotyczny niż... niż ktokolwiek! Projekt Podniesienie jest właśnie dla takich ludzi.

– Ale ona nie jest tylko biotyczką – zaprotestowała Kahlee, wypowiadając na głos myśli kłębiące się w jej głowie. – Jest dziewczynką z poważnymi problemami.

– Nie myślisz o tym, żeby poprosić zarząd o jej wydalenie, prawda? – Wyglądał na przerażonego.

Spojrzała na niego spode łba.

– Taką decyzję musi podjąć jej ojciec.

– Więc porozmawiasz o tym z Graysonem? – zapytał już spokojniej.

– Wyjaśnię mu, jakie są opcje. Dla Gillian może być lepiej, jeśli nie będzie próbowała rozwijać swoich zdolności w Akademii. Mógłby jej wynająć prywatnego nauczyciela, kogoś, kto ma doświadczenie z dziećmi w jej stanie. Stać go na to.

– A co, jeśli nie będzie chciał zabrać jej z programu?

– Wtedy będę się zastanawiać, czy naprawdę chce dla niej jak najlepiej – pożałowała tych słów, jak tylko je wypowiedziała.

– Zaczynasz brzmieć jak Hendel – przedrzeźniał ją.

To zabolalo ją bardziej, niż powinno. Wciąż pamiętała, jak zeszłego dnia Nick porównał ją do szefa ochrony.

– Przepraszam – powiedziała. – Jestem zmęczona. Nie mogę tu przychodzić każdej nocy. – Próbując rozluźnić atmosferę, dodała: – Kiedy jest się w moim wieku, potrzeba więcej snu.

– Żartujesz, prawda? – powiedział z niedowierzaniem. – Prawie cię nie widuję. Zawsze pracujesz... albo jesteś z Hendlem.

– Lubi wiedzieć, co słyhać u uczniów – wyjaśniła. *Zwłaszcza u Gillian.*

– Zaczynam podejrzewać, że jesteście czymś więcej niż przyjaciółmi – powiedział ponuro Jiro.

Kahlee wybuchnęła śmiechem. Jiro zeszywniał i odwrócił się od niej.

– Przepraszam – powiedziała, obejmując go. – Nie chciałam się śmiać. Ale uwierz mi, nie jestem w typie Hendla. Za to ty...

Przez chwilę wydawał się nie rozumieć, o co chodzi, a na jego chłopięcej twarzy malowało się zdumienie.

– Ooooh – powiedział w końcu, zrozumiałwszy, co miała na myśli.

Telefon w sypialni zadzwonił, nim którekolwiek z nich zdążyło coś jeszcze powiedzieć. Jiro spojrział na wyświetlacz i wytrzeszczył oczy.

– To Hendel.

– To co? – Kahlee wzruszyła ramionami. – Odbierz.

Jiro nacisnął przycisk głośnika.

– Hendel?

– Wahadłowiec Graysona właśnie się zameldował – prychnął głos na drugim końcu linii. – Facet będzie u nas za godzinę. Wychodzi na to, że sukinsyn woli chodzić według własnego zegarka.

Kahlee wywróciła oczami. Zwykle ludzie przylatujący na stację kosmiczną lub na inną planetę tak ustalali wylot, by przybyć o odpowiedniej porze czasu lokalnego. Ale Grayson w swojej pracy podróżował dużo i nieustannie dostosowywanie się do sfer czasowych

mogło się na nim odbić. Ojciec Gillian nie był jedynym rodzicem, który pojawiał się w środku nocy, ale był jedynym, na którego Hendel narzekał.

– OK, dobra – powiedział Jiro. – Przygotuję się.

– Próbowałem zadzwonić do pokoju Kahlee, ale jej nie ma – dodał Hendel. – Zakładam, że jest z tobą.

Jiro spojrział na nią i wzruszył ramionami, pytając bezgłośnie: *Co mam mu powiedzieć?*

– Jestem – odpowiedziała po chwili długiej, niezręcznej ciszy. – Pójdę z Jiro na lądowisko go przywitać.

– Spotkamy się tam za czterdzieści pięć minut. – Połączenie zostało zakończone.

– Skąd o nas wiedział? – zastanowiła się na głos Kahlee. Nie sądziła, że ktokolwiek wie, ona i Jiro zawsze byli dyskretni.

– Marny byłby z niego szef ochrony, gdyby nie wiedział – zachichotał Jiro, wychodząc z łóżka i idąc do małego prysznicza umieszczonego w kajucie.

Hendel był szorstki, gburowaty i nadopiekuńczy wobec tych, za których był odpowiedzialny, ale z pewnością nie był marny w tym, co robił. Mimo to Kahlee nie była usatysfakcjonowana tą odpowiedzią.

– Jak myślisz, co go na to naprowadziło? – zapytała, ściągając koszulkę.

Jiro wystawił głowę z łazienki.

– Pewnie ty. Pewnie czyta w tobie jak w książce. Nie jesteś taka dobra w utrzymywaniu tajemnic.

– Może jednak ty – skontrowała, rozpinając spodnie. – Też nie jesteś w tym najlepszy.

– Lepszy, niż myślisz – powiedział tajemniczo. Potem roześmiał się i zniknął w łazience. Chwilę później usłyszała szum prysznicza.

Kahlee, całkiem naga, przeszła przez kwaterę i weszła do łazienki. Gdy otworzyła drzwi od kabiny i wcisnęła się obok Jiro, chłopak uniósł znacząco brew.

– Zapomnij – powiedziała. – Musimy być na miejscu, zanim Grayson wyląduje. Boję się, co będzie, jeśli zostawimy go sam na sam z Hendlem.

– Dlaczego on tak nie znosi Graysona? – zapytał Jiro, wcierając jej szampon we włosy.

Bo myśli, że Grayson jest tak uprzedzony wobec biotyków, że jest w stanie oglądać swoją córkę tylko dwa razy do roku. Bo rodzice Hendla porzucili go w SPiOB-ie, gdy był mały, i w zasadzie wydziedziczyli. Bo jakaś część jego sądzi, że pomagając Gillian uporać się z jej biotyką, pomoże sobie pozbyć się wspomnień o własnym odrzuceniu.

– To skomplikowane – powiedziała.

– Może Hendel na niego leci – zażartował Jiro.

Kahlee westchnęła potępiająco.

– Modłę się, abyś nie był na tyle głupi, żeby zażartować tak tam, gdzie mógłby cię usłyszeć.

.7.

Akademia Grissoma była średnich rozmiarów stacją kosmiczną z sześcioma małymi dokami zbudowanymi wzdłuż jednego z boków. Większość przybywających tu statków stanowiły jednostki zaopatrzeniowe przywożące z Elizjum to, co było niezbędne dla działania Akademii, a także kursujący dwa razy dziennie na powierzchnię planety prom pasażerski.

Gdy Kahlee i Jiro dotarli na miejsce, Hendel już na nich czekał, wyglądając przez okno obserwacyjne. Kahlee była rozczarowana, gdy okazało się, że dok jest obecnie otwarty na przeciwną stronę niż planeta, wokół której krążyli. Zawsze z przyjemnością obserwowała unoszące się w dole pod nimi Elizjum.

Większość odwiedzających Akademię – rodzice i znajomi załogi – leciała z przystankiem na Elizjum, rezerwując lot na planetę, a potem przesiadając się na prom. Tylko ci wystarczająco ważni lub bogaci, by mieć dostęp do prywatnych jednostek, mogli lądować wprost na stacji, eliminując czas i niewygodę związane z korzystaniem z publicznych portów kosmicznych.

Ten bezpośredni dostęp pozwalał im też ominąć celników i procedury sprawdzania bagażu, które odbywały się na planecie, więc zgodnie z prawem przy ich wejściu na stację musiał być obecny oficer ochrony. To była tylko formalność i zwykle Hendel wysyłał jednego ze swoich podwładnych. Ale przy rzadkich odwiedzinach Graysona szef ochrony zawsze był na miejscu, by powitać go osobiście. Kahlee wiedziała, że w ten sposób Hendel niezbyt subtelnie daje ojcu Gillian do zrozumienia, że ma go na oku.

Na szczęście wahadłowca Graysona jeszcze nie było. Kiedy podeszli, Hendel przerwał obserwację i odwrócił się od szyby.

– Zaczynałem się zastanawiać, czy zdążycie.

Ta uwaga była skierowana do Kahlee. Wydawało się, że Hendel niemal celowo ignoruje obecność Jiro. Kahlee uznała, że lepiej mu to odpuścić.

– Ile jeszcze do przylotu?

– Pięć, może dziesięć minut. Wpuszczę Graysona, potem jest wasz. Zabierzcie go na parę godzin do kawiarni czy co.

– Będzie chciał od razu zobaczyć córkę – zaprotestował Jiro.

Hendel spojrział na niego jak na kogoś, kto wtrąca się do prywatnej rozmowy, a potem pokręcił głową.

– Te niespodziewane wizyty są i tak zbyt trudne dla Gillian. Nie będę jej budził w środku nocy tylko dlatego, że jej ojciec jest zbyt samolubny, by poczekać z odwiedzinami do rana.

– Chęć zobaczenia się z córką to nie samolubstwo – odbiła pałeczkę Kahlee.

– Od kilku miesięcy Gillian i tak wstaje wcześnie – dodał Jiro. – Śpi tylko kilka godzin. Potem tylko siedzi na łóżku przy zgaszonym świetle i gapi się w ścianę. To chyba ma coś wspólnego z jej stanem.

Hendel skrzywił się kwaśno.

– Nikt mi o tym nie powiedział. – Traktował swoją pracę poważnie i nie lubił, gdy inni wiedzieli o zwyczajach i zachowaniach uczniów więcej niż on.

Szuka zaczepki, pomyślała Kahlee. Będzie musiała mieć go na oku, inaczej może zepsuć ten dzień Graysonowi albo Gillian.

– Nic nie mogłeś na to poradzić – odpowiedziała spokojnie. – Poza tym doktor Sanchez powiedział, że nie ma się czym martwić.

Hendel wychwycił niewypowiedziane ostrzeżenie w tonie jej głosu i porzucił temat. Przez kilka minut stali w milczeniu, wyglądając przez okno. Hendel przerwał ciszę pozornie niewinnym komentarzem.

– Wygląda na to, że twój stary przyjaciel ubiega się o jedno z miejsc w Radzie – rzucił.

– Stary przyjaciel? – Jiro był zaintrygowany.

– Kapitan David Anderson – wyjaśnił szef ochrony, ignorując spojrzenie, jakie posłało mu odbicie Kahlee w szybie. – Służyli razem w Przymierzu.

– Dlaczego nigdy o nim nie wspominałaś? – zastanowił się na głos Jiro.

– To było dawno – odpowiedziała, starając się, by jej słowa brzmiały obojętnie. – Nie rozmawialiśmy od lat.

Zapadła niezręczna cisza i Kahlee mogła sobie tylko wyobrazić, jakie pytania wypełniają myśli Jiro. Był pewnym siebie młodzieńcem, ale świadomość, że jego dziewczyna była wcześniej z jednym z największych bohaterów ludzkości, musiała być niepokojąca. Kiedy wreszcie się odezwał, jego słowa kompletnie ją zaskoczyły:

– Wolałbym widzieć w Radzie ambasadora Udię.

– Ciekawe, jak to wszystko się rozwinie – odparł Hendel, unosząc brew.

Dalszą rozmowę uniemożliwił im ostry dzwonek ostrzegający o nadlatującej jednostce. Przez okno widzieli migające czerwone światła na skraju doku. Kilka sekund później statek Graysona – niewielki najnowszy model korporacyjnego wahadłowca – pojawił się w polu widzenia.

Wahadłowiec zajął pozycję i chwilę później wylądował w jednym z hangarów. Kahlee poczuła leciutki wstrząs podłogi, gdy para ogromnych automatycznych chwytaków zabezpieczyła statek na lądowisku. Zabudowany rękaw wysunął się ze stacji, by połączyć się z drzwiami

wahadłowca. Szczelny, wypełniony tlenem tunel pozwalał pasażerom na przejście prosto na stację bez konieczności przebierania się w skafandry.

– No dobra, chodźmy powitać naszego gościa – mruknął Hendel, nie próbując ukryć niezadowolenia.

Pasażerowie opuszczający statki tunelami dochodzili do poczekalni, ogromnego przedsionka z przezroczystymi, kuloodpornymi ścianami. Kilka sięgających człowiekowi mniej więcej do pasa słupków połączonych grubym czerwonym sznurem wyznaczało miejsce, gdzie w przypadku większej liczby przybywających miała ustawić się kolejka. Na jej końcu na podłodze wymalowano żółtą linię. Za nią stało dwóch strażników Przymierza, obaj byli uzbrojeni – ten widok przypominał każdemu, że Akademia Grissoma była organizacją cywilno-militarną.

Za strażnikami pojedyncze drzwi prowadziły z poczekalni do recepcji, gdzie kolejny żołnierz Przymierza siedział przy komputerze i rejestrował wszystkie przybycia i wyjazdy. Drzwi pozostawały zamknięte, póki żołnierz w rejestracji nie upewnił się, że wszyscy przebywający w poczekalni mają pozwolenie na wejście na stację.

Kiedy dotarli do recepcji, Grayson był już w poczekalni i chodził niecierpliwie w tę i z powrotem tuż za żółtą linią. Strażnicy przebywający z nim w pomieszczeniu stali na baczność i zdawali się nie zauważać jego zniecierpliwienia.

Młoda kobieta siedząca za biurkiem podniosła głowę, kiedy Hendel podszedł, i rozpogodziła się momentalnie, gdy rozpoznała szefa ochrony Projektu Podniesienie.

Tracisz czas, siostró, pomyślała Kahlee.

– Jeden odwiedzający, zgodnie z planem – powiedziała kobieta. Jej głos był odrobinę zbyt napięty i rześki, by brzmieć w pełni profesjonalnie. – Czeka na pozwolenie.

– Wpuść go – westchnął Hendel.

Uśmiechnęła się i wcisnęła kilka klawiszy. Małe czerwone światełko nad futryną rozbłysło i dało się słyszeć wyraźne kliknięcie, gdy drzwi się odblokowały. Chwilę później rozsunęły się cicho.

– Proszę przejść, panie Grayson – Kahlee usłyszała, jak jeden ze strażników zwraca się do Graysona, ale ten już niemal był za drzwiami.

Wygląda koszmarnie, pomyślała.

Grayson miał na sobie prosty garnitur i niósł kosztownie wyglądający neseser. Jego ubranie było czyste i świeżo wyprasowane i widać było, że niedawno się golił. Mimo tych wysiłków było w jego wyglądzie coś niezdrowego, niemal rozpaczliwego. Zawsze był szczupły, ale teraz przypominał szkielet. Jego twarz była zwiędła i wymizerowana, oczy zapadnięte i przekrwione, usta suche i popękane. Wciąż nie chciała się całkiem zgodzić z oskarżeniem Hendla, ale musiała przyznać, że Grayson wyglądał na narkomana.

– Dobrze pana znowu widzieć, panie Grayson – Kahlee przywitała się, nim Hendel zdołał powiedzieć coś nieodpowiedniego.

– Dużo czasu minęło – dodał szef ochrony, niezrażony jej wysiłkami. – Zaczynaliśmy podejrzewać, że zapomniał pan, jak do nas trafić.

– Przyjeżdżałbym częściej, gdybym mógł – powiedział Grayson, ściskając dłoń Kahlee, ale patrząc na Hendla. Nie wydawał się zdenerwowany. Jeśli już, to raczej skruszony. Albo winny. – Ostatnio... sprawy się trochę... pokomplikowały.

– Gillian bardzo się ucieszyła, kiedy powiedzieliśmy jej, że pan przyjeżdża – wtrącił stojący za Kahlee Jiro.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę, doktorze Toshiwa – odparł Grayson, uśmiechając się. Kahlee zauważyła, że jego zęby były nieznacznie

odbarwione, jakby pokryte lekko lśniąca substancją – kolejny symptom narkomanii.

– Wziąć pana walizkę? – powiedział Hendel niemal wrogo.

– Wolę ją mieć ze sobą – odpowiedział Grayson, a Kahlee zauważyła lekkie skrzywienie dezaprobaty na twarzy Hendla.

– Chodźmy – powiedziała, ujmując Graysona pod ramię i łagodnie odciągając go od Hendla. – Czas zobaczyć się z córką.

– Przykro mi z powodu niewygodnej godziny mojego przyjazdu – powiedział Grayson, gdy szli przez Akademię do dormitoriów Projektu Podniesienie. – Zawsze mam problem z dostosowaniem swojego terminarza do czasu lokalnego.

– To żaden problem, panie Grayson – zapewniła go. – Może pan odwiedzać Gillian, kiedy pan chce, w dzień czy w nocy.

– Przykro mi, że ją obudzę – ciągnął. – Ale za kilka godzin muszę lecieć dalej.

– Pozwolimy jej jutro pospać na lekcjach – rzucił idący kilka kroków za nimi Hendel.

Grayson go zignorował i Kahlee nie była pewna, czy w ogóle usłyszał komentarz. Ale to zakończyło rozmowę do chwili, gdy doszli do pokoju Gillian.

Kahlee machnęła dłonią przed panelem dostępu i drzwi się otworzyły.

– Światło. Włącz – powiedziała miękko i jasność wypełniła pokój.

Gillian nie spała. Tak jak mówił Jiro, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, na kołdrze. Miała na sobie wyblakłą pomarańczową piżamę, która zdawała się o rozmiar za mała. Kahlee przypomniała sobie, że to był prezent od Graysona na jej urodziny kilka miesięcy temu.

– Cześć, Gigi – powiedział Grayson, wchodząc do pokoju i zwracając się do niej zdrobniale.

Jej oczy rozjaśniły się i wyciągnęła do niego ramiona, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Tatuś!

Grayson podszedł do łóżka i pochylił się, ale nie przytulił jej. Zamiast tego zamknął jej dłonie w swoich, tak jak tego chciała.

– Ależ urosłaś! – powiedział zdumiony, wypuszczając jedną z jej dłoni, by zrobić krok w tył i lepiej jej się przyjrzeć. Po długiej chwili ciszy dodał miękko: – Wyglądasz jak twoja matka.

Kahlee pociągnęła Hendla i Jiro za łokcie i skinęła głową w stronę drzwi, dając znak, że powinni wyjść. Cała trójka wyslizgnęła się z pokoju, a drzwi zasunęły się za nimi.

– Chodźcie – powiedziała Kahlee, gdy już byli na zewnątrz. – Zostawmy ich samych.

– Każdemu odwiedzającemu podczas pobytu w Akademii musi towarzyszyć członek personelu – zaprotestował Hendel.

– Ja zostanę – zaproponował Jiro. – Powiedział, że będzie tu tylko kilka godzin, więc mogę się tu pokręcić. Poza tym znam akta Gillian. Gdyby miał jakieś pytania.

– Dobrze – stwierdziła Kahlee.

Hendel wyglądał, jakby miał zamiar się kłócić, ale powiedział tylko:

– Upewnij się, że go odprowadzisz do wyjścia, i daj mi znać, jak odleci.

– Chodźmy – powiedziała Kahlee do Hendla. – Jak mnie odprowadzisz do kantyny, postawię ci kawę.

Stołówka była pusta – dopiero za kilka godzin personel i uczniowie mieli się zejść na śniadanie. Hendel usiadł przy jednym ze stołów przy drzwiach, a Kahlee poszła do automatów z napojami. Przesunęła kartę pracownika przez czytnik i zamówiła dwie czarne kawy. Zniosła je do stolika i podała jedną Hendlowi.

– Sukinsyn wygląda gorzej niż kiedykolwiek wcześniej – powiedział szef ochrony, biorąc od niej kubek.

– Jesteś dla niego zbyt surowy – westchnęła, siadając naprzeciwko. – Nie jest pierwszym rodzicem biotycznego dziecka, który eksperymentuje z czerwonym piaskiem. To sposób, w jaki my, normalni, możemy zrozumieć, jak to jest być biotykiem.

– Nie – powiedział ostro. – Naćpanie się i lewitowanie spinaczami za pomocą siły umysłu przez kilka godzin nie przypomina w ogóle bycia biotykiem.

– Ale dla kogoś takiego jak Grayson to najbliższa biotyki rzecz, jakiej może doświadczyć. On po prostu próbuje zrozumieć córkę.

– Może wystarczyłoby, żeby widywał się z nią częściej niż raz na rok.

– To może nie być dla niego łatwe – przypomniała mu. – Jego żona zmarła przy porodzie. Stan umysłowy jego córki sprawia, że jest emocjonalnie wycofana. A potem dowiaduje się, że Gillian ma też tę niesamowitą zdolność i musi odesłać ją do szkoły z internatem. Pewnie za każdym razem, gdy ją widzi, ląduje na emocjonalnej karuzeli: miłość, poczucie winy, samotność. Wie, że robi to, co dla niej najlepsze, ale to nie oznacza, że jest mu łatwo.

– Mam co do niego złe przeczucia. A nauczyłem się ufać intuicji.

Kahlee nie odpowiedziała. Wzięła łyk kawy. Napój był smaczny i gorący, ale zostawiał gorzkawy posmak.

– Musimy napisać petycję do zarządu w sprawie lepszej kawy – mruknęła, mając nadzieję na zmianę tematu.

– Jak długo ty i Jiro jesteście razem? – zapytał Hendel.

– Jak długo wiesz?

– Kilka miesięcy.

– Więc jakieś dwa zajęło ci rozgryzienie nas.

- Uważaj na tego dzieciaka, Kahlee.
- Roześmiała się.
- Będę pilnować, żeby go nie zepsuć.
- Nie to miałem na myśli – powiedział poważnie. – Jest w nim coś, co mnie niepokoi. Jest za sprytny. Zbyt przymilny.
- Znowu twoja intuicja? – Trzymała kubek blisko twarzy, by ukryć uśmiech. Najwyraźniej Hendel troszczył się nie tylko o studentów.
- Widziałaś, jak zareagował, gdy wspomniałem o Andersonie.
- Tak przy okazji, wielkie dzięki za wyciągnięcie tematu – powiedziała, unosząc brew.
- Nie ruszyło go to specjalnie – Hendel zignorował naganę w jej głosie.
- Jakby już wcześniej wiedział.
- Jeśli nawet, co z tego?
- Cóż, od razu było widać, że nie ty mu powiedziałaś. Więc skąd wiedział? Akta tej misji są utajnione. Nawet ja wiem od ciebie.
- Ludzie gadają. Może wspomniałam o tym komuś z personelu, kto powiedział o tym Jiro. Dopowiadasz sobie.
- Może – powiedział. – Ale bądź ostrożna. Nauczyłem się ufać mojej intuicji.

* * *

Grayson spędził następne cztery godziny z Gilkian. Pozwolił jej mówić prawie cały czas, lawirując pomiędzy wybuchami nagłej, niemal gwałtownej gadatliwości i długimi pauzami ciszy, kiedy zdawała się niemal zapominać o jego obecności. Lubił słuchać jej głosu, ale cisza też mu nie przeszkadzała. Po prostu dobrze było ją znowu widzieć.

Kiedy mówiła, opowiadała przede wszystkim o szkole i Akademii: których nauczycieli lubiła, a których nie, o ulubionych przedmiotach,

nowych rzeczach, których się nauczyła. Grayson zauważył, że nie wspominała w ogóle o innych uczniach ani o niczym związanym z treningiem biotycznym. Postanowił jej nie podpytywać. Niedługo i tak miał otrzymać wszystkie informacje.

Nadszedł już prawie czas odjazdu. Nauczył się, że im dłużej zostaje, tym ciężiej mu ją opuszczać. Więc zawsze ustalał sobie limit czasu na każdą z wizyt. Ustalony z góry koniec sprawiał, że łatwiej przychodziło mu zrobienie tego, co zrobić musiał.

– Gigi? – powiedział miękko.

Gillian, znowu zatopiona w swoich myślach, patrzyła na ścianę.

– Gigi? – powiedział trochę głośniej. – Tatuś musi już iść, dobrze?

Ostatnim razem, kiedy wychodził, nawet tego nie zauważyła i nie pożegnała się. Teraz jednak lekko się obróciła i skinęła mu głową. Nie wiedział, która z tych dwóch możliwości była gorsza.

Wstał z jej łóżka i pochylił się, by pocałować ją w czubek głowy.

– Idź spać, kochanie. Pod kołdrę. Spróbuj zasnąć.

Poruszając się powoli, jak automat posłuszny jego słowom, zrobiła, jak powiedział. Kiedy już się położyła i zamknęła oczy, Grayson przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

– Światło. Wyłącz – szepnął. Pokój wypełniła ciemność, a drzwi zasunęły się za nim.

Jiro czekał na niego na korytarzu.

– Tu jest bezpiecznie? – zapytał go Grayson o wiele bardziej szorstko, niż zamierzał.

– Powinno być – powiedział cicho młody mężczyzna. – Wszyscy jeszcze śpią. Jeśli to potrwa dłużej, możemy pójść do mojego pokoju.

– Miejmy to już za sobą, żebyśmy mogli stąd odlecieć – powiedział Grayson, klękając i kładąc walizkę na podłogę.

Otworzył ją, wyciągnął fałszywe denko i wyjął fiolkę, którą dał mu Pel. Potem wstał i podał ją Jiro. Naukowiec wziął od niego pojemnik i przyjrzał mu się w blasku światła padającego z sufitu.

– Wygląda na to, że znowu zmienili skład. Człowiek pewnie chce spróbować czegoś innego. – Schował fiolkę do kieszeni. – To nie wyjdzie w testach, prawda? Chodzi mi o to, czy jest niewykrywalne?

– A jak myślisz? – zapytał zimno Grayson.

– Tak, dobra. Dawka taka jak wcześniej?

– Nie dostałem żadnych nowych instrukcji – odparł Grayson.

– Wiesz, co ten środek ma robić?

– Nie zadaję takich pytań – odparł ostro Grayson. – I ty też nie powinieneś, jeśli jesteś dość bystry.

Boże, pomyślał, jak tylko padły te słowa, *brzmie jak Pel*. Nie miał pojęcia, czy to dobrze, czy źle, chociaż uznał, że dla jego dawnego partnera byłoby to pewnie zabawne.

– Nie zrobią nic, co mogłoby ją skrzywdzić – dodał, choć nie był pewien, czy próbuje o tym przekonać Jiro, czy siebie. – Jest zbyt cenna.

Jiro skinął głową.

– Tu są ostatnie wyniki wszystkich uczniów Projektu Podniesienie – powiedział, wyciągając z kieszeni kitla dysk optyczny i podając go Graysonowi. – Plus moje własne badania na naszej prymusce. – Ruchem głowy wskazał na drzwi Gillian.

Grayson wziął dysk bez słowa i schował go w walizce.

– Sypiasz z Sanders? – zapytał, gdy dysk był już bezpieczny.

– Uznałem, że to pasuje do celów mojej misji. – Jiro uśmiechnął się szeroko. – Mam zdobywać informacje, ale przy okazji zdobyłem i ją.

– Tylko pilnuj, żeby się nie zaangażować uczuciowo – ostrzegł go Grayson. – To komplikuje sprawy.

– Mam wszystko pod kontrolą – zapewnił go dzieciak, uśmiechając się z wkurzającym samozadowoleniem.

Grayson doszedł do wniosku, że gdzieś w kosmosie Pel właśnie zrywa boki ze śmiechu.

.8.

Feda'Gazu was Idenna poprawiła zawieszony przy pasie pistolet, wysiadając z landrovera. Kiedy była na pokładzie któregoś ze statków flotylli, nigdy nie nosiła broni, ale poza Wędrowną Flotą bezpieczniej było się uzbroić.

Lige i Anwa, dwoje członków załogi, których wybrała, by towarzyszyli jej podczas tego spotkania, wysiedli z pojazdu po przeciwnej stronie. Wyczuwała ich zdenerwowanie. Identycznie się denerwowała.

Nie ufała Golo. Był co prawda quarianinem, ale zarazem kryminalistą tak podłym i strasznym, że wydalono go z Floty. Dlatego nie zgodziła się na spotkanie z nim na Omedze: zbyt dobre miejsce na zastawienie pułapki. Z początku protestował, ale w końcu zgodził się spotkać tu, na Shelbie, odizolowanym, niezamieszkałym świecie w sąsiednim Systemie Vinossa.

Atmosfera na Shelbie nadawała się do oddychania, o ile ktoś nie był zbyt wybredny, ale temperatura była zawsze poniżej zera, co sprawiało, że planeta nie nadawała się do rozwoju rolnictwa czy zabudowy. A skorupa zawierała tylko powszechne, mało wartościowe metale, których wydobywanie było w tych warunkach nieekonomiczne. Ten świat był odrzucony – niezamieszkały i pusty. Jeśli Golo zamierzałby ją oszukać, spotkanie w takim miejscu miało dać mu do myślenia, czy rzeczywiście warto się wysilać.

Feda zadrżała, mimo że jej ochrono-kombinezon chronił ją przed najgorszym chłodem. Część jej umysłu chciała zapomnieć o tym spotkaniu, po prostu odwrócić się i odejść. Ale Golo obiecał sprzedać jej cewki filtrujące i katalizatory, a kilka statków z flotylli rozpaczliwie potrzebowało

części zamiennych. Mimo osobistych oporów nie mogła z czystym sumieniem odrzucić tej oferty.

– Tam – zawołał jeden z jej towarzyszy, wskazując na rozległą, pustą błękitną równinę i lśniąca zieloną formację ze skał, które pokrywały powierzchnię planety.

Zbliżał się do nich mały rover, wyrzucający z siebie chmury turkusowego dymu. Feda rozejrzała się ponownie wokół, szukając na horyzoncie śladów innych pojazdów. Ku swojej uldze nic nie zobaczyła.

* * *

Usadowiony na szczycie wysokiej, wystającej zielonkawej skały o milę od nich, Pel obserwował przybycie quarian przez lunetę karabinku snajperskiego Volkov. Miał wątpliwości, czy obcy w ogóle się pokażą, biorąc pod uwagę, jaką reputację miał Golo wśród swoich. Ale quarianin zapewnił go, że przybędą.

Wygląda na to, że mały drań miał rację.

Quarianie wysiedli z pojazdu.

– Mamy trzy cele – rozległ się głos w słuchawkach wbudowanych w jego kombinezon ochronny.

– Alfa bierze tego po prawej – odpowiedział obojętnie. – Beta tego po lewej. Środkowy jest mój.

– Zespół Alfa. Cel namierzony – odpowiedział głos.

– Zespół Beta. Cel namierzony – potwierdził drugi głos, żeński.

Spoglądając przez lunetkę, Pel był pewien, że jego zespół zdoła trafić w cele nawet z tej odległości. Ale wszyscy quarianie mieli na sobie zbroje, a szanse na to, że kula przebije się przez bariery kinetyczne, nim zdążą wrócić do pojazdu, była znikoma. Żeby plan zadziałał, Golo musiał wykonać swoją część.

– Wstrzymać się, aż dam sygnał – rozkazał, biorąc na cel środkowego quarianina.

* * *

Quarianie czekali cierpliwie, aż ich kontakt się zbliży. Feda niebawem słyszała już wycie silnika i szorowanie opon o chropowate, nierówne podłoże. Rzadka atmosfera sprawiała, że wszystkie dźwięki brzmiały cienko i krucho.

Kiedy rover zbliżył się na pięćdziesiąt metrów, Feda uniosła dłoń. Pojazd stanął. Kilka sekund później wysiadł z niego quarianin i zaczął powoli iść w ich stronę, ręce uniosł nad głowę. Zatrzymał się dziesięć metrów od nich, tak jak go poinstruowała, gdy ustalali szczegóły spotkania. Lige i Anwa wyciągnęli swoje karabiny i wycelowali je w przybysza.

– Golo? – zapytała, chcąc potwierdzić tożsamość zamaskowanego mężczyzny.

– Chcecie mnie obrabować? – odpowiedział, wskazując ruchem głowy na wycelowaną w niego broń. W przeciwieństwie do Fedy i jej załogi nie miał zbroi.

– Nie zamierzam ryzykować – odparła. – Nie w twoim przypadku.

Było kilka przestępstw, których popełnienie skutkowało wydaleniem z Floty: morderstwo, powtarzające się akty przemocy, wandalizm czy sabotaż agrostatków albo zapasów żywności. Ale przestępstwo Golo – próba sprzedania quarian Zbieraczom – było wyjątkowo odrażające. Lojalność była kamieniem węgielnym quariańskiej kultury. Przetrawanie Wędrownej Floty wymagało od każdego z jej członków wspólnej pracy. Próba sprzedaży innego quarianina z chęci osobistego zysku była zdradą wszystkiego, w co Feda wierzyła, była niewybaczalnym grzechem.

– Przyszedłeś sam? – zapytała.

Golo skinął głową.

– Części są w ciężarówce, chcecie je zobaczyć?

Feda wyciągnęła swój pistolet i wycelowała w Golo, dając znak Ligemu, żeby sprawdził pojazd. Podeszedł do niego powoli, z wyciągniętą bronią. Rover był prostym pojazdem ciężarowym, z małą dwuosobową kabiną i przyczepą na ładunek z tyłu. Ładownia była niewielkim prostokątnym pudłem z poziomymi przesuwanymi drzwiami do załadunku i rozładunku.

Lige nacisnął na panel z boku przyczepu, ale zamiast otworzyć drzwi, panel wydał ostry dźwięk i zapalił się na czerwono.

– Zamknięte.

– Jaki jest kod dostępu? – zapytała Feda, groźnie wymachując pistoletem w kierunku Golo.

– Siedem dwa sześć dziewięć – odpowiedział, a Lige wprowadził liczby. I wtedy rozpętało się piekło.

* * *

– Przygotujcie się – szepnął Pel do transmitera, gdy jeden z quarian podszedł do pojazdu Golo.

W chwilę później pojawił się jasny błysk, gdy bomba umieszczona z tyłu rovera Golo wybuchła. Wybuch wyrzucił w powietrze quarianina stojącego obok pojazdu, a pozostałych, w tym Golo, zwałił z nóg.

– Ognia – powiedział spokojnie Pel, naciskając płynnym, równym ruchem spust karabinka.

* * *

Eksplozja powaliła Fedę na ziemię. Uderzyła w nią z hukiem, ale quarianka szybko przetoczyła się na nogi i podniosła broń, by strzelić do Golo, wciąż leżącego na ziemi, z głową zakrytą ramionami.

Nacisnęła na spust, ale nic się nie stało. Gdy spojrzała w dół, dostrzegła, że wskaźnik na broni świecił się na czerwono – automatyczny system celowania się przeładował. Przeklinając, nacisnęła przełącznik na rękojeści włączający celowanie ręczne, dobrze wiedząc, że fala uderzeniowa, która uszkodziła jej broń, pozbawiła ją zapewne też tarcz kinetycznych.

Paraliżujący ogień eksplodował w jej ramieniu, gdy pocisk lecący w hiperprzyspieszeniu, nie większy niż główka szpilki, przebił się bez trudu przez wierzchnie warstwy jej pancerza i wbił w skryte pod nimi ciało i kości. Siła uderzenia obróciła ją i wytrąciła jej pistolet z ręki. Poczowała, jak kruszy się jej kolano, i upadła na ziemię, jej krzyk w powietrzu spotkał się z łatwo rozpoznawalnym *zip-zip-zip* towarzyszącym napędzanym kulom tnącym atmosferę.

Widziała ciało Ligeo, leżące tam, gdzie rzucił je wybuch. Jego maska została rozbita przez bliską detonację, zmieniając twarz w krwawą miazgę. Widziała dokładnie jedno oko, wpatrujące się w nią nieruchomo i bez życia. Ciało podrywało się i skręcało, gdy uderzały w nie kule przeciwnika, naboje marnowane na trupa.

Do pojazdu! – krzyczał głos w jej głowie. Posłuszna mu, zaczęła się czołgać na brzuchu do rovera. Nie poczuła uderzenia pocisku, który wszedł w tył jej głowy i zakończył jej życie.

Pel strzelał dalej, pakując kulę za kulą w nieruchome ciało, póki nie usłyszał w hełmie głosu Golo:

– Chyba możecie już przestać. Wszyscy nie żyją.

Wstając, Pel zabezpieczył broń i wsunął ją do uchwyty zamocowanego na plecach.

– Beta, spotkaj się ze mną w punkcie zbiórki. Alfa, wyglądaj posiłków.

Grawitacja na Shelbie stanowiła 0,92 ziemskiej, więc mimo ograniczeń kombinezonu dotarł do celu dość szybko. Zejście na miejsce masakry zajęło

mu trochę ponad pięć minut. Golo czekał tam na niego, a razem z nim dwie kobiety z zespołu Beta. Zabierały już martwym quarianom odzież i sprzęt. Ciemne ubrania były podarte od kul i poplamione krwią, ale było mało prawdopodobne, żeby ktoś to zauważył, nim będzie za późno.

Pel był zbyt postawny, by mógł uchodzić za quarianina, ale kobiety były właściwego wzrostu i budowy ciała. Z twarzami zakrytymi hełmami i owinięte w łachmany trudno było je odróżnić od ofiar strzelaniny.

– Zlokalizowaliście statek? – zapytał Golo, gdy Pel podszedł. Tak jak kobiety, używał ubrań ofiar, by zamaskować swoją tożsamość.

– Zauważyliśmy ich, jak lądowali – powiedział Pel. – Może dziesięć klików stąd.

– Na pokładzie pewnie będzie jeszcze trzech albo czterech – poinformował go quarianin. – Najprawdopodobniej będą uzbrojeni, ale nie będą mieli pancerzy. Pamiętaj, jednego z nich chcecie żywego. Jeśli to możliwe, pilota.

* * *

Hilo'Jaa vas Idenna, pilot jednostki zwiadowczej „Cyniad” ze statku Floty „Idenna”, był zaskoczony, widząc zbliżający się rover Fedy.

Nacisnął przycisk transmisji na radio.

– Feda? Tu Hilo. Słyszysz mnie?

Chwilę później otrzymał odpowiedź, ale towarzyszące jej szumy były tak gęste, że nic nie zrozumiał.

– Feda, nie słyszę cię. Czy wszystko w porządku?

Tym razem odpowiedzią był straszliwy zgrzyt szumów tła, który sprawił, że Hilo aż się wzdrygnął i wyłączył transmitter.

– Przygotujcie się – powiedział do interkomu. – Feda wraca.

– Dlaczego się nie zgłosiła? – zapytał po kilku sekundach głos z interkomu.

– Wygląda na to, że rover ma jakieś problemy z radiem.

– W zeszłym tygodniu je naprawiałem! – zaprotestował głos.

– No to będziesz musiał zrobić to znowu – odpowiedział z uśmiechem Hilo. – Na wszelki wypadek bądź w pogotowiu.

Na „Cyniadzie” awarie nie były niczym niezwykłym. Jak wszystkie statki, jednostki i pojazdy Wędrownej Floty, rover najlepsze lata miał już za sobą. Większość gatunków dawno już by go posłała na złom, ale quarianie, którym brakowało zasobów i materiałów, nie mogli sobie pozwolić na taki luksus.

Hilo zastanawiał się, jak długo jeszcze ich prowizoryczne naprawy pozwolą utrzymać sprawność roвера, nim w końcu będą musieli zaakceptować porażkę i rozebrać go na części. Może chociaż kilka miesięcy. Może rok, jeśli będą mieli szczęście.

Szczęście nie jest ideą, którą zwykle łączy się z quarianami, pomyślał, gdy rover zatrzymał się przed drzwiami do ładowni.

Trzy postaci wyskoczyły ze środka. Jedna gestami dawała znaki, by otworzyli ładownię, żeby rover z ładunkiem mógł wjechać do środka. Hilo wstał z fotela i poszedł pomóc przy rozładunku. Był już w połowie drogi, przeciskając się pomiędzy gtołami i krzesłami małej mesy, kiedy usłyszał strzały i krzyki.

Chwytnąjąc noszony przy pasie pistolet, kopnięciami usunął sobie z drogi krzesła i biegiem rzucił się na pomoc towarzyszom. Na wpół zszedł, na wpół ześlizgnął się po drabinie prowadzącej do ładowni. Ani przez chwilę nie pomyślał, że może zjawić się tam za późno.

Wpadł do ładowni i zamarł oszołomiony tym, co zobaczył.

Przyczepa rovera była otwarta, ale w środku ziało pustką. Załoga była martwa, ich ciała leżały tam, gdzie padli. Kilka uzbrojonych i opancerzonych postaci, zbyt wysokich, jak na quarian, przeszukiwało pomieszczenie w poszukiwaniu żywych. Jednak najbardziej wstrząsnął nim widok Fedy, Ligego i Anwy stojących z bronią wycelowaną prosto w niego. Nawet przyglądając im się z bliska, potrzebował kilku chwil, by rozpoznać przebierańców.

Ale wtedy było już za późno. Jeden z nich strzelił, kula trafiła Hilo w udo i wbiła się głęboko. Krzyknął i upuścił broń. Rzucili się na niego, dwie postacie przycisnęły go do ziemi, a trzecia stała nad nim z wyciągniętą, gotową do strzału bronią. Hilo szamotał się dziko, jego zdjęty rozpaczą umysł nie zarejestrował nawet bólu ani zagrożenia, jakim była broń wroga.

– Uspokój się, to przeżyjesz – powiedziała stojąca nad nim postać w płynnym quariańskim.

Mimo oszołomienia zdołał poskładać fakty i uświadomić sobie, kto do niego mówi. Feda ostrzegła ich przed osobnikiem, z którym mieli się spotkać: wyrzutkiem, który zdradził swój własny lud. Teraz załoga „Idenny” wpadła w jego pułapkę. Ciało Hilo zwiotczało, rozpacz i beznadzieja wzięły górę.

Quarianin pochylił się nad nim, wciąż trzymając broń w ręce.

– Kim jesteś?

Nie odpowiedział.

– Pytałem cię o imię – powtórzył tamten i uderzył kolbą w głowę Hilo, któremu gwiazdy stanęły przed oczami.

– Kim jesteś?

Znowu nie odpowiedział.

Kolejne uderzenie w głowę, zęby Hilo zamknęły się na języku. Poczul w ustach krew, ale nie stracił przytomności.

– Jestem Golo’Mekk vas Usela. Zapytam cię po raz ostatni. Kim jesteś?
Golo, załoga „ Useli ”.

– Nie masz prawa do tego imienia! – krzyknął Hilo. Słowa odbiły się echem we wnętrzu jego hełmu. – Jesteś vas Nedas! Golo nar Tasi!

Załoga niczego. Golo niczyje dziecko. Wyrzutek. Sam. Wykluczony.

Tym razem pistolet trafił w część twarzową hełmu, na tyle mocno, że rozbił szkło. Nieznany, przerażający zapach niefiltrowanego powietrza – powietrza pełnego bakterii i wirusów – dotarł do Hilo.

Przyływ adrenaliny spowodowany czystym, instynktownym strachem dodał mu nowych sił i zdołał wyrwać się napastnikom. Obrócił się na kolana i próbował wstać i biec, ale kula, która trafiła w udo, zmieniła jego mięśnie w bezużyteczną masę miazgi i tkanek. Upadł twarzą na twardą podłogę ładowni.

Ktoś wylądował mu na plecach, z takim impetem, że tchu mu zabrakło. Chwilę później poczuł ostry ból igły wbijanej w kark i jego umysł pochłonęła ciepła błękitna mgła.

Czuł, jak go obracają, ale nie miał sił, by się opierać. Leżał na ziemi, wpatrując się w światła na suficie, nie był w stanie się ruszyć ani odezwać. Błękitna mgła gęstniała, ogarniając go całego, i świat gdzieś odpłynął. Ostatnie, co usłyszał przed zapadnięciem w ciemność, był głos człowieka:

– Rozbiłeś mu maskę. Jeśli coś złapie i umrze, mój szef nie będzie zadowolony.

.9.

Gillian szła przez stołówkę powoli i niepewnie. Inne dzieci rozmawiały i śmiały się: ściana wszechobecnego, przerażającego, bezsensownego dźwięku. Ze wszystkich sił starała się go ignorować.

Tacę z lunchem trzymała przed sobą, ostrożnie balansując nią przy każdym chwiejnym kroku zmierzającym do stołu z tyłu sali. Siadała tam codziennie, sama, tak oddalona od kakofonii i chaosu, jakim były pozostałe dzieci, jak to tylko możliwe. Czasami jakiś wyjątkowo głośny dźwięk – przenikliwy śmiech, brzdęk tacy upadającej na podłogę – sprawiał, że wzdrygała się gwałtownie, jakby ją ktoś uderzył. Ale nawet wtedy za wszelką cenę starała się nie upuścić tacy.

Kiedy była młodsza, zostawała w klasie podczas przerw. Hendel albo pani Sanders przynosili jej lunch i zjadała go w błogosławionej ciszy swojego odosobnienia. Ale już tego nie robiła. Próbowwała się dopasować.

Gillian była boleśnie świadoma tego, że jest inna, i bardziej niż czegokolwiek pragnęła normalności. Ale inne dzieci ją przerażały. Były takie szybkie, takie głośne. Zawsze się dotykały. Chłopcy klepali się po plecach albo szturchali w ramię, czasami się popychali, śmiejąc się głośno z żartów, których ona nie rozumiała. Dziewczęta trzymały się blisko siebie, przykładają do ust zwinięte dłonie i przyciskały je do ucha przyjaciółki, by wyszeptać jakąś tajemnicę. Piszczwały i chichotały, łapiąc się za nadgarstki, przedramiona albo ściskając swoje dłonie. Czasami widziała je, jak zaplatały sobie wzajemnie włosy. Nie mogła sobie wyobrazić, jak to jest żyć w świecie, w którym kontakt fizyczny nie powodował, że ciało płonęło żywym ogniem albo ogarniał je paralizujący chłód.

Przynajmniej nikt jej nie dręczył ani się z niej nie wyśmiewał – w każdym razie nie w twarz. Zwykle unikali jej, trzymali się na dystans. Jednak Gillian nie mogła nie dostrzec ich min, gdy spoglądali w jej stronę – zmieszanie, nieufność, zdziwienie. Była jakimś dziwadłem, które lepiej zostawić w spokoju. Ale starała się. Każdego dnia cierpiała, idąc przez stołówkę, powoli i ostrożnie niosąc tacę do stolika w rogu. Miała nadzieję, że z czasem stanie się to łatwiejsze, bardziej znośne dzięki mozolnemu powtarzaniu. Jak dotąd te nadzieje były płonne.

Dotarłszy do celu, usiadła na tym samym krześle, na którym siadała codziennie, plecami do ściany, tak że widziała stołówkę. Zaczęła jeść powoli, z namysłem, spoglądając na inne dzieci ze strachem i tęsknotą jednocześnie, niezdolna zrozumieć ich świata, ale wciąż pełna nadziei, że pewnego dnia stanie się jego częścią.

* * *

Nick obserwował Gillian idącą pomiędzy stołami. Gdy go minęła, wydał z siebie ostry, szczekliwy skowyt, niczym pies, któremu ktoś nadepnął na ogon. Dziewczyna wzdrygnęła się, ale nie zwróciła na niego uwagi. I, ku jego rozczarowaniu, nie upuściła tacy.

– Ha! A nie mówiłem! – zachichotał uradowany Sshaun.

Nick z ponurą miną oddał mu swoje ciasto czekoladowe, fant, który przegrał w zakładzie.

– Tak w ogóle, to co z nią jest nie tak? – zapytał, nie kierując tego pytania konkretnie do żadnego z sześciu chłopców siedzących przy stole.

– Ma coś z głową, zdaje się – powiedział jeden z jego kolegów. – Słyszałem, jak Hendel raz o tym mówił.

Nick skrzywił się na dźwięk tego imienia. Wciąż był zły na Hendla za szlaban.

– Dlaczego jest w naszej klasie, skoro jest opóźniona? – zainteresował się.

– Nie jest opóźniona, głupku – odparł Sshaun. – Jest tylko dziwna.

– Założę się, że nie jest nawet biotykiem – ciągnął Nick, spoglądając na Gillian.

Dziewczyna gapiła się przed siebie, ale nie był w stanie określić, czy na niego, czy na kogoś innego.

– Przychodzi na wszystkie treningi – zaprotestował jeden z chłopców.

– Ta, ale tylko tam siedzi. Nigdy nie robi ćwiczeń.

– To dlatego, że jest dziwna – powtórzył Sshaun.

Nick był prawie pewien, że teraz dziewczyna patrzy na niego. Pomachał gwałtownie ręką, ale nie wywołało to żadnej reakcji.

– Machasz do swojej laski?

Nick w odpowiedzi pokazał Sshaunowi środkowy palec w geście, którego niedawno się nauczył.

– Dlaczego nie pójdziesz dać jej całusa? – drażnił się z nim Sshaun.

– Dlaczego mi nie obliżesz jajek?

– Po prostu idź i z nią porozmawiaj. Zobaczysz, co robi.

– Hendel powiedział, że nikomu nie wolno jej zaczepiać – wtrącił jeden z pozostałych chłopców.

– Chrzanić Hendla – odpowiedział odruchowo Nick, zerkając jednak przez ramię na stół, przy którym siedział szef ochrony z pozostałymi nauczycielami.

– No dobra – naciskał Sshaun. – Idź tam. Porozmawiaj z nią.

Nick spojrzał po twarzach kolegów, którzy z szerokimi uśmiechami czekali, aż przyjmie wyzwanie.

– Zrób to, to oddam ci ciacho – Sshaun dołożył do wyzwania marchewkę. Słodką.

Nick zawahał się. Wtem jego żołądek zaburczał, widomy znak, że decyzja została już podjęta. Chłopak odsunął krzesło od stołu, nie czekając, aż dopadną go wątpliwości. Rozejrzał się pośpiesznie, by mieć pewność, że Hendel zajęty jest rozmową z innymi nauczycielami, po czym podbiegł do stołu Gillian.

Zatrzymał się gwałtownie i usiadł z impetem na krześle naprzeciw niej. Patrzyła prosto na niego, ale nic nie mówiła. Nagle poczuł się zmieszany i nie na miejscu.

– Hej – powiedział.

Nie odpowiedziała, dalej przeżuwała jedzenie. Zauważył, że jej talerz wciąż był prawie pełen: miska zupy, dwie kanapki, jabłko, banan, kawałek ciasta waniliowego i szklanka mleka.

Ilość jedzenia nie była niezwykła – jedną z pierwszych rzeczy, jakich dzieci się nauczyły, było to, że biotycy odżywiają się obficie niż zwykli ludzie. Ale zaskoczył go sposób, w jaki jadła. Z każdej potrawy odgryziony był jeden kęs, nawet z ciasta.

Spoglądał z pełnym fascynacji niedowierzaniem, jak Gillian odgryza kawałek kanapki, odkłada ją, powoli i z namysłem przeżuwa kęs, przełyka go, a potem sięga po drugą kanapkę, by powtórzyć czynność. Po jednym kęsie przeszła do jabłka, potem do banana, potem do ciasta, potem wypila łyk mleka, potem zupy, a potem znowu sięgnęła po pierwszą kanapkę. Przez cały czas nie odezwała się ani słowem.

– Dlaczego tak jesz? – zapytał w końcu ze zdziwieniem.

– Jestem głodna – odpowiedziała. Jej ton był obojętny i bez wyrazu, co kazało Nickowi przypuszczać, że to nie był żart.

– Nikt tak nie je – powiedział jej. Kiedy nie zareagowała, dodał: – Najpierw powinnaś zjeść zupę i kanapki. Potem owoce. Ciastko na końcu.

Zatrzymała się w pół ruchu, z jabłkiem uniesionym do ust.

– Kiedy piję mleko? – zapytała tym samym bezbarwnym tonem.

Nick pokręcił głową.

– Nie *możesz* być prawdziwa.

Ta nie - odpowiedź wydawała się ją zadowolić, bo wróciła do jedzenia według przyjętego wzoru: po kęsie z każdej potrawy.

Nick zerknął przez ramię na Sshauna i pozostałych. Śmiali się i robili obraźliwe gesty. Odwrócił się do Gillian. Wyglądało na to, że tego nie zauważyła.

– Dlaczego nigdy nic nie robisz na zajęciach z biotyki? – zapytał.

Wyglądała na speszoną, ale nie odpowiedziała.

– Wiesz chociaż, jak to się robi? Jestem niezły w biotyce. Mogę ci pokazać, jak chcesz.

– Nie – odpowiedziała po prostu.

Nick spojrział na nią spode łba. Czuł, że dzieje się coś, czego do końca nie rozumiał, jakby się z niego nabijała czy coś w tym rodzaju. I wtedy wpadł na pomysł.

– Uważaj na swoje mleko – powiedział, uśmiechając się złośliwie. – Wygląda na to, że zaraz się rozleje.

Gdy tylko to powiedział, sięgnął swoimi myślami i „pchnął”. Szklanka przewróciła się i mleko zalało kanapki, wyciekając z tacy na stół i kolana Gillian.

I wtedy Nick nagle poczuł, że leci w tył.

Jacob Berg, profesor matematyki, opowiadał właśnie dowcip o asari i volusie wchodzących do krogąńskiego baru, kiedy Hendel kątem oka dostrzegł coś jednocześnie niezwykłego i przerażającego.

Nick szybował przez stołówkę. Przeleciał dwadzieścia stóp w powietrzu, nim spadł na jeden ze stołów. Siła uderzenia posłała tace w powietrze i połamała stolikowi nogi. Kilku siedzących przy nim uczniów wrzasnęło z

zaskoczenia, a potem w pomieszczeniu zapadła pełna oszołomienia cisza, podczas której wszyscy rozglądali się, szukając tego, kto był za to odpowiedzialny.

Hendel był tak samo zszokowany jak inni, gdy ujrzał stojącą z tyłu sali Gillian z dłońmi uniesionymi w górę i twarzą wykrzywioną furią i gniewem. Ku swojemu przerażeniu uświadomił sobie, że dziewczynka jeszcze nie skończyła.

Stół stojący przed nią wywrócił się, puste krzesła poleciały na boki, jakby kopnięte przez jakiegoś niewidzialnego olbrzyma. Tace w całej stołówce poderwały się pod sam sufit, po czym spadły, rozsypując jedzenie i zastawę na uczniów.

Wybuchła panika. Dzieciaki z wrzaskiem poderwały się ze swoich miejsc i rzuciły do wyjścia, przewracając się i tratując podczas ucieczki. Ich puste krzesła zostały uniesione i rozrzucone po całej stołówce, zwiększając jeszcze chaos.

Hendel przeciskał się przez spanikowany tłum, próbując rozpaczliwie dostać się jak najbliżej Gillian. Mimo że był masywnym człowiekiem, ciężko mu było walczyć z prądem rzeki umykających ciał.

– Gillian! – zawołał, ale jego głos utonął w krzykach uczniów.

Nick wciąż leżał na podłodze pomiędzy odłamkami stołu, na który upadł. Hendel przyklęknął przy nim: chłopak był nieprzytomny, ale oddychał.

Poderwawszy się na nogi, szef ochrony ruszył dalej, rozpaczliwie odpychając dzieciaki na bok, aż udało mu się wydostać z tłumu. Od Gillian dzieliło go już niecałe trzydzieści stóp.

Przestrzeń pomiędzy nimi wyglądała niczym po przejściu tornada: przewrócone stoły i krzesła, podłoga lepiała się od rozsypanego jedzenia, rozlanego mleka i soku. Gillian wciąż stała przy ścianie z wzniesionymi

dłońmi. Krzyczała: głośno, piskliwie, przesywając, wywołując u Hendla ciarki.

– Gillian! – zawołał, biegnąc do niej. – Natychmiast przestań!

Przeskoczył przez powalony stół, niemal tracąc równowagę, bo wylądował na śliskich resztkach czyjegoś lunchu. Rozłożył ramiona, by uniknąć upadku, i niemal w tej samej chwili oberwał w bok krzesłem.

Zabolało, ale cios nie był obezwładniający. Hendel poderwał się z powrotem na nogi. Łokcie i kolana miał ubabrane mlekiem i okruszkami przemoczonego chleba.

– Gillian! – krzyknął znowu. – Musisz przestać!

Nie odpowiedziała, wydawała się nawet go nie zauważać. Znowu ruszył naprzód, ręką sięgając do ogłuszacza przy pasie. Ale zawahał się i zamiast go wyciągnąć, jeszcze raz spróbował przemówić jej do rozumu.

– Gillian, proszę! Nie zmuszaj mnie... – urwał, gdy uderzyła go niewidzialna fala siły biotycznej. Trafiła go prosto w pierś, niczym kowadło spadające z wysoka, wydzierające dech z piersi. Został uniesiony w górę i rzucony przez całą stołówkę, jakby niewidzialna lina pociągnęła go do tyłu. Obijał się o powalone stoły i krzesła, uderzając w nie głową i rozbijając sobie łokieć tak mocno, że stracił czucie w całej prawej ręce.

Zatrzymał się po dwudziestu stopach na stosie krzesel i tac. Chwiejnie spróbował wstać. Wysiłek wywołał kaszel, w ustach poczuł smak krwi.

Przez chwilę zbierał siły, a potem sięgnął do własnych zdolności biotycznych, uwalniając je chwilę później w formie potężnej bariery chroniącej go przed latającymi meblami i dalszymi atakami Gillian.

Kuląc się za swoją lśniącą tarczą, Hendel próbował wyjąć ogłuszacz. Wciąż nie miał czucia w prawej ręce i musiał sięgnąć do kabury lewą.

– Proszę, Gillian, nie zmuszaj mnie do tego! – zawołał raz jeszcze, ale dziewczyna zagłuszała go krzykiem.

Nagle o kilka stóp od niego coś rozbłysło i nadeszła fala gorąca. Obróciwszy głowę, Hendel ujrzał coś niesamowitego: wir skoncentrowanej ciemnej energii otwierał się pionowo, sięgając w stronę sufitu, nabierając masy krytycznej przed zapadnięciem się w sobie.

Jako biotyk z zaawansowanym przeszkoleniem wojskowym Hendel od razu wiedział, co się stało: Gillian stworzyła osobliwość – subatomowy punkt o niemal nieskończonej masie, z wystarczającą siłą przyciągania w środku, by zawinąć materię czasoprzestrzeni. Najbliższe stoły i krzesła zaczęły się ślizgać po podłodze, przyciągane nieuchronnie do epicentrum kosmicznego fenomenu, który nagle objawił się na środku szkolnej stołówki.

Działając instynktownie, Hendel wyskoczył zza swojej bariery, walcząc z gwałtownie rosnącą siłą grawitacji emitowaną przez osobliwość. Z trudem wycelował i wystrzelił. Trafił i osobliwość zniknęła z głośnym trzaskiem, wypuszczając gwałtownie uwiecznione w środku powietrze. Impuls elektryczny uciszył krzyki dziewczynki. Zdawała się stać na czubkach palców, odrzuciła głowę w tył i zeszywniały jej mięśnie. Potem jej ciałem szarpnęły konwulsje, miotnęły kończynami w spastycznym tańcu, wreszcie Gillian runęła na podłogę.

Hendel podbiegł do niej, wzywając przez radio wsparcie medyczne.

* * *

Gillian wymruczała coś przez sen. Kahlee, siedząca przy jej szpitalnym łóżku, odruchowo wyciągnęła dłoń, by pogłaskać ją uspokajająco po czole, i dopiero w ostatniej chwili powstrzymała ten gest.

Zastanowiła się, czy dziewczynka się budzi. Od chwili gdy użyła swoich mocy biotycznych w stołówce, minęło dziesięć godzin, a lekarz powiedział,

że potrzeba od sześciu do dwunastu, by odzyskała przytomność po porażeniu ogłuszaczem.

Kahlee pochyliła się i szepnęła miękko:

– Gillian? Słyszysz mnie?

Dziewczynka zareagowała na jej głos, obracając się z boku na plecy. Jej powieki zadrżały i uniosły się. Ze strachem i zdziwieniem rozejrzała się po nieznanym otoczeniu.

– Już dobrze, Gillian – uspokoiła ją Kahlee. – Jesteś w szpitalu.

Dziewczynka powoli usiadła, rozglądając się wokoło ze zmarszczonym czołem.

– Wiesz, jak tu trafiłaś? – zapytała Kahlee.

Gillian złożyła dłonie na podołku i skinęła głową, spuszczać wzrok, by nie patrzeć na Kahlee.

– W stołówce. Zrobiłam coś złego. Skrzywdziłam ludzi.

Kahlee zawahała się, niepewna, ile szczegółów dziewczynka była w stanie znieść. Doszło do poważnych zniszczeń mienia, zdarzyło się kilka skręceń kostek i kilka palców spuchło tym, którzy zostali nadepnięci albo upadli w tłumie. Najpoważniejsze obrażenia odniósł Nick: doznał wstrząsu i miał poobijany kręgosłup, niemniej wszystko wskazywało na to, że i on całkiem wyzdrowieje.

– Wszystko już z nimi jest w porządku – zapewniła kobieta. – Chcę tylko wiedzieć, co się stało. Czy ktoś cię zdenerwował?

– Nick rozlał moje mleko – odpowiedziała.

Kahlee wiedziała już o tym od chłopca.

– Dlaczego to cię tak zdenerwowało?

Dziewczynka nie odpowiedziała.

– Hendel na mnie krzychał – powiedziała zamiast tego. Zmarszczyła brwi. – Był na mnie zły.

– Nie był zły. Tylko przestraszony. Wszyscy byliśmy przestraszeni.

Gillian milczała przez chwilę, a potem skinęła głową, jakby na znak, że rozumie.

– Pamiętasz coś jeszcze?

Twarz dziewczynki stała się pusta, jakby Gillian sięgała w głąb siebie, próbując tam odnaleźć odpowiedzi.

– Nie – powiedziała w końcu. – Tylko jak Hendel na mnie krzychał.

Kahlee tego się spodziewała. Kiedy Gillian była nieprzytomna, zrobili odczyt, pobierając dane z jej czipów, by sprawdzić, czy mogą się z nich czegoś dowiedzieć. Ale to, co zobaczyli, nie miało sensu. W dniach poprzedzających wybuch jej fale alfa nagle wzrosły, ale nic tego nie tłumaczyło. Osobiście Kahlee uważała, że winny mógł być jakiś czynnik psychologiczny: wykresy wspięły się wyżej dzień po wizycie jej ojca.

– Dlaczego Hendla tu nie ma? – zapytała Gillian. W jej głosie wyraźnie dźwięczało poczucie winy.

– Jest teraz bardzo zajęty – odpowiedziała wymijająco Kahlee.

Szef ochrony wciąż zmagał się z konsekwencjami wydarzeń w stołówce. Starano się jak najbardziej wyciszyć incydent: wydano oświadczenie dla mediów, wyjaśniono wszystko nauczycielom i uczniom, powiadomiono rodziców. Na wszelki wypadek Akademia Grissoma została poddana kwarantannie. Jednak mimo że Hendel był zajęty, Kahlee wiedziała, że coś jeszcze powstrzymuje go od odwiedzenia Gillian. To mógł być gniew, rozczarowanie, albo nawet poczucie winy... a najprawdopodobniej wszystko to naraz. Jednak nie zamierzała tego wyjaśniać dwunastolatce.

– Kiedy przyjdzie mnie odwiedzić?

– Niedługo – obiecała Kahlee. – Powiem mu, że na niego czekasz.

Gillian uśmiechnęła się.

– Lubisz Hendla.

– To dobry przyjaciel.

Uśmiech dziewczynki stał się jeszcze szerszy.

– Pobierzecie się pewnego dnia?

Wbrew sobie Kahlee roześmiała się głośno.

– Myślę, że Hendel nie chce się żenić.

Uśmiech Gillian przygasł, ale nie znikł całkiem.

– Powinien się z tobą ożenić – stwierdziła stanowczo. – Jesteś miła.

Nie była to dobra chwila, by wyjaśniać, dlaczego to się nigdy nie stanie, więc Kahlee postanowiła zmienić temat:

– Będziesz musiała tu zostać przez kilka dni. Rozumiesz?

Uśmiech znikł. Gillian skinęła głową.

– Chcę teraz spać.

– Dobrze – odparła Kahlee. – Kiedy się obudzisz, może mnie tu nie być, ale jeśli będziesz czegoś potrzebować, naciśnij ten czerwony guzik. Pielęgniarka do ciebie przyjdzie.

Dziewczynka spojrzała na przycisk przy łóżku i znowu kiwnęła głową. Potem położyła się i zamknęła oczy.

Kahlee odczekała, aż Gillian zaśnie, i dopiero wtedy wyszła, zostawiając ją samą.

.10.

Kahlee nie ruszyła się z biurka i zignorowała pukanie do drzwi. Wpatrywała się w ekran komputera, próbując znaleźć coś w danych, które pobrali z implantów Gillian. To, co stało się w stołówce, musiało mieć konsekwencje. Przez kilka następnych dni ludzie będą domagać się odpowiedzi. Będą oczekiwali, że Kahlee powie im, co się wydarzyło i dlaczego nikt tego nie przewidział. Jak dotąd nie znalazła żadnego wyjaśnienia, które mogłaby im podać.

Pukanie rozległo się znowu, tym razem bardziej natarczywie.

– Drzwi. Otwórz – powiedziała, nie wstając.

Spodziewała się Hendla, ale zobaczyła Jiro. Ubrany był swobodnie: w niebieską koszulę z długimi rękawami oraz czarne luźne spodnie. W jednej ręce trzymał butelkę wina i korkociąg, w drugiej dwa kieliszki.

– Słyszałem, że miałaś ciężki dzień – powiedział. – Pomyślałem, że przyda ci się lampka wina.

Już miała poprosić, żeby przyszedł kiedy indziej, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i skinęła głową. Wszedł i machnął butelką przed panelem zasuwającym drzwi. Postawił kieliszki na stole i zajął się otwieraniem wina.

– Wiesz już coś o tym, co się stało? – zapytał. Głośno odkorkował butelkę. Pytanie Jiro stanowiło przedsmak tego, co czekało ją w ciągu najbliższych dni.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać – powiedziała, wstając z krzesła i podchodząc do niego.

– Jak sobie moja pani życzy – mrugnął, podając jej wino.

Wzięła mały łyk, pozwalając kubkom smakowym zapoznać się z bukietem. Wyczuwała owoce, bardziej ziemiste niż słodkie.

– Dobrze – powiedziała, upijając kolejny.

– Wybrałem je podczas ostatniej wizyty na Elizjum – odpowiedział z przebiegłym uśmiechem. – Pomyślałem, że to dobry sposób na odprężenie szefowej.

– To mogłoby mnie bardzo odprężyć – przyznała, opróżniła kieliszek i podsunęła go ku Jiro po dolewkę. – A skoro butelka jest już otwarta, to nie ma co go marnować.

Jiro dolał jej wina. Kiedy odstawiał butelkę, Kahlee pochyliła się i ucałowała go szybko, w odpowiedzi otoczył ramieniem jej talię i przyciągnął ją do siebie, tak że ich biodra stykały się ze sobą.

– Nie wiedziałem, że zadziała tak szybko – zaśmiał się.

– Nic nie poradzę na to, że szybko się uczę – odpowiedziała, zręcznie rozpinając wolną ręką górny guzik jego koszuli.

– Mówią, że przed wypiciem trzeba pozwolić winu pooddychać – szepnął, muskając ustami jej ucho.

– Słusznie – odparła i odstawiała swój kieliszek na stół, otaczając Jiro w pasie nogami, gdy niósł ją do łóżka.

Seks nie trwał długo. Kahlee nadawała tempo, szybkie i namiętne, pozwalające pozbyć się napięcia całego dnia, a Jiro z radością się dostosował. Kiedy skończyli, leżeli spleceni na łóżku, nadzy i lśniący od potu, próbując złapać oddech.

– Wiesz, jak sprawić, by kobiecie zaschło w gardle – wydyszała.

Zrozumiawszy sugestię, Jiro wstał z łóżka i wrócił z winem.

– Teraz możemy o tym porozmawiać? – zapytał, podając jej kieliszek i wsuwając się obok niej pod przykrycie. – Może ci to pomóc.

– Nie było mnie tam – przypomniała mu, biorąc kieliszek i przytulając się do kochanka. – Wiem tylko to, co słyszałam.

– Rozmawiałaś z Hendlem?

Mówiąc, przesuwał palcami po jej ramieniu i karku. Delikatna pieśczoła przyprawiała o gęsią skórkę.

– Nie miał za wiele czasu. Rozmawialiśmy tylko kilka minut.

– Więc wiesz więcej niż ja. Co się właściwie stało?

– Gillian zdemolowała stołówkę – powiedziała krótko Kahlee. – Hendel musiał ją obezwładnić ogłuszaczem.

– Wiadomo, jak to się zaczęło? Co ją sprowokowało?

– Sądzimy, że Nick się z nią drażnił.

Jiro pokręcił głową.

– Zawsze szuka kłopotów.

– Tym razem dostał więcej, niż chciał. Hendel mówił, że Gillian cisnęła nim na dwadzieścia stóp.

– Stało mu się coś?

– Poobijał się. Nic poważnego.

– To dobrze – stwierdził Jiro, ale brzmiało to jak odruchowa odpowiedź.

– Sprawdziłaś odczyty Gillian?

Kahlee skinęła głową.

– Jej fale alfa zaczęły rosnać dzień po odwiedzinach Graysona. Wyszły poza skalę.

– Wiesz, co spowodowało wzrost?

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Kahlee poczuła się nieswojo. Wydawał się bardziej podekscytowany niż zmartwiony.

– Nie – przyznała. Po chwili wahania dodała: – Hendel powiedział, że stworzyła osobliwość.

– Jezu! – westchnął z podziwem. – To niesamowite!

Usiadła gwałtownie, strącając jego rękę ze swojego ramienia, i spojrzała na niego ostro.

– Co z tobą? – warknęła. – Wygląda, jakbyś się cieszył z tego, co się stało!

– To jest ekscytujące – przyznał bez zawstydzienia. – Dziewczyna bez zaawansowanego szkolenia wyzwała jedną z najpotężniejszych zdolności biotycznych. Rany. Wiedziałem, że ma potencjał. Ale nie aż taki.

– Zdajesz sobie sprawę, że wyjaśnienie tego będzie koszmarem dla Akademii?

– Niech zarząd się tym martwi – powiedział. – My musimy spojrzeć na to jak na szansę. Zawsze się zastanawialiśmy, co Gillian byłaby w stanie zrobić, gdyby nauczyła się korzystać ze swoich mocy. To może być przełom, na jaki czekaliśmy.

Kahlee spojrzała na niego spode łba, a potem uświadomiła sobie, że po prostu był z nią szczery. I tylko wypowiadał na głos to, o czym ona sama myślała w głębi duszy. Rzecz jasna, martwiła się o Gillian, ale naukowiec w jej wnętrzu już próbował określić, co te wydarzenia oznaczają dla ich badań.

Przestała się dąsać i popiła wina. Potem usiadła, opierając się o nagi tors Jiro. Nie mogła gniewać się na niego za to, że był z nią szczery. Z pasją podchodził do swojej pracy, wciąż był młody i impulsywny. Jednak ludzie kierujący Akademią byli starsi i mądrzejsi.

– Nie podniecaj się za bardzo – ostrzegła go. – Po tym wszystkim zarząd pewnie uzna, że Gillian jest zbyt niebezpieczna, by brać udział w programie.

– Nie pozwolisz im jej wyrzucić, prawda? Teraz, kiedy w końcu zaczęła robić postępy!

– Gillian nie jest jedyną uczennicą Projektu Podniesienie. Tym razem mieliśmy szczęście, ale ktoś mógł zostać poważnie ranny. Albo zginąć.

– Dlatego musimy ją tu zatrzymać – upierał się Jiro. – Gdzie indziej dostanie pomoc, której potrzebuje? Kto nauczy ją, jak kontrolować te moce?

– Jej ojca stać na prywatnego nauczyciela biotyka – odparła.

– Oboje wiemy, że to nie to samo – mówił coraz głośniej. – Nie będą mieli dostępu do takiego personelu i zasobów jak my.

– Mnie nie musisz przekonywać – też podniosła głos. – Ja nie podejmuję tej decyzji. Wszystko zależy od zarządu. I od jej ojca.

– Grayson będzie chciał ją zostawić w programie – odpowiedział z absolutną pewnością w głosie. – Może mógłby zrobić kolejną darowiznę, by pozwolili jej zostać.

– Tu chodzi o coś więcej niż pieniądze.

– Mogłabyś porozmawiać z radą – ciągnął temat. – Powiedzieć im, że Projekt Podniesienie potrzebuje Gillian. Jej odczyty są większe niż u jakiegokolwiek innego dziecka, jakby była zupełnie innym gatunkiem. Musimy ją badać. Jeśli uda nam się zidentyfikować źródło jej mocy, możemy rozwinąć ludzką biotykę do niewyobrażalnego poziomu!

Kahlee nie odpowiedziała od razu. Z pewnego punktu widzenia wszystko, co mówił, było prawdą. Ale Gillian była czymś więcej niż królikiem doświadczalnym, miała tożsamość inną niż dane na ich wykresach. Była osobą. Młodą dziewczyną z problemami przystosowawczymi, a Kahlee nie była pewna, czy zostawienie jej w programie byłoby dla niej na dłuższą metę dobrym rozwiązaniem.

– Porozmawiam z zarządem – obiecała w końcu, ostrożnie dobierając słowa. – Ale nie mogę zagwarantować, jakie rozwiązanie im zarekomenduję. Ani czy mnie posłuchają.

– Zawsze możesz namówić swojego ojca, by z nimi porozmawiał. – Uśmiechnął się krzywo. – Myślę, że jego by posłuchali. W końcu nazwali po nim szkołę.

– Nie będę w to wciągać mojego ojca – odpowiedziała z lodowatą pewnością.

Przez kilka minut siedzieli w ciszy, przerwał ją Jiro, nie zamierzając porzucać tematu Gillian:

– Słyszałem, że jest na oddziale z kwarantanną.

– Tylko na kilka dni. Hendel uznał, że tak będzie bezpieczniej do czasu, aż upora się z tym wszystkim.

Znowu zapanowała cisza i znowu przerwał ją Jiro:

– Pewnie jest przerażona. Chciałbym ją odwiedzić.

To była druga strona Jiro: pełen współczucia młodzieniec martwiący się o odczucia dwunastolatki, a nie o swoje badania. Kahlee obróciła się i pocałowała go w nagi tors.

– Ucieszy się. Możesz pójść jutro. Załatwię ci przepustkę.

* * *

Następnego ranka Kahlee obudziła się z głową obolałą od wypitego poprzedniej nocy wina. Jiro nie było. Kiedy spojrzała na zegarek i zorientowała się, że zasnęła godzinę, była zszokowana.

Wiesz, że się zestarzałaś, skoro butelka wina sprawia, że przesympiasz budzik, pomyślała, powoli wstając z łóżka.

Wtedy zauważyła kartkę na stole, przytrzymywaną w miejscu przez pustą butelkę wina. Rozmasowując obolałe skronie, podeszła, by przeczytać wiadomość.

Poszedłem do Gillian. Wyłączyłem twój budzik. Uznałem, że przyda ci się trochę snu. J.

Zmięła kartkę i wyrzuciła do kosza, idąc pod prysznic.

Kiedy się umyła i ubrała, kac całkiem ustąpił. Chciała porozmawiać jeszcze raz z Gillian i sprawdzić, czy dziewczynka sobie coś jeszcze przypomniała, ale wpieryw musiała zobaczyć się z Hendlem. Zerkając na zegarek, stwierdziła, że o tej porze najpewniej zastanie go w biurze.

* * *

– Jak się masz, dzieciaku? – zapytał Jiro, zaglądając do szpitalnej izolatki Gillian.

Dziewczynka, ubrana w szpitalny szlafrok, siedziała na łóżku, patrząc na pustą ścianę przed sobą. Kiedy usłyszała jego głos, odwróciła się do drzwi i uśmiechnęła.

Kiedyś, kiedy zaczął ją szprycować, Jiro obawiał się, że mała się do niego zrazi. Jej stan sprawiał, że była bardziej spostrzegawcza niż inne dzieci, i bał się, że może wyczuć ukryty motyw jego zainteresowania nią. Ale okazało się, że Gillian zareagowała wręcz odwrotnie – naprawdę wydawała się go lubić.

Jiro miał własną teorię wyjaśniającą jej reakcję. Fascynowały go badania Cerberusa nad ludzką biotyką i nie mógł się doczekać efektów, jakie ostatnio dostarczone serum wywoła u Gillian. Zawsze był podekscytowany, pobierając jej odczyty. Podejrzewał, że Gillian reaguje na jego podniecenie i radość, przez co przy nim jest bardziej aktywna niż przy innych technikach.

– Ładne masz lokum – dodał, wchodząc i stając przy jej łóżku.

– Chcę wrócić do mojego pokoju – odpowiedziała dobrze mu znanym monotonnym tonem.

Kiedy mówiła, przyglądał jej się uważnie, szukając jakichś śladów zmiany. *Żadnych widocznych objawów*, zanotował w myślach.

– Teraz jeszcze nie możesz wrócić do swojego pokoju – powiedział na głos. – Wszyscy wciąż próbują dojść, co się stało w stołówce. – *Ja też.*

Kiedy Grayson dał mu w zeszłym tygodniu fiolkę, miał przeczucie, że zdarzy się coś wielkiego. Nie potrafił wyjaśnić skąd, ale wiedział, że doszło do przełomu. Do stworzenia czegoś, co od razu chcieli przetestować na Gillian. Ale nie spodziewał się, że efekty pojawią się tak szybko... i że będą tak ogromne.

Nie miał wątpliwości, że niezwykle przejaw mocy u dziewczynki był wywołany przez tajemniczą substancję od Cerberusa. Niestety, ogromny sukces jednocześnie zagroził eksperymentowi. Tego dnia miał podać Gillian kolejną dawkę, ale nie mógł tego zrobić w tym miejscu. Zbyt wielu ludzi, zbyt wiele kamer.

– Nienawidzę tego pokoju – powiedziała Gillian.

– Może się przejdziemy? – zaproponował, korzystając z okazji, by wyprowadzić ją z izolatki w bardziej odludne miejsce. – Moglibyśmy pójść do atrium.

Rozważała propozycję przez dobre pięć sekund, potem skinęła głową, raz.

– Ubierz się – powiedział. – Powiem pielęgniarce, że wychodzimy.

Wyszedł z pokoju i skierował się do biurka w recepcji. Pielęgniarkę siedzącą za nim widywał w Akademii, ale nie znał jej imienia. Nie powstrzymało go to od flirtowania z nią, gdy tylko się tu zjawiał.

– Już pan wychodzi? – zapytała, uśmiechając się szeroko. Była niewielka, miała ciemną skórę i okrągłą, ładną twarzyczkę.

– Zabiorę Gillian do atrium. Chwila przerwy od izolatki dobrze jej zrobi. Zmarszczyła nos.

– Obawiam się, że nie wolno nam jej wypuszczać – powiedziała przepraszająco.

– Odprowadzę ją, jak tylko łyknie sobie świeżego powietrza – zażartował.

Przestała wyglądać na zmartwioną, ale wciąż nie była przekonana.

– Hendlowi by się to nie spodobało.

– Hendel to jedna wielka kwoka. – Roześmiał się. – Poza tym oddam mu ją, zanim ktokolwiek się zorientuje, że wyszła.

– Nie chcę mieć problemów – wahała się, jeszcze nie była do końca przekonana.

Pochylił się nad biurkiem i uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu.

– Nie martw się, Hendel i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Obronię cię przed nim. – Mrugnął uwodzicielsko.

Po chwili wahania poddała się i podała mu kartę pacjentki.

– Tylko nie za długo – ostrzegła, gdy wypisywał Gillian.

Oddając jej kartę, uśmiechnął się raz jeszcze i odwrócił do drzwi pokoju. Stała w nich Gillian, wpatrując się w nich intensywnie.

– Czas iść – powiedział, a ona podeszła posłusznie.

* * *

Kahlee nie była zaskoczona, odkrywszy, że drzwi do gabinetu Hendla są zamknięte. Mogła sobie tylko wyobrazić, z czym musiał się zmierzyć w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Drzwi. Otwórz! – usłyszała, jak wykrzykuje komendę w odpowiedzi na pukanie.

Kiedy zobaczył ją za progiem, dał jej znak, by weszła, a potem polecił:

– Drzwi. Zamknij.

W gabinecie Hendla panował bałagan, ale to nie było nic niezwykłego. Nie lubił roboty papierkowej, a ciągle jej przybywało. Zawsze miał na

biurku stosy wydrukowanych raportów, kilka kolejnych na podłodze, wszystkie czekające na przejrzanie. Na metalowych szafkach piętrzyły się formularze, podania i dokumenty wymagające podpisu albo wsadzenia do odpowiedniej teczki.

Szef ochrony siedział za swoim biurkiem, wpatrując się w ekran komputera. Kahlee przeszła przez pokój i zajęła jedno z dwóch krzeseł stojących po drugiej stronie biurka. Hendel wyłączył monitor, i wzdychając ciężko, odchylił się do tyłu na swoim krześle.

Od wczoraj, kiedy go ostatnio widziała przed szpitalnym pokojem Gillian, zmienił przemoczone, poplamione jedzeniem ubranie, ale wyglądało na to, że prysznic wziąć nie zdążył. Widziała okruszki chleba w jego włosach i krótkich rudawych wąsach. Policzki miał nieogolone, oczy przekrwione i podkrążone.

– Pracowałeś całą noc? – zapytała.

– Kontrola szkód – odpowiedział. – Jakiś dupek z załogi już puścił przeciek. Dzwonią do mnie media, administratorzy szkoły, urzędnicy i wściekli rodzice. Rodzice są najgorsi.

– Martwią się tylko o swoje dzieci.

– Tak, wiem – przytaknął. – Ale jeśli dowiem się, kto puścił parę, to dopilnuję, żeby go wywalono. – Pochylił się do przodu, uderzając pięścią w stół dla podkreślenia swoich słów.

– Skontaktowałeś się już z Graysonem?

Hendel z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Zostawiłem wiadomość, ale nie oddzwonił.

– Może nie jest w zasięgu.

– Numer na sytuacje awaryjne jest gównie wart, jeśli go nie odbierasz podczas sytuacji awaryjnej – warknął i od razu przeprosił: – Wybacz. Mam za dużo na głowie.

- Chcesz o czymś porozmawiać?
- Nie. – Oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

Kahlee czekała cierpliwie, w milczeniu. Kilka sekund później Hendel spojrzał na nią i powiedział miękko:

- Myślę, że może będziemy musieli usunąć Gillian z programu.
- Też tak myślę. – Współczująco skinęła głową.

Hendel znowu odchylił się do tyłu i oparł nogi na biurku, zadzierając głowę i spoglądając w sufit.

– Myślę o oddaniu się do dyspozycji zarządu – powiedział mimochodem, co mocno kontrastowało z treścią.

– Co? – wykrzyknęła Kahlee. – Nie możesz zrezygnować! Dzieci cię potrzebują!

– Czyżby? – zastanowił się na głos. – Wczoraj zawiodłem je, gdy potrzebowały mnie najbardziej.

– O czym ty mówisz? Tylko Nick i Gillian odnieśli obrażenia, ale za kilka dni wydobrzeją. Zrobiłeś wszystko jak należy!

Zdjął nogi z biurka i usiadł, pochylając się ku niej.

– Nie zrobiłem – powiedział śmiertelnie poważnym tonem. – Kiedy zdałem sobie sprawę, że Gillian nie przestanie, powinienem był ją od razu ogłuszyć. Ale zawahałem się.

– To chyba dobrze – zaprotestowała Kahlee. – Bardziej bym się martwiła, gdybyś to zrobił bez zastanowienia.

– Wszyscy w stołówce byli w niebezpieczeństwie – wyjaśnił jej powoli.
– Każda sekunda opóźnienia w unieszkodliwieniu Gillian oznaczała, że komuś może stać się krzywda. Albo coś gorszego.

– Ale się nie stało. Nie ma powodu się tym drećzyć.

– Nie rozumiesz – powiedział, potrząsając głową z frustracją. – Przedłożyłem bezpieczeństwo Gillian nad bezpieczeństwo innych uczniów

Akademii. Na tym stanowisku nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem wyszkolony, jak reagować w sytuacjach zagrożenia, i nie mogę pozwolić, by przeszkadzały mi osobiste uczucia.

Kahlee z początku milczała, przetwarzając informację. Sądziła, że Hendel przesadza, ale nie był kimś rzucającym słowa na wiatr. Mówił poważnie o odejściu.

– Co zrobisz?

– Myślałem o poproszeniu Graysona, by zatrudnił mnie jako prywatnego nauczyciela Gillian.

Nagle wszystko odzyskało sens. Kahlee uświadomiła sobie, że Hendel nie czuł się winny z powodu tego, co się stało. Nie naprawdę. Troszczył się o wszystkie dzieci z programu, ale Gillian była inna.

Potrzebowała większej pomocy. Potrzebowała więcej czasu i uwagi. Z tego powodu Hendel przywiązał się do niej bardziej niż do innych. To nie było sprawiedliwe, ale czy życie było?

Gillian była dla niego kimś szczególnym. Troszczył się o nią. Kochał ją. I był gotów zrobić wszystko, by być częścią jej życia, nawet jeśli to oznaczało porzucenie kariery.

– Wstrzymaj się trochę z tą rezygnacją – powiedziała, poklepując go po ramieniu. – Przynajmniej do czasu, gdy będziemy wiedzieć, czy zarząd pozwoli Gillian zostać.

– Nie pozwoli. Oboje o tym wiemy.

– Pewnie nie – przyznała. – Ale zawsze jest szansa. – Przypomniała sobie rozmowę z Jiro. – Jeśli będzie trzeba, włączę w to mojego ojca.

– Twojego ojca? – nie zrozumiał Hendel.

– Admirala Jona Grissoma.

Hendel otworzył usta ze zdziwienia.

– Grissom to twój stary? Ja... ja... nie wiedziałem.

– Nie lubię o nim mówić – powiedziała. – Chyba tylko Jiro o nim wie.

– Jak zareagował, gdy mu powiedziałaś? – Hendel był wciąż oszołomiony.

– Ja... nie pamiętam – odpowiedziała niepewnie Kahlee, próbując sobie przypomnieć. *Zabawne. Powinnam pamiętać, że mu o czymś takim powiedziałam.* – Nie pamiętam, kiedy mu mówiłam. Ale wie. Rozmawialiśmy o tym zeszłej nocy. – *Ale jeśli mu nie powiedziałam, to skąd wie?*

Na twarzy Hendla niedowierzanie ustąpiło miejsca niepokojowi.

– Kahlee? Co się stało? Coś nie tak?

– Nikt nie wie, kim jest mój ojciec – powiedziała powoli, próbując połączyć fakty. – Nie ma tego nawet w moich aktach Przymierza. Jest tylko jeden dokument, w którym jest o tym mowa: tajny raport, który Anderson wypełnił dwadzieścia lat temu. Ścisłe tajny.

– I jesteś pewna, że nigdy mu o tym nie mówiłaś? Po cholere dawać komuś z techników dostęp do ściśle tajnych akt? – Hendel był zmartwiony.

– Coś tu nie pasuje.

Kahlee mogła tylko przytaknąć, oszołomiona możliwością, że człowiek, z którym sypiała, okłamywał ją. *Jak bardzo? I dlaczego?*

– Muszę porozmawiać z Jiro. Natychmiast! – powiedział Hendel, otwierając szufladę biurka i wyciągając pistolet. – Gdzie jest? – zapytał, przypinając broń na biodrze.

– Poszedł do Gillian.

Hendel błyskawicznie nacisnął guzik telefonu na biurku. Kahlee też była niezadowolona, ale pośpiech Hendla ją zaskoczył. Może chciał znowu odzyskać kontrolę, skupić się na czymś innym niż wydarzenia poprzedniego dnia.

– Oddział kwarantanny – rozległ się głos pielęgniarki.

– Szef ochrony Mitra. Czy doktor Toshiwa był już u Gillian?

– Tak, sir. Zabrał ją do atrium. Czy chce pan, żebym...

Hendel zakończył połączenie i krzyknął:

– Drzwi. Otwórz! – Wybiegł z pokoju. Zrobił to tak szybko, że Kahlee potrzebowała chwili, by zorientować się, co się dzieje, i pobiec za nim.

.11.

– Już prawie jesteśmy – powiedział zachęcająco Jiro. – Jeszcze kilka kroków i będziemy mogli usiąść.

Gillian poruszała się powoli, robiąc jeden boleśnie dokładny krok za drugim na jednej z alejek atrium Akademii Grissoma. Powinien był to przewidzieć. Drzewa i rośliny rozpraszały ją, liście w miriadach różnych kształtów i kalejdoskop barw stanowiły zbyt wiele bodźców dla jej systemu postrzegania, który nie był w stanie ich wszystkich naraz przyswoić.

Jak na razie nikogo nie spotkali. Nie było to nic dziwnego, o tej porze większość nauczycieli i uczniów była na lekcjach. Ale ścieżki, którymi szli, były popularne wśród biegaczy korzystających z wolnej chwili, by zażyć trochę ruchu. Jiro nie zamierzał podawać Gillian serum w miejscu, gdzie jakiś żołnierz mógłby ich przyłapać podczas joggingu. Starał się jak mógł ją ponaglać, uważając, by jej przy tym nie dotykać ani nie dawać jej odczuć swojego zdenerwowania.

– Gillian, odpoczniemy przy wodospadzie. Chodź. To już niedaleko.

Atrium było pięcioakrowym parkiem, starannie rozplanowanym wewnątrz stacji, by zapewnić personelowi i uczniom kontakt z naturą. Szklany dach był wyposażony w lustra, które odbijały i przekierowywały światło słońca Elizjum na rosnące w dole drzewa, symulując dni, noc i pory roku planety.

Roślinność składała się głównie z gatunków rosnących na planecie, choć w specjalnych, otaczanych szczególną opieką ogrodach rozsianych po parku można było znaleźć egzotyczne gatunki sprowadzone z innych kolonii. Żyła tu też starannie monitorowana populacja owadów, ptaków i

małych ssaków z Elizjum i kilka gatunków ryb w strumieniach przecinających park.

Strumienie były sztuczne, woda krążyła w nich w obiegu zamkniętym, którego początkiem i końcem jednocześnie była wielka sadzawka na porośniętym trawą wzgórzu wznoszącym się na środku parku. U stóp wzgórza była mała polanka, na której woda z sadzawki tworzyła wodospad – popularne miejsce pikników i lunchy. Jednak Jiro uważał, że o tak wczesnej porze nie będzie tam nikogo... a polanka leżała z dala od uczęszczanych ścieżek.

– Świetnie, Gillian – pochwalił ją, gdy znowu zaczęła iść, rozglądając się powoli na boki z uznaniem dla otaczających ją dziwów.

– Dobrze, a teraz skręćmy – powiedział, kiedy dotarli do rozgałęzienia ścieżek. W sztucznym świetle słońca było ciepło, zaczynał się pocić pod kitlem.

Po drodze do wodospadu potknęła się: w przeciwieństwie do zadbanych głównych ścieżek tutaj ziemię pozostawiono samej sobie, nierówną, z wystającymi korzeniami. Jiro podtrzymał ją za łokieć, by się nie przewróciła. Na szczęście jej uwaga skupiona była na elizjańskim odpowiedniku wiewiórki obserwującym ich z gałęzi w górze i nie zareagowała na jego dotyk.

Wciąż trzymając ją za łokieć, Jiro przeprowadził ją szybko ścieżką do celu. Wokół polany ustawiono sześć ławek, każdą tak, by siedzący na niej mogli obserwować wodę spadającą z wysokości piętnastu stóp do sadzawki w dole. Jiro ulżyło, gdy okazało się, że ławki są puste.

Do lunchu została jeszcze godzina i mało prawdopodobne było, by ktoś zjawił się wcześniej. Ale nie chciał ryzykować bardziej, niż to było konieczne. Wciąż trzymając Gillian za łokieć, zaprowadził ją do jednej ze stojących w cieniu ławek i pomógł jej usiąść. Potem ją puścił.

Odczekał, aż dziewczynka oswoi się z nowym otoczeniem. Miał nadzieję, że delikatny szum wodospadu podziała na nią uspokajająco.

Po kilku chwilach zapytała:

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

Zdał sobie sprawę z tego, że musiała wychwycić jego pośpiech. Dobierał ostrożnie słowa. Nie chciał jej przestraszyć ani zmartwić, nie po tym, co pokazała na stołówce.

– Gillian, muszę sprawdzić twoje odczyty – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał profesjonalnie.

Zmarszczyła brwi, a jego serce zaczęło bić mocniej.

– Panna Sanders sprawdzała je wczoraj.

– Wiem, że tego nie lubisz, ale muszę sprawdzić je znowu – wyjaśnił. – Z powodu tego, co stało się wczoraj.

Gillian przygryzła wargę, potem skinęła głową i pochyliła się, odsłaniając kark.

Jiro sięgnął do kieszeni kitla laboratoryjnego i wyciągnął fiolkę, którą dostał od Graysona. Z drugiej kieszeni wyjął długą strzykawkę.

– To może zboleć – ostrzegł dziewczynkę, napełniając strzykawkę płynem.

Delikatnie odciągnął w dół kołnierzyk jej koszulki i zagłębił igłę pomiędzy jej ramionami, ostrożnie wbijając czubek w kręgosłup.

Zgodnie z instrukcjami Cerberusa poprzednią dawkę podał jej doustnie, rozpuszczając ją w szklance wody, którą przyniósł dziewczynce do pokoju. Jednak w ramach eksperymentu każda kolejna dawka miała zostać podana poprzez zastrzyk do rdzenia kręgowego.

Gillian załkała lekko, gdy wbijał igłę.

Jiro nie wiedział dokładnie, jakie substancje jej podaje, ale wiedział dość, by uznać, że to jakiś neurologiczny stymulant. Poprzednia dawka

została rozpuszczona w jej systemie trawiennym, nim trafiła do systemu krążenia i w końcu pokonała granicę między krwią a mózgiem. Za to wstrzyknięcie bezpośrednio do płynu mózgowo-rdzeniowego powinno mieć szybsze i gwałtowniejsze skutki.

– Zrobione – powiedział, wyciągając igłę.

Gillian podniosła głowę i skupiła wzrok na wodospadzie. Jedną ręką bezmyślnie sięgnęła do karku, w miejsce, gdzie zrobił jej zastrzyk.

Dziwne, wcześniej tego nie robiła.

– Boli? – zapytał.

Dziewczynka nie odpowiedziała, chociaż jej ręka opadła. Zawisła przy boku, drętwa i bezużyteczna.

– Gillian? Co się dzieje?

Głowa uczennicy opadła na bok, oczy się wywróciły. Ciało zaczęło drżeć, potem się trząść, na tyle mocno, by zrzucić ją z ławki. Jiro zdołał złapać podopieczną na chwilę przed tym, jak uderzyła w ziemię.

Położył ją na boku. Napad drgawek miotał jej ramionami i nogami.

– O Jezu – jęknął, gdy na ustach dziewczynki pojawiła się piana.

* * *

Stopy Hendla uderzały w podłogę dormitorium, a echo kroków towarzyszyło mu, gdy biegł do atrium. Nawet biegnąc, próbował ocenić sytuację.

Jiro może nie być tym, za kogo go mamy.

To nie oznaczało od razu, że jest wrogiem, ale Hendel wiedział, że trzeba zakładać najgorsze. Wyciągnął broń, jednym szybkim ruchem wydobywając ją z kabury bez zwalniania kroku.

Rozważał wezwanie wsparcia, ale szybko odrzucił ten pomysł. Jiro nie wiedział, że jego przykrywka jest spalona. Hendel nie chciał, by ktokolwiek

zdradził to przed nim przedwcześnie.

Po co zabrał Gillian do atrium?

Nie wiedział, co łączyło Jiro z Gillian ani czy w jakiś sposób był on odpowiedzialny za to, co się stało w stołówce. Ale miał zamiar się dowiedzieć... po dobroci albo w inny sposób.

Skręcając za róg, Hendel wpadł na ścianę, uderzając w nią biodrem i ramieniem w ten sposób, że prawie go to nie spowolniło.

Na oddziale kwarantanny jest za dużo ludzi. Potrzebne mu było odludne miejsce. Ale po co?

Skręcił po raz kolejny, przebiegł przez krótki korytarz, skręcając w lewo, do zalesionego atrium. Jeśli Jiro potrzebował odosobnienia, musiał zabrać Gillian gdzieś poza główne ścieżki. Ale nie mógł jej tak po prostu zaciągnąć do lasu, panikowałyby za każdym razem, gdy uderzałaby w nią gałąź.

Polana przy wodospadzie.

Idąc z Gillian, Jiro musiał trzymać się ścieżek, w tym długiej, rozgałęziającej się drogi prowadzącej na polanę. Hendel nie musiał się tym martwić. Ufając swojemu wyczuciu kierunku, zboczył ze ścieżki, przebijając się przez krzaki i zarośla.

Rośliny uderzały go w twarz i rozdzierały mu ubranie. Odepchnął na bok gałąź elizjańskiej jodły, która za chwilę odskoczyła z powrotem na miejsce, znacząc jego policzek czerwonymi zadrapaniami.

Hendel po prostu zignorował ból, biegnąc naprzód, aż wypadł na polanę. Jiro klęczał na ziemi nad ciałem Gillian.

– Odsuń się od niej! – wrzasnął Hendel, celując w niego z pistoletu.

Młody naukowiec podniósł głowę, przerażony i zaskoczony.

– Wstań i odsuń się!

Jiro wykonał polecenie, poruszając się powoli, z rękami w górze.

– Nie wiem, co się stało. Dostała jakiegoś ataku.

Hendel rzucił szybkie spojrzenie na Gillian, która leżała na ziemi, miotana konwulsjami.

– Tam – wskazał lufą broni. – Na ziemię. Twarzą do dołu. Nie ruszaj się.

Jiro posłusznie spełnił rozkaz, wtedy Hendel podszedł do Gillian i padł przy niej na kolana, skupiając całą swoją uwagę na dziewczynce.

* * *

Odważywszy się lekko unieść głowę, Jiro zobaczył, jak szef ochrony pochyla się nad uczennicą. Powoli i w ciszy odpiął przymocowany przy pasie ogłuszacz. Kiedy Hendel odłożył pistolet na ziemię przy Gillian, by sprawdzić jej puls i oddech, Jiro wycelował i strzelił.

Strzał trafił szefa ochrony między łopatki, sprawiając, że mężczyzna wygiął się w tył i krzyknął, a potem zwałił się na ciało Gillian.

Jiro poderwał się na nogi i podbiegł, by podnieść broń Hendla lewą ręką. W prawej wciąż trzymał ogłuszacz. Gdy zaciskał palce na kolbie, dłoń szefa ochrony złapała go zniemacka za nadgarstek.

Wydawszy okrzyk zaskoczenia, Jiro próbował się wyrwać. Hendel – oszołomiony, ale jakimś cudem wciąż przytomny mimo trafienia stoma tysiącami woltów – nie przestawał wykręcać nadgarstka Jiro, by zmusić go do puszczenia broni.

Jiro kopnął osłabionego przeciwnika. Pierwsze kopnięcie trafiło w żebra i sprawiło, że olbrzym jęknął z bólu i puszczał nadgarstek Jiro, przetoczył się na bok. Drugie wymierzone było w brzuch, ale Hendel zdołał złapać Jiro za nogę.

Straciwszy równowagę, chłopak upadł na ziemię. Hendel rzucił się na niego. Zmagali się krótko, odtaczając się od miejsca, w którym leżała

Gillian. Szef ochrony był większy, silniejszy i lepiej wyszkolony. Ale Jiro wciąż miał swój ogłuszacz.

Przytknął go do żeber przeciwnika i wystrzelił, w chwili gdy Hendel uderzył go łokciem w skroń.

Jiro doszedł do siebie pierwszy, chwiejnie wstając. Kołysząc się, by utrzymać równowagę, ujrzał coś nieprawdopodobnego: Hendel próbował wstać. Młodzieniec wciąż miał ogłuszacz w ręce i użył go po raz trzeci, wyczerpując baterię. Hendel runął twarzą na ziemię i znieruchomiał.

Nie zamierzając ryzykować, na wypadek gdyby przeciwnik jednak jeszcze wstał, Jiro odwrócił się i uciekł pomiędzy drzewa. Odrzuciwszy bezużyteczny ogłuszacz, biegł nierówno i chwiejnie przez park, próbując otrząsnąć się z oszołomienia wywołanego ciosem w skroń.

* * *

Kiedy Kahlee dotarła do wejścia do atrium, jej płuca płonęły. Próbowała dotrzymać tempa Hendlowi, ale z każdym jego ogromnym krokiem zostawała coraz bardziej z tyłu. W kilka sekund straciła go z oczu, w kilka minut później przestała go nawet słyszeć.

Parła naprzód, biegnąc przez korytarze i klatki schodowe do atrium... a teraz nie wiedziała, gdzie dalej iść. Zatrzymała się i czekała, próbując złapać oddech i zastanawiając się, co teraz.

Mogła wezwać wsparcie. Przy wejściu do atrium był telefon alarmowy. Ale Hendel był szefem ochrony i gdyby chciał wsparcia, to już by je wezwał.

Pewnie przesadzasz, powiedziała sobie. Wiesz tylko, że Jiro cię okłamał. Możesz się wkurzać, ale to nie powód, żeby nasyłać na niego ochronę.

Zaczęła chodzić w tę i z powrotem, sfrustrowana własną bezczynnością, ale wciąż bez pojęcia, co zrobić. Mogła iść ich szukać, ale w parku było

wiele ścieżek, łatwo mogła wybrać niewłaściwą i ich zgubić. Jednak było tylko jedno wejście, więc czekanie tutaj oznaczało, że w końcu musieli ją minąć.

A jak to zrobią, to będę się domagać odpowiedzi!

* * *

Hendel nie czuł swojego ciała. Nie wiedział, czy spał, był przytomny, żywy czy martwy. Jego głowa była bulgoczącym kotłem luźnych, niejasnych myśli i odczuć. I nagle jeden wyraźny obraz wypłynął na powierzchnię.

Gillian.

Wziął głęboki oddech, wstrzymał go na trzy sekundy, potem powoli wypuścił powietrze. Zachowanie było instynktowne: ćwiczenie służące uspokojeniu i skupieniu zostało mu wbite do głowy podczas lat treningu biotycznego. Kolejny głęboki oddech i świat wokół znieruchomiał, a kawałki jego świadomości wróciły na miejsce.

Leżał twarzą do ziemi. Każdy mięsień w ciele płonął kwasem mlekowym, zmęczeniem i absolutnym wyczerpaniem.

Strzelił do ciebie z ogłuszacza. Ten sukinsyn strzelił z ogłuszacza.

Był zmęczony. Potrzebował snu. Nic innego nie był w stanie zrobić.

Nie waż się mdleć, ty bezużyteczny sukinsynu!

Słowa były jego, ale głos, który je wypowiadał w głowie, należał do sierżanta musztry z czasów jego podstawowego szkolenia. Zawsze kiedy podczas swojej kariery w Przymierzu słabł – opadał z sił podczas biegu na dwadzieścia kilometrów, padał wyczerpany po godzinach treningu biotycznego – słyszał ten głos, bezlitośnie poganiający go naprzód. Ale te dni miał już za sobą. Był na emeryturze. Nie był już żołnierzem.

Nie wciskaj mi tego gówna! Kto raz został żołnierzem, zawsze jest żołnierzem! A teraz podnieś swoją leniwą dupę i rusz się!

Jakimś cudem znalazł dość sił, by podnieść się na czworaka. Wtedy dostrzegł Gillian, wciąż leżącą na trawie. Nie targały nią już konwulsje. W ogóle się nie ruszała. Nawet nie oddychała.

Nacisnął guzik alarmu na swoim pasie. Zespoły ochrony i ratowników medycznych wyruszą natychmiast do źródła sygnału. Czas reakcji do atrium wynosił siedem minut.

Za długo. Nie może tyle czekać.

Mięśnie wyły mu z bólu, gdy zaczął się czołgać do Gillian, zbyt zmęczony, by choć spróbować wstać.

* * *

Jiro wyrzucał z siebie długą serię wyzwisk w swoim ojczystym języku, przeklinając kolczaste gałęzie, które darły mu ubranie, gdy przedzierał się przez las. Ale nie zatrzymywał się. Nie wiedział, jak długo Hendel będzie nieprzytomny. Musiał w jakiś sposób wydostać się ze stacji, nim szef ochrony się ocknie.

W doku stał wahadłowiec awaryjny, którym mógł polecieć na planetę. Jeśli Jiro wymyśli dobrą wymówkę, to zdoła przekonać albo przekupić pilota, by go zabrał. A jeśli nie, to będzie musiał porwać albo ukraść jednostkę. Plan był szalony i rozpaczliwy, ale on był w rozpaczliwym położeniu. Od chwili gdy Hendel nakrył go na polanie, chłopak wiedział, że jego jedyną szansą jest ucieczka ze stacji.

Wypadł z krzaków na ścieżkę, mniej niż dwadzieścia stóp od wyjścia z atrium. Nie zauważył stojącej z boku Kahlee, póki go nie zawołała.

– Jiro? Co ci się stało? – zapytała, podchodząc.

Spoglądała z nieufnym zainteresowaniem na jego podartą koszulę, zadrapania na twarzy i rękach i na siniaka na skroni, w miejscu gdzie Hendel go uderzył.

– Jiro – jej głos był poważny – chcę wyjaśnić. Gdzie Hendel?

– Skąd mam wiedzieć? – odparł ze śmiechem. – To twój przyjaciel, pamiętasz?

Gdyby podeszła choć trochę bliżej, mógłby ją złapać, nim zdołałaby pobiec po pomoc. Ale zatrzymała się poza jego zasięgiem.

– Wypisałeś Gillian z izolatki. Gdzie ona jest?

Słyszając jej oskarżycielski ton, uświadomił sobie, że się z tego nie wywinie.

– Z drogi – powiedział zimno, rezygnując z udawania. – Albo pożałujesz.

– Nigdzie nie pójdziesz – powiedziała, uginając lekko kolana i stając w pozycji do walki. – Nie póki nie dowiem się, co jest grane.

Jiro prędko ocenił sytuację. Skutki walki z Hendlem już minęły, był młody i cięższy od Kahlee o pięćdziesiąt funtów. Wiedział, że w wojsku przeszła szkolenie z walki wręcz, ale uznał, że przewaga jest po jego stronie. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami, udając, że się poddaje. A potem rzucił się na nią.

Miał nadzieję wziąć ją z zaskoczenia, ale nie dała się nabrać na ten prosty wybieg. Kopnęła go w kolano i zrobiła unik. Zachwiał się. Chciał ją uderzyć pięścią, ale jego cios trafił w powietrze. Kahlee prześlizgnęła się pod jego niezgrabnym atakiem. Odwrócił się do niej, szykując się do kolejnej ofensywy.

Nie zdołał już nic zrobić. Kahlee zaatakowała, lewą pięścią celując w jego twarz. Uchylił się w bok, prosto na hak jej prawej pięści. Dostał w szczękę i zatoczył się w tył, stękając z bólu.

Nie miała zamiaru pozwolić mu się tak łatwo wywinąć. Zadała serię szybkich, krótkich ciosów kolanami i pięściami, pewnie blokując i parując jego kontrataki. Uderzenie w gardło pozbawiło go powietrza. Podcięcie nogi sprawiło, że runął na ziemię. Gdy próbował wstać, dostał kolanem w krocze. To był koniec starcia.

Kahlee podeszła i spojrzała na niego, jak leżał na ziemi zwinięty w kłębek. Próbował błagać o litość, ale kiedy otworzył usta, wydobył się z nich tylko długi jęk nieopisanego bólu.

Przyklękła obok, wsunęła dwa palce w dziurki jego nosa i pociągnęła lekko. Ból był nie do zniesienia i Jiro załkał ze strachu.

– A teraz, kochanie – powiedziała głosem aż ociekającym od złośliwej słodyczy – zadam ci kilka pytań. A ty mi na nie odpowiesz.

* * *

Ból to dobra rzecz, ty trzęsąca się larwo! Pozwala ci poczuć, że ciągle żyjesz!

Dotarłszy do ciała Gillian, Hendel odchylił jej głowę do tyłu i wdmuchał w jej gardło dwa potężne oddechy, potem dziesięć razy gwałtownie nacisnął na klatkę piersiową, tuż pod mostkiem. Potem kolejne dwa oddechy i następne dziesięć ucisków na klatkę.

Wiedział, że reanimacja nie wznowi bicia jej serca ani oddechu – takie cudowne ozdrowienia zdarzały się tylko na widach. Próbował jedynie utrzymać krążenie krwi i sprawić, by mózg był dotleniony, póki nie nadejdzie pomoc.

Utrzymaj ją tylko przy życiu. Trzymaj ją.

Uciskanie klatki piersiowej było męczące, mniej niż sto nacisków na minutę nie wystarczało, by ją ocalić. Utrzymanie takiego tempa przez

dłużej niż kilka minut stanowiło problem dla człowieka w pełni sił. Dla kogoś w jego stanie było niewykonalne.

Nie waż się poddawać! W moim wojsku nikt się nie poddaje!

Oddychał ciężko. Strugi potu spływały mu po czole do oczu. Mięśnie ramion drżały i bolały, grożąc poddaniem się. Świat wokół zmienił się w niewyraźną chmurę bólu i wyczerpania, podczas gdy próbował podtrzymać bicie serca Gillian.

RazDwaTrzyCzteryPięćSześćSiedemOsiemDziewięć - Dziesięć. Wydech – wydech.

RazDwaTrzyCzteryPięćSześćSiedemOsiemDziewięć - Dziesięć. Wydech – wydech.

I nagle na ramionach poczuł czyjeś ręce odciągające go w tył. Przez chwilę z nimi walczył, nim uświadomił sobie, że to pomoc. Gdy tylko się odsunął, dwaj ratownicy przyklękli przy Gillian. Pierwszy przesunął nad nią omnikluczem, odczytując funkcje życiowe.

– Kod Dwanaście – powiedział oszczędnym tonem.

Jego słowa były znakiem dla pozostałych dwóch. Ich działania były idealnie skoordynowane po godzinach wspólnych treningów. Pierwszy otworzył swoją pateczkę, wyjął strzykawkę i podał Gillian mieszankę dotleniającą.

Drugi odpiął przymocowane do paska małe urządzenie wielkości dłoni – nawet półprzytomny, Hendel rozpoznał przenośny defibrylator – i przycisnął je do piersi dziewczynki. Oczekał tylko tyle, ile jego partner potrzebował na zrobienie zastrzyku, nim uaktywnił przyrząd, traktując serce Gillian serią skoncentrowanych impulsów elektrycznych, mających je znowu wprowadzić w ruch.

– Mam tętno – powiedział chwilę później jego partner, odczytując wskaźniki z omniklucza. – Poziom tlenu wygląda dobrze. Chyba da radę.

Hendel, wciąż na wpół siedząc na ziemi w miejscu, gdzie odciągnął go sanitariusz, nie wiedział, czy śmiać się z radości, czy płakać z ulgi. Zamiast robić jedno czy drugie, upadł na bok i stracił przytomność.

.12.

Grayson wszedł do swojego salonu. Miał na sobie tylko podomkę i nic pod spodem. W głowie wciąż huczało mu od działania czerwonego piasku, który zażył zeszłej nocy, ale kiedy próbował sprawić, by leżący na nocnym stoliku długopis zatańczył, ten pozostał nieruchomy, jakby drwił z tych żalosnych prób.

Schodzisz z haju. Nie dajesz nawet rady poruszyć długopisu. Jeśli nie będziesz uważał, za godzinę wytrzeźwiejesz.

Chciał kolejnej działki, ale zamiast tego zmusił się, by sprawdzić wiadomości. Nie był zaskoczony, gdy okazało się, że Akademia Grissoma próbowała się z nim skontaktować, gdy spał.

Albo gdy byłeś zbyt naćpany, by usłyszeć dzwonek.

To była czwarta wiadomość, którą zostawili. Nie chciał jej odsłuchiwać. Pierwsze trzy były takie same. Coś stało się Gillian, jakiś wypadek w stołówce. Mający coś wspólnego z jej biotyką.

Nie był zaskoczony. Spodziewał się czegoś takiego od chwili, gdy Pel zjawił się z nową mieszanką. Człowiek Iluzja był cierpliwy, ale Cerberus włożył zbyt wiele czasu i pieniędzy w Gillian, a otrzymał niewielkie rezultaty. Nowe prochy były dowodem na to, że przyśpieszali program. Ktoś uznał, że trzeba przeć naprzód, przetestować granice możliwości jego córki w nadziei, że to będzie przełom. To, że coś dobrego czy złego się stanie, było nie do uniknięcia.

Jesteś żaloszny. Wiedziałeś, że to jej może zaszkodzić, ale i tak to zawiozłeś.

Zaakceptował tę decyzję, ponieważ wierzył w Cerberusa. Wierzył w to, co reprezentowali. Wiedział, że istnieje ryzyko, ale wiedział też, że Gillian

może być bardzo ważna dla przetrwania gatunku. Zdolność odblokowywania nowych, niezwykłych potencjałów biotycznych mogła być przewagą, jakiej ludzkość bardzo potrzebowała.

Trzeba było podjąć ryzyko. Trzeba było ponieść ofiarę. Człowiek Iluzja rozumiał to lepiej niż ktokolwiek, dlatego Grayson wykonywał jego rozkazy bez zadawania pytań. Jednak tego ranka nie mógł się nie zastanawiać, czy to sprawiało, że był patriotą, czy tylko tchórzem.

Wszystko zależy od tego, kto będzie pisał podręczniki do historii, prawda?

Podszedł do umieszczonego na ścianie widu i wcisnął guzik, by odtworzyć wiadomość.

– Panie Grayson? Tu doktor Kahlee Sanders z Akademii Grissoma.

W ustawieniach domyślnych miał wyłączony obraz, wolał prywatność komunikacji wyłącznie audio. Ale nawet nie widząc jej, po tonie głosu poznał, że stało się coś jeszcze. Coś złego.

– Nie wiem, jak panu to powiedzieć, panie Grayson. Gillian była w szpitalu, dochodząc do siebie po tym, co się stało na stołówce, kiedy... cóż, sądzimy, że mogło dojść do zamachu na jej życie. Podejrzewamy, że doktor Toshiwa próbował ją zabić. Nic jej nie jest – dodała szybko. – Hendel dotarł tam na czas. Doznała wstrząsu, ale już doszła do siebie. Obserwujemy ją. Panie Grayson, proszę skontaktować się z Akademią, jak tylko odbierze pan tę wiadomość.

Nagranie skończyło się kliknięciem. Grayson nie poruszył się, ale stał jak sparaliżowany w miejscu, podczas gdy jego umysł próbował zrozumieć to, co powiedziała kobieta. *Podejrzewamy, że doktor Toshiwa próbował ją zabić.*

Jedynym kontaktem Jiro z Cerberusem był Grayson. Nie mieli sposobu, by skontaktować się z nim bezpośrednio... w każdym razie on o żadnym

nie wiedział. To była standardowa procedura operacyjna: im mniej agentów terenowych miało bezpośredni dostęp do zwierzchników, tym mniejsza szansa na złamanie zasad bezpieczeństwa. A jeśli ktoś z ich własnych ludzi sabotował misję, to Cerberus mógł z łatwością określić, kto to robił.

Jiro nie jest na tyle głupi, by działać przeciw Człowiekowi Iluzji. A nawet jeśli by to zrobił, próba zabicia Gillian nie miałaby sensu.

Było jeszcze jedno możliwe wyjaśnienie: nowy lek. Jeśli wywołał wstrząs i jeśli przyłapali Jiro na podawaniu go Gillian, to mogli uznać, że próbował ją zabić. Ale czy to oznaczało, że mieli Jiro w areszcie? A jeśli tak, to ile im powiedział?

Nacisnął guzik, by odtworzyć ponownie nagranie.

– Nie wiem, jak panu to powiedzieć, panie Grayson. Gillian była w szpitalu, dochodząc do siebie po tym, co się stało na stołówce, kiedy... cóż, sądzimy, że mogło dojść do zamachu na jej życie. Podejrzewamy, że doktor Toshiwa próbował ją zabić. Nic jej nie jest. Hendel dotarł tam na czas. Doznała wstrząsu, ale już doszła do siebie. Obserwujemy ją. Panie Grayson, proszę skontaktować się z Akademią, jak tylko odbierze pan tę wiadomość.

Wcześniejsze wiadomości dostawał od szefa ochrony. Nie wiedział, czy to, że ten telefon wykonał ktoś inny, miało jakieś znaczenie.

Czy Jiro cię wsypał? Czy zastawiają pułapkę? Próbują cię zwabić?

Nie mógł dłużej tego odkładać. Musiał wykonać ten telefon. I tym razem musiał włączyć wyświetlanie obrazu. Rozejrzał się po pokoju, by się upewnić, że nie zostawił gdzieś w polu widzenia widu igły albo torebki z czerwonym piaskiem. Potem przejrzał się w lustrze – wyglądał na zmęczonego i zaniedbanego, oczy miał przekrwione. Ale jeśli by usiadł na krześle na drugim końcu pokoju, nie byłoby tego widać. W każdym razie taką miał nadzieję.

Przygotowawszy wszystko, usiadł i zainicjował połączenie. Kilka sekund później wid wypełniła postać Człowieka Iluzji: siwe, krótko przycięte włosy otaczały idealnie symetryczną twarz, gładko ogoloną szczękę i perfekcyjnie ukształtowany nos.

– Grayson – powiedział łagodnie na powitanie. Jeśli zastanawiało go, dlaczego Grayson siedzi po przeciwnej stronie pokoju, zamiast trzymać się w zwyczajowej odległości sześciu do dziesięciu stóp od ekranu, nie okazał tego.

– Coś się stało Gillian – powiedział Grayson, obserwując uważnie reakcję Człowieka Iluzji. *Czy to dla niego coś nowego? Czy jest zaskoczony, czy już wcześniej wiedział?* Oczywiście stalowoniebieskie oczy Człowieka Iluzji nic nie zdradzały. Jego twarz była pozbawioną emocji, nieprzeniknioną maską.

– Czy wszystko z nią w porządku? – zapytał, a w jego głosie słychać było odrobinę zaniepokojenia, choć mógł udawać ze względu na Graysona. Możliwe, że już wcześniej wiedział, co się stało.

– Doznała wstrząsu. Nowe lekarstwo to było dla niej za dużo.

– Tak powiedział Jiro? – Na jego twarzy widać było troskę i zmartwienie, na tyle wyraźne, by pytanie nie zabrzmiało grubiańsko. Grayson znowu zastanowił się, czy to tylko gra.

– Zadzwonili do mnie z Akademii. Jiro został zdemaskowany.

Na twarzy Człowieka Iluzji pojawił się przebłysk emocji, ale znikł zbyt szybko, by Grayson zdążył go zidentyfikować. *Gniew? Zaskoczenie? Rozczarowanie?*

– Ile im powiedział?

– Nie wiem. Wiadomość dotarła wczoraj w nocy. Zadzwoiłem do ciebie, jak tylko ją odsłuchałem.

– Musimy to dobrze rozegrać – odezwał się po chwili zastanowienia Człowiek Iluzja. – Załóżmy, że nie zdradził twojej przykrywki.

To było rozsądne założenie. Jiro był nowy w Cerberusie – zwerbowali go ledwie kilka lat wcześniej – ale znał zasady gry. Jego milczenie, przynajmniej na razie, zapewniały dwie rzeczy: lojalność wobec Cerberusa i strach przed zemstą Człowieka Iluzji.

Nieuniknione było, że w końcu coś im powie – wcześniej czy później Przymierze go złamie. Ale im dłużej milczał, tym więcej czasu mieli na posprzątanie bałaganu. Jeśli wytrzymałby wystarczająco długo, by udało się uratować misję, wtedy nie musiałby martwić się o to, że Cerberus będzie się mścił. Póki trzymał gębę na kłódkę, mógł nawet mieć nadzieję, że Człowiek Iluzja wyśle mu kogoś na ratunek. W przeszłości zdarzało się tak w wypadku ważnych agentów, ale Grayson uznał, że Jiro do takich nie należy.

– Skontaktuj się z Akademią – polecił Człowiek Iluzja. – Powiedz im, że przylatujesz zabrać Gillian. Z Projektu Podniesienie wyciągnęliśmy już wszystko, co się dało. Czas przejść kontrolę nad jej szkoleniem.

– Tak jest, sir – zawahał się tylko na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by Człowiek Iluzja to zauważył.

– To, co stało się w Akademii, to był wypadek. Błąd – powiedział, przywołując na twarz wyraz szczerego żalu i smutku. – Nie chcemy, by Gillian stała się krzywdą. Jest zbyt cenna. Zbyt ważna. Obchodzi nas jej los.

Grayson nie odpowiedział od razu.

– Wiem – rzekł w końcu.

– Zawsze baliśmy się, że mogą wystąpić skutki uboczne nowych leków, ale nie sądziliśmy, że stanie się coś takiego – tłumaczył Człowiek Iluzja. – Monitorowanie jej na odległość, analizowanie danych po fakcie... to

zwiększa ryzyko, że coś pójdzie nie tak. Kiedy ją do nas sprowadzisz, będziemy ją nieustannie obserwować. Będziemy mogli uważniej robić testy. Powoli ją wdrażać.

Oczywiście mówił wszystko, co należało. A Grayson wiedział, że jego słowa przynajmniej częściowo są prawdziwe.

Mówi ci to, co chcesz usłyszeć! Manipuluje tobą!

– Daję ci moje słowo, że coś takiego więcej się nie powtórzy – obiecał Człowiek Iluzja.

Grayson chciał mu uwierzyć. *Potrzebował* tej wiary. Bo jeśli by nie uwierzył, to co by mu zostało? Jeśli nie zabrałby Gillian do Cerberusa, jeśli próbowałby razem z nią uciec, znaleźliby go. A nawet jeśli jakimś cudem udało by mu się ukryć, to co potem?

Gillian potrzebowała porządku i rutyny. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak dałaby sobie radę z życiem zbiega, nieustannie uciekającego z miejsca na miejsce, próbującego wyprzedzić pościg. A co by się stało, jeśli jej moc nadal by rosła? Czy nauczyłaby się ją kontrolować? Czy może zawsze byłaby czymś w rodzaju biotycznej bomby mogącej wybuchnąć w każdej chwili?

– Wiem, że Gillian jest inna – dodał Człowiek Iluzja, jakby odczytując myśli Graysona. – Nie wiem, czy jesteśmy w stanie ją wyleczyć, ale im więcej będziemy wiedzieli, tym bardziej będziemy mogli pomóc. Nie odwrócimy się od niej. Zbyt wiele znaczy dla nas. Dla mnie.

– Zadzwońię do Akademii – odpowiedział Grayson. – I powiem im, że już jestem w drodze.

Gillian potrzebuje profesjonalnej pomocy. Cerberus rozumie to lepiej niż ktokolwiek. Ona właśnie tego potrzebuje.

Racjonalizujesz to sobie, wtrącił się gorzki głos z zakamarków jego umysłu. Po prostu przyznaj, że jeśli Człowiek Iluzja czegoś chce, to

Człowiek Iluzja to dostaje.

* * *

Torba, którą niósł Pel, była ciężka. Przekładał ją z ręki do ręki, ale nie dało się ukryć, że ramiona go bolały. Na szczęście tylko przecznica dzieliła go od małego piętrowego magazynu, którego Cerberus używał jako bazy podczas misji na Omedze. Budynek był korzystnie zlokalizowany na skraju małego, nie do końca legalnego portu kosmicznego w dzielnicy kontrolowanej przez Szpony, bandę najemników, głównie turian.

Pel z zasady nie lubił się zadawać z obcymi, ale Szpony były najlepszą opcją dla wolnych strzelców szukających dziupli na Omedze. Magazyn miał świetne położenie: bliskość portu pozwalała małym statkom kursować bez przyciągania uwagi, do tego w zasięgu kilku minut marszu znajdowała się stacja kolejki jeżdżącej do kilku innych dzielnic. Szpony pobierały opłaty za czynsz i za ochronę, ale nie zadawali pytań i nie wtykali dziobów w nie swoje sprawy. Byli też jedną z niewielu frakcji na tyle silną, by władać niepodzielnie swoim terenem, co oznaczało brak zamieszek, częstych w innych, mniej stabilnych sektorach Omegi.

Chociaż dzielnica oficjalnie była turiańska, na ulicach pełno było przedstawicieli innych gatunków. Para batarian minęła go, rzucając wrogie spojrzenie na znieawidzonego człowieka i na jego bagaż. Od tyłu nadleciał hanar, ocierając się o jego ramię. Pel instynktownie zasłonił się przed jego długimi, wijącymi się mackami. Byli tu nawet ludzie, choć żaden z nich nie pracował dla Cerberusa. Pięciu mężczyzn i dwie kobiety przydzielone do tej misji trzymały się magazynu, zwłaszcza teraz, gdy mieli więźnia do przesłuchania.

Od drzwi magazynu dzieliło go tylko kilka stóp, gdy z cienia wynurzyła się znajoma postać.

– Co masz w torbie, przyjacielu? – zapytał Golo.

– Jak znalazłeś to miejsce? – Pel odstawił torbę i mimochodem położył dłoń na biodrze, tuż nad pistoletem.

– Miałem na ciebie oko – przyznał quarianin. – Nie było tak trudno odkryć tę kryjówkę. – Pel nie wiedział, czy quariańskie twarze potrafiły wykrzywić się w złośliwe uśmiešky, ale wyobrażał sobie, że pod maską Golo taki właśnie się pojawił.

Nie zmartwił się aż tak bardzo, Golo nie stanowił wielkiego zagrożenia dla ich operacji. Ale nie lubił, gdy ktoś go szpiegował. Zwłaszcza gdy tym kimś był obcy odpowiednik cygańskiego złodziejaska.

– Po co przyszedłeś?

– Mam dla ciebie kolejną propozycję biznesową – odparł Golo.

Pel skrzywił się.

– Wciąż szlag mnie trafia na myśl o poprzedniej – powiedział, – Ten pilot, którego złapaliśmy, nie podaje nam kodów.

– Musicie zrozumieć kulturę Wędrowniej Floty – wyjaśnił Golo. – Quarianami pogardza prawie każda rasa. By przeżyć, muszą polegać tylko na sobie. Dzieci wczesnie uczą się cenić rodzinę i społeczność, a lojalność wobec statku matki jest ceniona najwyżej ze wszystkich cnót.

– Nic dziwnego, że cię wykopali.

Pel nie był w stanie określić, czy ta uwaga zaboląła rozmówcę, czy nie. Reakcję quarianina skryła jego maska. Kiedy obcy się odezwał, mówił jakby nigdy nic:

– Jestem zaskoczony, że nie udało wam się wydobyć z niego informacji. Zakładałem, że umiecie skłaniać więźniów do rozmowy.

– Nawet tortury są bezużyteczne, jeśli obiekt ma urojenia i halucynacje – odparł Pel, odrobinę bardziej obronnym tonem, niż zamierzał. – Złapał

jakiegoś wirusa czy coś takiego. Oszalał z gorączki – mówił teraz już z groźbą w głosie. – Pewnie zaraził się, po tym jak rozwalileś jego maskę.

– Pozwól mi się poprawić – odparł niewzruszenie Golo. – Myślę, że mojej nowej propozycji nie będziesz chciał odrzucić. Może wejdziemy do środka i porozmawiamy?

– Nie ma szans – odparł Pel. – Zaczekaj tu. Wrócę za pięć minut.

Ponownie podniósł torbę i wbił spojrzenie w Golo, aż ten się odwrócił posłuszny niememu rozkazowi. Kiedy Pel był pewien, że obcy nie patrzy, wprowadził kod wejściowy i wszedł do magazynu.

Wyszedł nie po pięciu, a po dziesięciu minutach, jednak Golo wciąż czekał. W jakimś stopniu Pel miał nadzieję, że obcy znudzi się i odejdzie.

– Wciąż ciekawi mnie, przyjacielu – powiedział na powitanie quarianin – co było w torbie?

– Nie twój interes. I nie jesteśmy przyjaciółmi.

W rzeczywistości torba zawierała zwykłe zakupy spożywcze. W bazie był zapas racji wojskowych i substancji odżywczych, ale te smakowały beznadziejnie. Na szczęście Pel odkrył w sąsiedniej dzielnicy sklep z tradycyjnym ludzkim pożywieniem. Co trzy dni jechał tam kolejką i kupował dość zapasów, by jego zespół był syty i szczęśliwy. Nie było to tanie, ale Pel bez trudu uzasadniał te wydatki Cerberusowi. Ludzie zasługiwali na prawdziwe ludzkie jedzenie, nie jakieś przetworzone obce mieszanki.

Bez najmniejszego problemu agent mógłby to powiedzieć quarianinowi, ale nie miał zamiaru ocieplać ich stosunków. Wolał, by Golo nie wiedział, na czym stoi.

– Powiedziałeś, że masz jakąś propozycję – ponaglił.

Golo rozejrzał się wokoło, widocznie zdenerwowany.

– Nie tu. Na osobności.

– Może w kasynie, do którego zabrałeś mnie ostatnio? W „Jaskini Fortuny”?

Quarianin pokręcił głową.

– W tamtej dzielnicy aktualnie ustalają, kto jest jej właścicielem. Batarianie próbują przepędzić volusów. Jak dla mnie za dużo strzelaniny i wybuchów.

Jedni warci drugich, pomyślał Pel.

– Przemoc jest nieunikniona, gdy różne gatunki próbują żyć obok siebie – powiedział, cytując popularne hasło Cerberusa. *Gdyby Przymierze samo na to wpadło, nie potrzebowalibyśmy Człowieka Iluzji, by o nas dbał.*

– Ta propozycja jest wyjątkowo kusząca – zapewnił go Golo. – Kiedy o niej usłyszysz, na pewno będziesz zainteresowany.

Pel tylko skrzyżował ręce na piersi i patrzył na quarianina, czekając.

– Chodzi o Zbieraczy – szepnął Golo, nachylając się lekko ku niemu.

Po długiej chwili ciszy Pel westchnął i obrócił się do drzwi.

– No dobra. Chodźmy do środka.

– Wolna droga do doku czwartego. Odbiór.

Grayson posłusznie wykonywał instrukcje wieży i wylądował swoim wahadłowcem na lądowisku Akademii Grissoma. Średnich rozmiarów jednostka pasażerska była odrobinę mniejsza i o wiele mniej luksusowa niż statek, którym zwykle latał do Gillian. Ale tym razem okoliczności nie były zwyczajne.

.13.

Podróż odbył samotnie, co pasowało do roli przerażonego ojca pędzącego do ciężko chorego dziecka. Zważywszy zresztą jego uczucia do Gillian, nie miał problemu, by tę część odegrać. Zależało mu na niej. Ale to mogło okazać się bez znaczenia, jeśli Jiro coś im powiedział.

Czekał niecierpliwie, aż drzwi wahadłowca połączą się z rękawem lotniska, potem pędem pobiegł do ogromnej przeszklonej poczekalni. Nikt inny nie czekał na odprawę, a dwaj żołnierze stojący przy wyjściu dali mu znak, by szedł dalej. Widział doktor Sanders i szefa ochrony Projektu Podniesienie po drugiej stronie szklanej, kuloodpornej ściany.

– Proszę iść, panie Grayson – powiedział jeden z żołnierzy współczująco i nawet go pobieżnie nie przeszukał. Grayson uznał to za dobry znak.

* * *

– Jesteś pewien, że masz dość sił? – szepnęła Kahlee do Hendla, gdy Grayson szedł przez poczekalnię.

– Wciąż trochę chwiejesz się na nogach.

– Nic mi nie jest – odparł równie cicho. – Poza tym chcę zobaczyć, jak zareaguje, gdy mu powiemy.

Kahlee chciała coś odpowiedzieć, na przykład: „Nie możesz podejrzewać, że go nie obejdzie to, że jego córka prawie zginęła!”, ale Grayson już przeszedł przez odprawę i usłyszałby ją. Ugryzła się więc w język i modliła w duchu, by Hendel miał dość rozumu i przywitał gościa odpowiednio grzecznie.

– Panie Grayson. – Hendel skinął mu głową.

– Gdzie Gillian? – zapytał tamten natychmiast. – Chcę zobaczyć córkę.

Nie dziwne, że wyglądał gorzej niż przy okazji poprzedniej wizyty. Tym razem nie nosił garnituru, tylko dżinsowe spodnie i koszulę z krótkim rękawem, odsłaniającą szczupłe, żylaste ramiona. Na twarzy miał kilkudniowy zarost, a w oczach rozpacz. Z całej postaci emanowało nerwowe wyczekiwanie... Nic zaskakującego, jeśli wzięło się pod uwagę okoliczności.

– Oczywiście – powiedziała szybko Kahlee, nim Hendel mógł zgłosić jakiegokolwiek obiekcje. Nie miała zamiaru zmuszać Graysona do czekania na korytarzu. Później będzie dość czasu na rozmowy.

Hendel rzucił jej spojrzenie pełne irytacji, ale powiedział tylko:

– Proszę za mną.

Do szpitala szli w milczeniu, choć Kahlee zauważyła, że Hendel raz po raz zaciska szczęki.

Kiedy dotarli do pokoju Gillian, Grayson przystanął gwałtownie i zakrył usta na widok maszynerii, do której podłączono dziewczynkę.

– Gigi – szepnął, a ból w jego głosie rozdarł serce Kahlee. – Po co te wszystkie maszyny? – zapytał chwilę później drżącym głosem.

– To tylko monitory – wyjaśniła Kahlee, starając się mówić tonem służbowego optymizmu. – Żebyśmy mogli mieć na nią oko.

Grayson wszedł do pokoju, powoli, jakby nagle znalazł się pod wodą. Przykląkł przy łóżku i położył dłoń nie na czole Gillian, ale na poduszce tuż nad jej ramieniem.

– Gigi... co oni ci zrobili? – szepnął.

Na dźwięk jego głosu powieki Gillian uniosły się i dziewczynka obróciła ku niemu twarz.

– Tatuś – powiedziała słabo i jasne było, że cieszy się na jego widok.

– Słyszałem, co się stało – powiedział. – Bałem się.

– Już dobrze – odpowiedziała, poklepując go po ręce. – Już ze mną wszystko dobrze.

Trudno było powiedzieć, które z dorosłych było bardziej zaskoczone tym prostym gestem. Przez cały ten czas, który Gillian spędziła w Akademii Grissoma, Kahlee nigdy nie widziała, by dziewczynka zainicjowała kontakt fizyczny z kimkolwiek. Sama Gillian zdawała się nieświadoma wywołanych reakcji. Cofnęła dłoń i zamknęła oczy.

– Jestem zmęczona – wymamrotała. – Teraz muszę spać.

Minutę później już cicho chrapała. Grayson patrzył na nią przez kilka długich chwil, wreszcie wstał i odwrócił się do opiekunów. Zapadła niezręczna cisza. Przerwała ją Kahlee:

– Lekarze mówią, że całkowicie wyzdrowieje. Chcą ją tu zostawić na kilka dni na obserwacji. Ze względu na jej stan.

– Powiedziała pani, że doktor Toshiwa jej to zrobił? – Gdy Gillian poklepała go po ręce, promieniał. Jednak teraz na jego twarzy malował się już tylko straszliwy, z trudem hamowany gniew.

Kahlee skinęła głową w stronę drzwi, dając znak, że rozmowę powinni kontynuować na zewnątrz. Mężczyźni zrozumieli sugestię i chwilę później cała trójka stanęła na korytarzu, by Gillian na pewno ich nie słyszała. Kahlee zauważyła, że obaj, Hendel i Grayson, zatrzymali się tuż przed zakrętem, zza którego nie widzieliby już pokoju.

– Jiro przeprowadzał na niej jakieś nieautoryzowane eksperymenty – wyjaśnił Hendel, podejmując rozmowę. – Mamy go w areszcie.

– Dobrze. – Grayson lekko skinął głową.

– Pracował dla grupy zwanej Cerberus – rzucił nagle szef. Kahlee zrozumiała, że testował reakcję Graysona.

– Cerberus? – powtórzył niepewnie tamten.

– Radykalna proludzka organizacja terrorystyczna – odparł Hendel. – Z dobrym zapleczem finansowym. Jiro był jednym z ich agentów. Sądźmy, że zinfiltrowali Projekt Podniesienie, by zbliżyć się do Gillian.

– Nie słyszałem o nich. Działał sam?

Hendel zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi, a Kahlee zaniepokoiła się, że przyjaciel zamierza w jakiś sposób pogrywać z Graysonem. Ku jej uldze, kiedy Hendel wreszcie odpowiedział, zrobił to szczerze i uczciwie:

– Jeszcze nie wiemy. Na przesłuchania potrzeba czasu. Udziela skąpych odpowiedzi, pewnie sądzi, że zatrzymując coś dla siebie, zdoła wynegocjować łagodniejszy wyrok.

– Zamiast negocjacji powinniście spróbować tortur – głos Graysona był obojętny i zimny, ale dźwięczał w nim gniew – pierwotna furia ojca broniącego potomstwa.

– Przymierze nie tak załatwia sprawy – powiedziała Kahlee.

– Niedługo dostaniemy wszystkie odpowiedzi – dodał Hendel, a ona nie była pewna, czy miała to być obietnica, czy może jednak groźba.

Grayson zaczął chodzić w tę i z powrotem po wąskim korytarzu, drapiąc się po szpeceniastym podbródku.

– Czyli nie wiecie, czy na stacji nie ukrywają się kolejni agenci tego Cerberusa.

– Mało prawdopodobne – zapewnił go Hendel. – Podczas służby w Przymierzu zetknąłem się kilka razy z Cerberusem. Poznałem sposób ich działania. Ich tajni agenci pracują sami.

– Ale nie wiecie tego na pewno – upierał się Grayson. – Doktor Toshiwa pracował tu całe lata, a wy nie mieliście pojęcia, że robi to dla nich.

Szef ochrony nie odpowiedział, ale niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Każdy może być ich człowiekiem. Inny naukowiec. Nauczyciel. Pielęgniarka. Nawet pan!

Grayson dźgnął palcem umięśnioną pierś Hendla. Szef ochrony prychnął, ale nic nie powiedział. Kahlee podeszła i ujęła Graysona za nadgarstek, łagodnie zmuszając go do opuszczenia dłoni.

– Hendel uratował Gillian życie – przypomniała mu.

Zmartwiony ojciec spuścił głowę.

– Zapomniałem. Przepraszam. – Spojrzał na Hendla i wyciągnął rękę. – Dziękuję, panie Mitra. – Hendel uścisnął ją bez słowa. – Doceniam wszystko, co zrobiliście dla Gillian – powiedział Grayson bardziej rzeczowym tonem. – Nie tylko teraz, ale podczas wszystkich lat, które spędziła w Akademii. Jestem wdzięczny za to, że miała szansę być częścią Projektu Podniesienie. Ale po tym, co się stało, nie mogę pozwolić, by tutaj została. Musi być ze mną. Tylko tak będę miał pewność, że jest bezpieczna.

Kahlee skinęła głową.

– Przykro nam się z nią rozstawać, panie Grayson, ale rozumiemy. Znajdziemy panu kwaterę na stacji, gdzie będzie pan mógł zostać, póki Gillian nie wyzdrowieje na tyle, by podróżować.

– Chyba nie rozumiecie – zaproponował Grayson, potrząsając głową. – Wyjeżdżam. W tej chwili. I zabieram ze sobą moją córkę.

– Ja... Przykro mi, proszę pana. – Kahlee była kompletnie zaskoczona. – To niemożliwe. Potrzeba jej opieki medycznej. Póki nie wypiszemy...

– Powiedziała pani, że fizycznie nic jej nie dolega – przerwał jej twardo.

– Wciąż jest osłabiona po tych wydarzeniach – argumentował podniesionym głosem Hendel. – Biotycy wymagają zwiększonej dawki kalorii...

– Mam prowiant na statku.

– Ze względu na swój stan wymaga starannie zbilansowanej diety – podkreślił Hendel.

– Wolę, żeby opuściła kilka superodżywczych posiłków, niż żeby została tu chwilę dłużej – wrzasnęła Grayson, gotując się ze złości. – Trafiła do tego szpitala, bo ktoś tutaj próbował ją zabić!

Kahlee uniosła rękę, uciszając Hendla, zanim ten zdołał coś powiedzieć.

– Dopilnujemy, żeby przed jej pokojem cały czas stał strażnik – zapewniła Graysona.

– A co, jeśli strażnik pracuje dla tego Cerberusa? – nie ustępował tamten. – Co z pielęgniarkami sprawdzającymi odczyty? Co z ludźmi przygotowującymi posiłki? Nie wierzę, że będzie tu bezpieczna!

– Nigdzie nie będzie bezpieczna! – odparował Hendel. – Masz pojęcie, z kim masz do czynienia? Cerberus ma pewnie agentów na każdym świecie i kolonii Przymierza. Mają swoich ludzi na każdym szczeblu rządowym i wojskowym. Jeśli ją stąd zabierzesz, znajdą cię!

– Chrzanić to, Hendel! – krzyknęła Kahlee, uderzając go mocno w ramię, się uciszył. Spojrzał na nią ze złością, ale zobaczywszy wyraz jej twarzy, zamilkł. – Może pójdzie pan powiedzieć Gillian, że wyjeżdżacie – zaproponowała Graysonowi. – A my znajdziemy kogoś, kto odłączy maszyny.

– Dziękuję. – Grayson skinął głową. Odwrócił się i poszedł do pokoju Gillian.

Kahlee odczekała, aż zniknie za drzwiami, zanim napadła na Hendla.

– Co się z tobą dzieje, do diabła? – zapytała. – Naprawdę sądzisz, że możesz go nastraszyć tak, żeby zostawił tu Gillian?

– Powinien się bać – odparł szef ochrony. – Cerberus jest niebezpieczny. Nie możesz pozwolić im odlecieć.

– Nie mamy innego wyboru – powiedziała. – Gillian nie jest więźniem. Jeśli ojciec chce ją zabrać, nie możemy mu zabronić.

– Więc grajmy na zwłokę – upierał się. – Przynajmniej póki nie dowiemy się czegoś więcej od Jiro.

– A ile to potrwa? – zapytała sceptycznie. – Godzinę? Dzień?

– Ten mały drań nie decydował o zastrzykach sam – odparł Hendel. – Musimy zatrzymać tu Graysona, póki się nie dowiemy, kto wydawał Jiro rozkazy.

– Nie sądzisz chyba, że on jest w to zamieszany? – Kahlee nie mogła w to uwierzyć.

– Mam co do niego złe przeczucia – powiedział szef ochrony. – Coś z nim jest nie tak. A nawet jeśli nie pracuje dla Cerberusa, to wciąż pozostaje narkomanem! Nie oddam mu Gillian bez walki.

Znała Hendla na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie odpuści. Widziała też, że Grayson boi się o życie córki i nie da się łatwo zastraszyć szefowi ochrony. Zanosilo się na nieprzyjemną konfrontację. Kahlee myślała intensywnie, szukając wyjścia z sytuacji.

I nagle zobaczyła Graysona i Gillian, wciąż w szpitalnej koszuli, wychodzących z pokoju. Hendel też ich ujrzał i ruszył do nich.

I wtedy w umyśle Kahlee powstał szalony plan.

* * *

Serce Graysona waliło jak młotem, gdy czekał w szpitalnym pokoju, aż pielęgniarka odłączy maszyny monitorujące stan Gillian. Jak dotąd dobrze odgrywał swoją rolę, ale wiedział, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Przymierze wyciągnie z Jiro nazwisko jego kontaktu. Musiał opuścić stację, nim to się stanie.

Zaczął niespokojnie chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

Pielęgniarka nie przychodzi. Szef ochrony coś do ciebie ma. Gra na zwłokę. Kończy ci się czas.

Skręcił w pół kroku i podszedł do łóżka. Pochylił się nad uchem Gillian i szepnął:

– Wstawaj, Gigi. Obudź się, kochanie. Czas iść.

Przeciągnęła się i usiadła, mrugając wciąż zaspanymi oczami.

– Dokąd idziemy?

Nie odpowiedział, zamiast tego zajął się aparaturą.

– Gigi, musimy się pośpieszyć – powiedział, odwracając się do córki. – Muszę cię odłączyć, dobrze?

Wyglądała na zmartwioną, niepokój na jej twarzy był odbiciem jego niepokoju, ale kiwnęła głową.

Odłączenie jej zajęło mu tylko minutę: trzeba było usunąć z jej głowy proste elektrody, jeden czujnik z nadgarstka, a drugi z brzucha. Wzdrygała się i krzywiła za każdym razem, gdy jego palce dotykały jej nagiej skóry. Chwila, kiedy dziewczynka sama z własnej woli dotknęła jego ręki, wydawała się odległa o lata świetlne.

– Skończone – powiedział, gdy odłączył ostatni monitor.

Miotał się nerwowo po pokoju, póki nie znalazł w rogu pary sandałów. Przyniósł je do łóżka i położył na podłodze.

– Załóż buty. Szybko.

Gillian zrobiła, jak kazał, i kilka sekund później już byli na korytarzu. Przeszli może dziesięć stóp, gdy nagle Grayson poczuł, że ktoś łapie go za ramię i ścisną tak mocno, że aż skrzywił się z bólu.

Odwrócił się. Nie był zaskoczony, widząc Hendla. Kahlee stała za wielkim szefem ochrony, zmieszana i niezdecydowana.

– Miał pan poczekać na pielęgniarkę – powiedział olbrzym ze złością.

Grayson strząsnął jego dłoń.

– Każda chwila tutaj to narażanie Gillian na niebezpieczeństwo. Nie będę czekał.

– Dokąd pojedziecie? – pytał Hendel. – Gdzie znajdziecie miejsce, w którym Cerberus nie zlokalizuje Gillian?

– Znam ludzi z Układów Terminusa – odpowiedział szybko Grayson, wiedząc, że coś musi powiedzieć. – Ludzi, którym ufam.

– Czyli kogo? Twojego dilera?

Grayson nie odpowiedział, po prostu się odwrócił. Hendel złapał go za ramię i szarpnął, pchając na ścianę. Grayson, uwięziony w jego uścisku, zobaczył, jak Gillian patrzy na to z przerażeniem.

– Stój! – powiedziała Kahlee, stając pomiędzy nimi. – A co, jeśli polecilibyśmy z panem?

Obaj spojrzeli na nią jak na wariatkę.

– Chce pan zabrać stąd Gillian – powiedziała do Graysona, wyrzucając z siebie szybko słowa. – Moglibyśmy polecieć z panem. Mogłabym monitorować implanty Gillian, a Hendel ma podstawowe przeszkolenie medyczne.

Żaden z nich nie odpowiedział, ale Hendel puścił Graysona i odstąpił o krok.

– Jeśli naprawdę ma pan zamiar ukrywać się przed terrorystami, to będzie pan potrzebował wszelkiej możliwej pomocy – dodała Kahlee.

– Skąd mam wiedzieć, czy mogę wam zaufać? – zapytał ostrożnie Grayson.

– Hendel już raz uratował Gillian życie – przypomniała mu Kahlee. – A w moim przypadku będzie pan musiał polegać na intuicji.

Grayson skinął głową. Już rozmyślał nad tym niezwykłym obrotem wydarzeń. Nie była to sytuacja idealna, ale z każdą sekundą na stacji

bardziej narażał się na zdemaskowanie. Musiał się wydostać z Akademii, potem zajmie się tą dwójką.

Ale wpieryw musiał to wszystko dobrze rozegrać.

– Zdajecie sobie sprawę z tego, jakie to będzie miało konsekwencje, prawda? Oboje najpewniej stracie pracę.

Kahlee spojrzała na Hendla. Potem odwróciła się do Graysona i zdecydowanie skinęła głową.

– Dobrze. Możecie lecieć – powiedział. – Ale musimy wyruszyć teraz i nikomu nie powiemy dokąd. Jeśli na Akademii są inni agenci Cerberusa, to nie chcę, żeby polecili za nami.

– Dobrze – zgodziła się Kahlee. Odwróciła się do Hendla. – Wchodzisz w to?

Zawahał się.

– Jeśli chcę mieć oko na Gillian... i na ciebie... to chyba nie mam wyjścia. – Spojrzał Graysonowi w oczy. – Wchodzę w to.

Grayson odwrócił się do Gillian, przykucając lekko, by ich twarze były na tym samym poziomie. Wciąż wyglądała na przerażoną.

– Już dobrze, Gigi – powiedział miękko. – Nikt już nie jest zły. Teraz wszyscy pojedziemy razem na wycieczkę, dobrze?

Jej umysł potrzebował kilku sekund na przyswojenie informacji, potem strach ustąpił miejsca zwykłej obojętności. Skinęła głową.

Cała czwórka wyszła ze szpitala i skierowała się do doków. Mimo że żołnierze rzucali im ciekawskie spojrzenia, przepuścili ich, gdy Hendel zamienił z nimi kilka słów. Dziesięć minut później byli już na pokładzie statku i opuszczali stację. Grayson pilotował, a Hendel, Kahlee i Gillian siedzieli przypięci pasami z tyłu.

Miał Gillian i opuścił Akademię. Jak tylko przyśpieszą do nadświatłej, nikt nie zdoła ich wytropić. Oczywiście musiał jeszcze wymyślić, jak

poradzić sobie z niechcianymi towarzyszami podróży, ale już miał plan.

Fizyczna konfrontacja nie wchodziła w grę. Szef ochrony był nie tylko większy od Graysona, był też biotykiem z pistoletem na biodrze. Grayson zapoznał się z ich aktami osobowymi i wiedział, że zarówno Mitra, jak i Sanders byli przeszkoleni w walce wręcz.

Gdybyś nie był na wpół naćpany, wyruszając w tę podróż, może miałbyś dość rozumu, by ukryć w kokpicie własną broń.

Nie miał nic, czym mógłby ich uśpić, a nawet gdyby, to wątpił, by Hendel przyjął od niego jedzenie czy picie, nie upewniwszy się wcześniej, czy nie jest czymś naszprycowane.

Na szczęście Grayson nie był sam. Wprowadził krótką zakodowaną wiadomość i wysłał ją przed obraniem kursu na Omegę.

Zobaczymy, jak Hendel poradzi sobie z Pelem i jego ludźmi, pomyślał, czując lekki nacisk siły g , w miarę jak statek przyśpieszał do nadświatlnej.

Dopiero teraz pozwolił sobie na długie, ciche westchnienie ulgi.

.14.

Sześć standardowych tygodni wcześniej Lemm'Shał nar Tesleya wybrał Omegę na jedno z miejsc swojej Pielgrzymki, tak jak wielu młodych i naiwnych quarian zrobiło to wcześniej. Głowę miał pełną romantycznych mrzonek na temat tego, jak wyglądało życie poza Wędrowną Flotą, i fascynowała go wizja milionów mieszkańców z różnych gatunków i kultur żyjących tuż obok siebie, nienękanym przez rząd czy prawa. Spodziewał się, że za każdym rogiem będzie na niego czekała przygoda i niezwykle doświadczenia. A przede wszystkim – że będzie robił, co mu się żywnie podoba.

Szybko przekonał się, jak wygląda brutalna rzeczywistość: Omega była bagnem przemocy i deprawacji. Za rogiem czekała co najwyżej bezsensowna, przypadkowa śmierć. Stacja była rajem dla łowców niewolników i na własne oczy widział szlochających mężczyzn, kobiety i dzieci prowadzone jak bydło. W ciągu tygodnia zrozumiał, że tak zwana wolność na Omedze była perwersyjnym wypaczeniem tej idei. Nie było praw ani rządów, więc jedynym prawem było prawo pięści. Silni zyskiwali, a słabi cierpieli. Ale nikt nie pozostawał silny wiecznie i Lemm wiedział, że ci na górze pewnego dnia odkryją, że zaczęła się ich droga w dół.

Odkrył też, że mieszkańcy Omegi żyli w wiecznym strachu, owijając się tarczami gniewu, by go odegnąć. Samolubstwo i chciwość pchały ich do działania, a ich życia były brutalne, krótkie i żałosne. Litował się nad ich nędzną egzystencją i dziękował swoim przodkom za silne poczucie przynależności i wspólnoty, jakie wpoili jego ludowi. Zostawił więc Omegę za sobą, kontynuując podróż przez pół tuzina światów w Układach Terminusa.

Uświadomił sobie, że uznanie, jakie zaczął żywić dla quariańskiego społeczeństwa i rządzących nim doktryn altruizmu i poświęcenia, było sensem Pielgrzymki. Wielu opuszczało Wędrowną Flotę, będąc dziećmi, zbuntowanymi i niedoświadczonymi, jednak w chwili gdy zobaczyli, jak żyją inne społeczeństwa, powracali na łono Floty jako dorośli: mądrzejsi i oddani ideałom quariańskiej kultury. Oczywiście zawsze trafiało się kilku, którzy odrzucali kolektywizm flotylli na rzecz prób i turbulencji samotnej, odizolowanej egzystencji.

Lemm nie miał zamiaru być jednym z nich, ale nie mógł jeszcze wrócić do Floty. Choć nauczył się ważnej rzeczy, jego Pielgrzymka nie została jeszcze ukończona. By wrócić, musiał wpierw znaleźć coś o dużej wartości dla quariańskiego społeczeństwa i wręczyć to jako prezent jednemu z kapitanów statku. Jeśli jego podarunek zostanie zaakceptowany, Lemm odrzuci nazwisko nar Tesleya i przyjmie nowe, od nowego statku.

Dlatego powrócił na Omegę mimo odrazy, jaką budziła w nim stacja. Dlatego włóczył się po ulicach, szukając quarianina o imieniu Golo.

Wśród mieszkańców Wędrownej Floty imię to okryte było niesławą. W przeciwieństwie do tych, którzy opuszczali flotyllę z własnej woli albo nie wracali z Pielgrzymek, Golo został wygnany przez Admiralicję.

Ogłoszony zdrajcą udał się w miejsce, które było drwiną z wszystkiego, w co wierzyli quarianie. Jakoś udało mu się przeżyć i nawet dobrze sobie radził na wygnaniu, chociaż według Lemma to tylko potwierdzało, jak słuszna była decyzja Admiralicji. Ktoś, kto potrafił się urządzić w zdeprawowanym, podłym społeczeństwie Omegi, musiał być okrutny, bezlitosny i niegodzien zaufania.

Lemm podróżował bez bagażu. Nosił prosty kombinezon ochronny ze standardowym zestawem tarcz kinetycznych i miał plecak z zapasami. Jego najcenniejszą własnością był podarunek, który przed wyruszeniem na

Pielgrzymkę otrzymał od kapitana „Teslei” – strzelba: broń wykonana przez turiańskiego producenta Armax Arsenał, wielkokalibrowa, z zaawansowanym systemem autocelowania i zredukowanym odrzutem.

Strzelba jednak nie stanowiła całości jego uzbrojenia. Przed opuszczeniem flotylli wszyscy quarianie brali udział w ciężkim sześciotygodniowym programie mającym ich przygotować na tygodnie, miesiące, a nawet lata pielgrzymowania, podczas których musieli radzić sobie sami. Program obejmował szkolenie z bronią i walki wręcz, kurs historii, biologii i kultury wszystkich znanych gatunków, podstawy pierwszej pomocy, pilotażu i nawigacji różnych powszechnie używanych jednostek oraz umiejętności techniczne, takie jak deszyfrowanie, elektronika i hakerstwo.

Każdy quarianin, który opuszczał bezpieczne statki flotylli, był przygotowany na różne niebezpieczeństwa. Co więcej, nauczano ich, że najlepszym sposobem na wyjście cało z kłopotów jest unikanie ich, kiedy tylko to możliwe. Więc kiedy Lemm usłyszał odgłosy strzałów dochodzące z odległości kilku przecznic, pierwszą jego reakcją była chęć wyciągnięcia strzelby i znalezienia sobie kryjówki.

Skulony w ciemnej bramie budynku, który – miał nadzieję – był opuszczony, pomyślał o poprzedniej wizycie na tej stacji. Ulice Omegi, gdziekolwiek by zaszedł, były gwarne, zatłoczone i nieustannie niebezpieczne, wypełnione rabunkami, pobiciami, a nawet zabójstwami. Jednak tutaj, w dzielnicy, w której toczyła się krwawa walka pomiędzy dwoma frakcjami, ulice były dosłownie puste. Widział tylko kilka osób przemykających z jednego budynku do drugiego, zgarbionych i prawie pełzających po ziemi.

I nie kryli się bez powodu. Do Lemma już dwa razy strzelali snajperzy ukryci na najwyższych piętrach budynków. Pierwszy mocno chybił,

trafiając w ziemię nieopodal jego stóp. Kula drugiego przebiłaby Lemmowi czaszkę na wylot, gdyby nie bariery kinetyczne. W obu przypadkach Lemm zareagował w jedyny rozsądny sposób: uciekł za najbliższy róg i zaczął szukać innej drogi prowadzącej do celu.

Kręte, nierozplanowane uliczki Omegi każdego prowadziły na manowce. Zbyt łatwo było zboczyć przypadkiem w niewłaściwy zaułek i już z niego nie wyjść. Lemm, jak większość quarian, miał absolutne wyczucie kierunku. Miasto rozbudowywane przez wieki bez planu i ładu przypominało jego rodzime środowisko. Wiele ze statków Wędrowniej Floty przekształciło się w zagmatwane labirynty, gdzie każdy cal wolnej przestrzeni był ceniony i eksploatowany. Często używano tymczasowych ścian, by przekształcić sale czy korytarze w pokoje, a wszystko utrzymywano w dobrym stanie dzięki prowizorycznym naprawom i materiałom z odzysku.

Wciąż słychać było strzały, ale ku uldze Lemma coraz ciszej, w miarę jak bitwa przenosiła się na ulice po przeciwnej stronie niż ta, w którą zmierzał. Ostrożnie ruszył w dalszą drogę, wciąż z wyciągniętą bronią. Kilka minut później dotarł do celu.

Wejście do „Jaskini Fortuny” nosiło ślady kilku niedawnych bitew. Szyld nad drzwiami, osmalony ogniem, był przekrzywiony, jakby powieszono go na powrót, po tym jak został zestrzelony albo odpadł przy wybuchu. Drzwi, wykonane ze wzmocnionego metalu, zacięły się w na wpół otwartej pozycji. Były podziurawione kulami, poskręcane pod wpływem zapewne tej samej eksplozji, która niemal zrzuciła szyld.

Lemm ściągnął plecak i położył na ziemi przed wejściem. Wziąwszy głęboki oddech, ścisnął mocniej strzelbę, rozejrzał się i wślizgnął do środka. W kasynie było pięciu batarian – jeden za barem, czterej przy stole grali w karty. Wszyscy mieli broń albo przy pasie, albo na stole, w zasięgu

ręki. Na tylnej ścianie ktoś przyczepił głowy kroganina i volusa. Wyglądały na świeże.

Wszyscy batarianie odwrócili się w jego stronę, choć żaden nie sięgnął po broń. Trzymając opuszczoną strzelbę w ręce, Lemm podszedł do baru, próbując zignorować dwadzieścioro oczu obserwujących każdy jego ruch.

– Szukam właściciela. Olthara.

Barman wykrzywił się w okrutnym grymasie i skinął w stronę głów na ścianie.

– Właściciel się jakby zmienił. – Pozostali batarianie wybuchnęli śmiechem.

– Muszę odnaleźć quarianina o imieniu Golo – powiedział niewzruszenie Lemm, nie reagując na ponury żart. Położył swoją strzelbę na barze, trzymając jedną rękę na kolbie, tuż obok spustu.

Kiedy poprzednio był na Omedze, zauważył, że aura chłodnego spokoju i niewzruszonej pewności siebie sprawia, że inni pomyślą dwa razy, nim uciekną się do przemocy. Oczywiście nie zawsze to działało, ale często, dlatego zabrał ze sobą strzelbę.

– Golo już tu nie bywa.

– Dam ci dwieście kredytów, jeśli powiesz mi, gdzie go znajdę – zaproponował Lemm.

Batarianin przechylił głowę w lewo – co w przypadku tego konkretnego gatunku oznaczało pogardę. Jego dwoje górnych oczu mrugało wolno, podczas gdy dolna para patrzyła na rozmówcę.

– Wydajesz się młody – zauważył barman. – Chcesz, żeby Golo pomógł ci w Pielgrzymce?

Lemm nie odpowiedział. Mimo szkoleń i przygotowań pielgrzymujący quarianie byli odbierani jako niedoświadczeni i delikatni. Nie mógł sobie pozwolić na okazanie słabości.

– Chcesz te kredyty czy nie?

– A może zamiast mówić ci, gdzie jest Golo, zabierzemy ci kredyty i tę śmieszoną broń, a twoją głowę powiesimy obok łbów Olthara i jego pupilka?

Lemm znowu usłyszał śmiech za plecami i odgłos odsuwanych krzeseł, gdy batarianie wstawali od stołu. Nie poruszył się. Nie miał szans na przeżycie walki w barze. Ewentualni przeciwnicy nie mieli pancerzy, co z tego, skoro było ich pięciu na jednego. Jego tarcze kinetyczne mogły zapewnić mu kilka sekund życia, ale pod gradem kul wyczerpałyby się, zanim zdążyłby dotrzeć do drzwi. Musiał użyć sprytu, jeśli chciał wyjść stąd żywy.

Na szczęście z batarianami można się było dogadać. Mieli naturę handlarzy, nie wojowników. Gdyby pomieszczenie było pełne krogan, byłby martwy, jak tylko przeszedłby przez próg.

– Możecie mnie zabić – przyznał, patrząc w nieruchome dolne oczy barmana i delikatnie stukając palcami w kolbę leżącej na barze strzelby. – Ale zabiorę przynajmniej jednego z was ze sobą. Wybór należy do was. Powiedzcie, gdzie jest Golo i pozwólcie mi spokojnie odejść. Albo wszyscy zaczniemy strzelać i zobaczymy, czy przeżyjesz postrzał z takiej odległości. W obu wypadkach zyskujecie dwieście kredytów.

Obie pary oczu batarianina spojrzały na broń, potem na Lemma.

– Sprawdź na targach w dzielnicy Carrd – powiedział.

Lemm sięgnął do jednej z zewnętrznych kieszeni kombinezonu, poruszając się wolno, by nikomu nie przyszło na myśl, że sięga po ukrytą broń, i wyciągnął dwa czipy kredytowe po sto kredytów każdy. Upuścił je na bar, podniósł strzelbę i powoli wycofał się do drzwi i na ulicę, nie spuszczając wzroku z batarian. Znalazłszy się na zewnątrz, podniósł swój plecak i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł.

* * *

Golo nie był zaskoczony, gdy okazało się, że targowiska w dzielnicy Carrd są o wiele bardziej zatłoczone niż zwykle. Że na czas wojny między volusami i batarianami handlarze i kupujący przenieśli się do sąsiedniego sektora, kontrolowanego przez elkorów.

Większy niż zwykle tłok był niedogodnością, ale Golo nie miał wielkiego wyboru. Quariańska żywność była na Omedze rzadkością. Choć mógł bezpiecznie spożywać większość produktów turiańskich – oba gatunki miały budowę opartą na dexteroaminokwasie – wciąż musiał uważać na skażenie. Bakterie i wirusy, które były nieszkodliwe dla turian, mogły być zabójcze dla niego.

Quarianie opuszczający flotyllę mogli zabrać racje na drogę: pojemniki z wysoce skoncentrowaną pastą odżywczą, którą mogli spożywać przez małą, zamykaną rurkę żywieniową w dolnej części hełmu. Pasta była pozbawiona smaku, ale wygodna, w ten sposób można było mieć w plecaku prowiant na całe miesiące, i można ją było nabyć zarówno w Układach Terminusa, jak i w przestrzeni Rady.

Jednak Golo, wyrzutek, nie był zachwycony perspektywą żywienia się przez rurkę do końca życia. Na szczęście zawarł długoterminową umowę z elkorskim sklepikarzem i w ten sposób regularnie otrzymywał dostawę oczyszczonych produktów turiańskich.

Musiał przez kilka minut przeciskać się przez tłum, nim wreszcie dotarł do sklepu. W środku z zaskoczeniem zobaczył innego quarianina. Tamten miał pancerz – co zdaniem Golo było pierwszym krokiem do przyciągnięcia niechcianej uwagi – i coś, co wyglądało na bardzo drogą strzelbę w kaburze na plecach. Ze względu na hełm ciężko było ocenić jego wiek, ale Golo podejrzewał, że był młody. Nie pierwszy raz natykał się na kogoś ze swojej rasy, kto podczas Pielgrzymki zawędrował na Omegę.

Skinął głową na powitanie. Tamten nie odezwał się, ale odpowiedział skinieniem. Golo podszedł do lady, by odebrać zamówienie. Kiedy się odwrócił, ze zdumieniem odkrył, że drugi quarianin znikł.

Jego doskonale wyrobiony instynkt przetrwania zaczął bić na alarm. Pierwszą rzeczą, którą robiło się, widząc drugiego quarianina na obcym świecie, było rozpoczęcie rozmowy, nie znikanie bez słowa.

– Wróć po to później – powiedział, oddając torbę z zakupami sprzedawcy.

– Szczerze zmartwienie: czy coś jest nie tak? – zapytał elkor głębokim, pozbawionym intonacji głosem, charakterystycznym dla tego gatunku.

– Czy mogę skorzystać z tylnych drzwi?

– Szczerza propozycja: oczywiście, jeśli sobie tego życzysz.

Golo przeszedł na tył sklepu i wyślizgnął się wyjściem awaryjnym do zaułka. Nie przeszedł pięciu kroków, kiedy usłyszał polecenie po quariańsku:

– Nie ruszaj się albo odstrzelę ci łeb.

Mając świadomość, że strzelba, którą wcześniej widział, mogła z tej odległości faktycznie pozbawić go głowy, Golo zamarł.

– Odwróć się, powoli.

Zrobił, jak kazano. Tak jak się spodziewał, młody quarianin, którego wcześniej widział w sklepie, stał na środku uliczki, mierząc prosto w jego pierś.

– Ty jesteś Golo?

– Nie celowałbyś we mnie, gdybym był kim innym – odpowiedział, nie widząc sensu w próbie kłamstwa.

– Wiesz, dlaczego tu jestem?

– Nie – odpowiedział szczerze. W ciągu ostatniej dekady popełnił kilkanaście czynów, które mogły skłonić innych quarian do szukania

zemsty Nie było sensu zgadywać, który zirytował tego młodzieńca.

– Statek zwiadowczy z „Idenny” w zeszłym tygodniu miał dobić interesu na Omedze. To był „Cyniad”. Zniknęli. Myślę, że wiesz, co się z nimi stało.

– Kim jesteś? Kimś z załogi „Idenny”? – zapytał Golo, grając na zwłokę i próbując wymyślić jakiś plan.

– Jestem Lemm’Shal nar Tesleya – odpowiedział tamten.

Golo nie był zaskoczony, że otrzymał odpowiedź. Nawet na flotylli quarianie nosili kombinezony przez cały czas, jako dodatkową warstwę ochronną na wypadek awarii kadłuba czy innej katastrofy, o którą było łatwo na poławianych statkach. W rezultacie przedstawianie się przy spotkaniu było głęboko zakorzenionym zwyczajem. Liczył na to, a znajomość nazwiska przeciwnika dawała mu coś, od czego mógł zacząć.

Nie rozpoznawał przydomku klanowego – Shal – ale „nar” w nazwisku oznaczało, że Lemm w zasadzie był ciągle dzieckiem, a co za tym idzie – najpewniej odbywa Pielgrzymkę. Co więcej, był ze statku „Tesleya”, nie z „Idenny”, co oznaczało, że nie znał osobiście załogi. Musiał o nich usłyszeć z drugiej ręki, zapewne od innego quarianina, którego spotkał podczas podróży.

Golo szybko ułożył prawdopodobny scenariusz. Ktoś mówi Lemmowi o zniknięciu „Cyniada”. Teraz Lemm wierzył, że jeśli zlokalizuje zaginiony statek i jego załogę, albo przynajmniej odkryje, co ich spotkało, będzie mógł przekazać tę informację kapitanowi „Idenny” i jego Pielgrzymka dobiegnie końca.

– Skąd pomysł, że wiem coś o „Cyniadzie”? – zapytał, mając nadzieję zablefować i skłonić młodzieńca do wycofania się.

– Wędrowną Flota nie robi interesów na Omedze – odpowiedział Lemm, nie opuszczając broni. – Ktoś musiał skontaktować się z „Cyniadem” i zaproponować im interes, który skłonił ich do przylecenia tutaj. Tylko inny

quarianin wiedziałby, jak to zrobić. A ty jesteś najbardziej niesławnym quarianinem na stacji.

Dzieciak bazował na przeczuciu, miał zwyczajnie farta, że trafił. Golo zmarszczył czoło pod hełmem. Przez chwilę miał ochotę zaprzeczyć, ale uświadomił sobie, że jest prostsze wyjście.

– Wygląda na to, że moja sława mnie wyprzedza – przyznał. – Skontaktowałem się z „Cyniadem”, ale byłem tylko pośrednikiem. Drugą stroną tego interesu był człowiek.

– Jaki człowiek?

– Powiedział mi, że nazywa się Pel. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Zapłacił mi za skontaktowanie się z „Cyniadem”, a ja z radością wziąłem jego pieniądze. Nie zadawałem zbędnych pytań.

– Nie obawiałeś się, że wrabiał załogę „Cyniada”? Zwabiał ich w pułapkę?

– Flota odwróciła się ode mnie. Dlaczego mam się martwić, co dzieje się z jej członkami, jeśli ja swoje dostaję?

To był najlepszy rodzaj kłamstwa – okraszone odrobiną nieprzyjemnej prawdy. Uczciwie przyznając się do swojej chciwości i znieczulicy, sprawił, że zaprzeczenie, jakoby miał bezpośredni udział w zniknięciu statku, zabrzmiało szczerze.

– Brzydę się tobą – powiedział Lemm. Golo przypuszczał, że gdyby nie hełm, młody by splunął. – Powiniennem zabić cię tu i teraz!

– Nie wiem, co stało się z załogą „Cyniada” – powiedział szybko Golo, zanim gniew Lemma skłonił go do naciśnięcia spustu. – Ale wiem, gdzie możesz się tego dowiedzieć – zawahał się i dodał: – Daj pięćset kredytów, to ci powiem.

Lemm podniósł strzelbę tak, by Golo widział lufę, a potem podszedł i przycisnął ją do jego maski.

– A może powiesz mi to za darmo?

– Pel wynajmuje magazyn w dzielnicy Szponów – wyrzucił z siebie Golo.

Lemm zrobił krok w tył i opuścił broń.

– Zaprowadź mnie tam. Już.

– Nie bądź głupi – parsknął Golo, odważniejszy teraz, gdy broń nie celowała już w niego. – Co, jeśli ma czujki? Jak myślisz, co zrobią, widząc dwóch quarian idących do ich kryjówki? Jeśli chcesz to zrobić, musisz być bystry – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała przebiegłość handlarza i chytrusa. – Mogę ci powiedzieć, gdzie jest magazyn, ale to jest łatwiejsza część. Będziesz musiał zrobić zwiad. Dowiedzieć się, co się dzieje, zanim wejdiesz do środka. Potrzebny ci plan, a ja mogę ci pomóc.

– Myślałem, że nie obchodzi cię los Wędrownej Floty. Dlaczego nagle chcesz pomóc? – zapytał podejrzliwie Lemm.

– Mógłbym udawać, że to z powodu poczucia winy wywołanego tym, że mogłem przypadkiem poprowadzić „Cyniada” w pułapkę – odpowiedział Golo. – Ale szczerze to uznałem, że to najlepszy sposób na powstrzymanie cię od pchania mi tej strzelby w twarz.

Lemm wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Dobrze, zrobimy to po twojemu.

– Zejdźmy z ulicy – zaproponował Golo. – Znajdźmy spokojniejsze miejsce. Na przykład moje mieszkanie.

– Prowadź – odparł Lemm i schował broń do kabury na plecach.

Wyprowadzając go z alejki, Golo uśmiechał się pod maską.

Chłopcze, Pel i jego ludzie rozedrą cię na strzępy. Zwłaszcza kiedy uprzedzę ich, że nadchodzisz.

.15.

– Powie nam pan w końcu, dokąd lecimy? – zapytała Kahlee, budząc Graysona z niespokojnej drzemki.

Kiedy opadła fala adrenaliny, jego ciało poddało się i zasnął w fotelu pilota. Nie miało to większego znaczenia: skoro kurs został ustawiony. Alarm statku obudziłby go, gdyby dotarli do przekaźnika masy, którym mieli opuścić przestrzeń Rady i dostać się do Układów Terminusa.

– Przepraszam – wybełkotał. W ustach miał suchość, a język był opuchnięty. – Chyba przysnąłem.

Kahlee usiadła na fotelu obok. Zobaczył, że marszczy nos. Spojrzał na swoją koszulę i uświadomił sobie, że jest mokry od potu, kwaśnego jak u narkomana, który przechodzi przez pierwszą fazę odstawienia. Zawstydzony starał się jak mógł odsunąć od niej dyskretnie.

– Zastanawiałam się, dokąd lecimy – powiedziała Kahlee, taktownie udając, że nie czuje odoru.

– Ja też – wtrącił z tyłu Hendel.

Obróciwszy się, Grayson zobaczył szefa ochrony stojącego w drzwiach kokpitu. Szerokie barki olbrzyma niemal całkiem przesłaniały znajdującą się po drugiej stronie kabinę.

– Myślałem, że pilnuje pan Gillian – wytknął.

– Śpi – odparł szorstko Hendel. – Nic jej nie jest.

– Mam kontakt na Omedze – powiedział Grayson do Kahlee.

– Omedze? – w jej głosie słychać było zaskoczenie i popłoch.

– Nie mamy innego wyboru – stwierdził ponuro.

– Może mamy. Mam przyjaciół, którzy mogliby nam pomóc – zapewniła go Kahlee. – Znam kapitana Davida Andersona. Powierzyłabym mu własne

życie. Gwarantuję, że będzie w stanie ochronić pana córkę.

Ku uldze Graysona Hendel oprotestował ten pomysł.

– To żadne rozwiązanie. Cerberus ma ludzi w Przymierzu. Może Anderson jest godny zaufania, ale jak mamy się z nim skontaktować? Teraz jest ważną szycią i nie możemy tak po prostu pojawić się w Cytadeli i wejść do jego biura. A Cerberus ma pewnie agentów informujących go o każdym ruchu ludzi takich jak kapitan – mówił dalej. – Jeśli wyślemy wiadomość, będą wiedzieli, że przylatujemy. Nie uda nam się do niego dotrzeć.

– Nigdy nie sądziłem, że się ze mną zgodzisz – powiedział Grayson, uważnie przyglądając się drugiemu mężczyźnie i próbując rozgryźć jego intencje.

– Chcę dla Gillian jak najlepiej. W tej chwili to oznacza zabranie jej z przestrzeni Rady. Ale nie wybrałbym Omegi. W Układach Terminusa jest wiele innych miejsc, w których można się ukryć.

– Nie możemy lecieć do żadnej ludzkiej kolonii – upierał się Grayson. – Są tam ludzie z Przymierza prowadzący rejestr przybywających statków. A na każdym z obcych światów zbytnio byśmy się wyróżniali. Na Omedze będziemy mogli wtopić się w tłum.

Hendel rozważył te argumenty.

– Wciąż chcę wiedzieć, kim jest twój kontakt – powiedział. Wyglądało na to, że nie był w stanie bardziej jednoznacznie przyznać Graysonowi racji.

– Mój klient ma na imię Pel – skłamał Grayson. – Przez ostatnie dwadzieścia lat sprzedałem mu z tuzin jednostek.

– Jakie robi interesy? – zapytała Kahlee.

– Import, eksport – padła niejasna odpowiedź.

– Handlarz narkotyków – burknął Hendel. – Mówiłem ci, że zabierze nas do swojego diler.

– Skąd wiemy, że nie wyda nas Cerberusowi? – chciała wiedzieć Kahlee.

– Nie wie, że Gillian jest biotyczką ani czemu przylatujemy – wyjaśnił Grayson. – Powiedziałem mu, że w drodze do Cytadeli nakryto mnie z działką czerwonego piasku. Myśli, że uciekam przed SOC.

– A jakie jest nasze miejsce w tej historii? – zapytał Hendel.

– Wie, że mam córkę. Powiem mu, że Kahlee to moja dziewczyna, a ty jesteś skorumpowanym oficerem Służby Ochrony Cytadeli, którego przekupiłem, żeby mnie wy dostał ze stacji.

– Więc on się nas spodziewa?

Grayson skinął głową.

– Wysłałem mu wiadomość, gdy opuściliśmy Akademię. Kiedy wyjdziemy z nadświetlnej przy następnym przekaźniku, zaloguję się do wspólnej sieci i sprawdzę, czy wysłał odpowiedź.

– Chcę zobaczyć wiadomość, którą ci przyśle.

– Hendel! – zaprotestowała Kahlee, oburzona takim naruszeniem prawa do prywatności.

– Nie zamierzam ryzykować – odparł Hendel. – Powierzamy mu swoje życia. Chcę wiedzieć, z kim będziemy mieć do czynienia.

– Oczywiście – odparł Grayson. – Nie ma problemu. – Zerknął na wskaźniki, by ocenić, ile jeszcze będą w podróży. – Za godzinę powinniśmy dotrzeć do przekaźnika.

– Więc ma pan czas wziąć prysznic – powiedział Hendel. – I zmyć z siebie odór prochów, zanim wstanie pańska córka.

Grayson nie miał na to dobrej odpowiedzi. Hendel miał rację.

Sześćdziesiąt minut później był już z powrotem w fotelu pilota, umyty i w świeżym ubraniu. Przestał się pocić, ale gdy poprawiał stery, ręce mu

lekkie drżały. Wiedział, że im dalej, tym gorsze będą objawy odstawienia.

Kahlee wciąż siedziała na fotelu pasażera, a Hendel znowu stanął za nim, opierając się o framugę drzwi do kokpitu. Gillian spała spokojnie na rufie, Grayson zajrzał do niej przed prysznicem i jeszcze raz potem.

Cichy elektroniczny brzęczyk rozległ się na chwilę przed tym, jak statek wyszedł z prędkości nadświatłowej. Poczuli lekkie szarpnięcie przy wytracaniu prędkości, a zaraz potem ekrany nawigacyjne ożyły, gdy ich jednostka zaczęła wykrywać znajdujące się w pobliżu statki, małe asteroidy i inne obiekty na tyle duże, by zauważyły je czujniki.

Olbrzymi przekaźnik masy był migającą niebieską kropką w centrum monitora. Mimo drżących mięśni dłonie Graysona szybko i pewnie poruszały się nad przyrządami, gdy ustawiał kurs.

– Sprawdzi pan wiadomości? – zapytał Hendel, mało subtelnie przypominając mu o swoich podejrzeniach.

– Muszę tylko namierzyć boję komunikacyjną... mam. Łączę się.

Zabrzmiał krótki dzwonek i jeden z monitorów zamrugął, dając znać, że z międzygwiazdnej sieci boi komunikacyjnych rozsianych po całej Galaktyce została pobrana nowa wiadomość.

– Proszę ją odtworzyć – powiedział Hendel.

Grayson wcisnął przycisk. Na ekranie pojawiła się twarz Pela, a jego głos wypełnił kokpit.

– Dostałem wiadomość. Przykro mi, że wszystko szlag trafił, ale mówiłem, żebyś nie stał się przypadkiem nieuważny. – Uniósł lekko jedną brew. – Na twoje szczęście chyba mogę pomóc. Wysyłam ci współrzędne lądowiska niedaleko mojego magazynu na Omedze. Będę tam czekał ze swoją załogą. – Nastąpiła krótka pauza, a potem Pel wybuchnął śmiechem. – Wiesz, że to cię będzie słono kosztować, prawda? Wiesz, jak bardzo nie lubię sprzątać po innych.

Monitor znowu zabrzączał, obraz zamarł, wiadomość się skończyła. Grayson w duchu westchnął z ulgi. Spodziewał się, że wiadomość od Pela będzie dyskretna, agenci Cerberusa byli mistrzami w sztuce dwuznacznej rozmowy na publicznych łączach. Ale Hendel nad nim wisiał i wprowadzał nerwową atmosferę.

– Dość mgliście – mruknął szef ochrony.

– To kanał publiczny – warknął Grayson, wciąż podenerwowany i coraz bardziej spragniony działki czerwonego piasku. – Naprawdę myślał pan, że oznajmi, że jest baronem narkotykowym?

– Myślę, że innego potwierdzenia nie dostaniemy – powiedziała swojemu partnerowi Kahlee.

Hendel przez długą chwilę to rozważał, potem skinął głową.

– Dobrze, ale dalej mi się to nie podoba. Proszę nas przeprowadzić przez przekaźnik.

Grayson zjeżył się, słysząc coś, co tak przypominało bezpośredni rozkaz. W końcu to był jego statek. Ale posłuchał, aktywując wcześniej zaprogramowany kurs.

– Wyglądasz, jakby przydało ci się trochę snu – powiedziała szefowi ochrony Kahlee. – Idź się połóż. Będę miała oko na Gillian.

I na mnie, mogę się założyć, pomyślał Grayson. Ale nie miał zamiaru niczego teraz próbować. Mógł spokojnie poczekać do lądowania na Omedze, a tam Pel i jego zespół już się wszystkim zajmą.

Lśniąca wirująca masa energii z przekaźnika pochwyciła ich statek i Grayson nie mógł powstrzymać uśmiechu z radości, że wszystko układa się tak gładko. Zauważył, że Kahlee, nieświadoma, co wywołało jego wesołość, odpowiada mu uśmiechem.

* * *

Lemm przyjrzał się przez lornetkę niepozornemu magazynowi. Obserwował go od kilku godzin, siedząc na dachu wysokiego, trzypiętrowego budynku oddalonego o przecnicę od magazynu. Jak na razie nie zobaczył nic, co by wskazywało na jakąś niezwykłą aktywność, choć wszystkie okna były przyciemniane i nie sposób było dojrzeć, co się za nimi kryje.

– Nie zauważyłem żadnych strażników – mruknął.

– Są tam – zapewnił go Golo. – Mocno uzbrojeni. Pełnie ufa nieлюдziom.

Lemm nie pytał, dlaczego ksenofob zdecydował się działać w miejscu takim jak Omega. Chciwość była w stanie pokonać niemal wszystkie uprzedzenia.

Magazyn był piętrową, przypominającą sześcią konstrukcją, jak większość otaczających go budynków.

– Jeśli zdołam podejść na tyle blisko, by wspiąć się na ścianę, to może uda mi się dostać do środka przez okno na piętrze – myślał głośno.

– Mają kamery na ulicy – ostrzegł go Golo. – Lepiej zrobisz, podchodząc od góry.

Lemm uświadomił sobie, że drugi quarianin ma rację. Z miejsca, gdzie się znajdowali, mógł przeskoczyć na dach sąsiedniego dwupiętrowego budynku. Budynki były tak ustawione względem siebie, że mogłyby dalej przeskakiwać z jednego na drugi, aż do magazynu.

– Dobry pomysł – przyznał.

Wciąż nie przepadał za drugim quarianinem. W jego oczach Golo był odrażającym zdrajcą. Ale musiał przyznać, że był też niezwykle pomocny w planowaniu ataku na magazyn. To niemal wystarczyło, by Lemm mu zaufał. Niemal.

Golo wydawał się zdeterminowany, by dowieść swoich intencji. Zdołał nawet zdobyć plany wnętrza magazynu: plątaniny pokręconych korytarzy i klatek schodowych prowadzących we wszystkich kierunkach, jakby po to, by specjalnie dezorientować każdego, kto się znalazł w środku. Lemm nauczył się ich na pamięć. Upraszczając, przednia połowa budynku dzieliła się na dwie części. Biura na parterze zmieniono na kwatery, drugie piętro mieściło w sobie małe składy. Z tyłu budynku znajdował się otwarty garaż o podwyższonym suficie, w którym zmieściłyby się skrzynie dostawcze i kilka pojazdów.

Drzwi do garażu otworzyły się i wyjechały zza nich dwa rovery, zmierzając ku najbliższemu portowi kosmicznemu. Lemm nawet nie starał się ukryć – nie było szans, żeby dostrzegli go leżącego na dachu setki jardów od nich.

– Co oni robią?

– Może odbierają dostawę? – podsunął Golo.

Lemm zapragnął wślizgnąć się do środka i rozejrzeć, nim wróca. Golo powiedział mu, że dla Pela pracowało pięciu mężczyzn i trzy kobiety – w sumie było dziewięcioro ludzi. Nie miał pojęcia, ilu pojechało roverami, ale najprawdopodobniej kilkoro zostało na straży budynku. Jeśli załoga „Cyniada” była tam więziona, jak podejrzewał, to mogła być szansa na ich uwolnienie.

– Wchodzę.

– Nie bądź głupi – syknął Golo, łapiąc go za ramię, gdy próbował wstać.

– Jest środek dnia! Zobaczą cię!

– W środku są pewnie teraz dwie czy trzy osoby. Jeden przeciw trzem to lepiej niż jeden przeciw dziewięciu.

– Te pojazdy mogą wrócić w każdej chwili – przypomniał mu Golo. – I wtedy wciąż będzie ich więcej, i do tego przewaga zaskoczenia będzie po

ich stronie.

Lemm zawahał się. Przeczucie mówiło mu, by działał, mimo że wszystko, co mówił starszy quarianin, miało sens.

– Trzymaj się pierwotnego planu. Idź tam jutro w nocy. Będziesz miał więcej czasu na przygotowania. Poza tym będzie ciemno, a większość z nich będzie spała.

Wzdychając, Lemm ułożył się w poprzedniej pozycji i wrócił do obserwacji. Nie lubił beczynnego siedzenia w miejscu, ale Golo znowu miał rację. Musiał być cierpliwy.

Samochody powróciły niecałe trzydzieści minut później. Znikły w garażu, a ciężkie stalowe drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Widzieliśmy już wszystko – powiedział Golo. – Chodźmy. Musisz odpocząć przed jutrzejszą nocą. Możesz spać u mnie. – Widząc wahanie Lemma, dodał: – Wiem. Dalej mi nie ufasz. Wsadź sobie strzelbę pod poduszkę, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

* * *

Grayson wylądował długim, powolnym ślizgiem. Czujniki wykryły dwa pojazdy zaparkowane tuż za ścianą oddzielającą doki od wnętrza stacji, założył, że należą do Pela i jego ludzi.

Wylądowali miękko. Grayson wyłączył kontrolki, zgasił silniki i wyszedł.

Hendel i Kahlee stali po obu stronach Gillian. Cała trójka czekała na niego przy śluzie. Gillian przebrała się ze szpitalnego szlafroka w jedną ze swoich starych bluz i spodnie, które znaleźli na statku. Widać było, że urosła, odkąd ostatni raz miała je na sobie – rękawy sięgały jej do połowy przedramienia, a nogawki kończyły się kilka cali nad kostkami.

Uśmiechnęła się, gdy Grayson podszedł. Celowo stanął między córką a szefem ochrony, który spojrzał na niego spode łba.

– Ja będę mówił – ostrzegł go Grayson, aktywując słuzę.

Drzwi za nimi zamknęły się, pojawił się ciąg powietrza, gdy systemy statku wyrównywały ciśnienie przed otwarciem drzwi prowadzących do zakrytego rękawa, którym mieli przejść przez próżnię w dokach do stacji, gdzie dało się oddychać.

Grayson i Gillian szli przodem, Kahlee i Hendel za nimi. Powoli zeszli rampą na poziom powierzchni Omegi, gdzie czekał na nich Pel i pięciu ludzi, których Grayson nie rozpoznał: trzech mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy w pancerzach i z bronią. Mimo wojskowego ekwipunku wydawali się odprężeni i na luzie. Kilkoro się nawet uśmiechało.

– Jak leci, Zabójco? – zapytał Pel, wychodząc im na powitanie.

– Zabójco? – Grayson usłyszał, jak Hendel mruczy pod nosem, ale zignorował komentarz i uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Już? – Pel uśmiechnął się, pokazując zęby. Uścisk jego dłoni był miążdzący. – Wszyscy wysiedli i gotowi do drogi?

– Jest nas tylko czworo – potwierdził Grayson, krzywiąc się lekko, gdy uwolnił rękę i zrobił krok w tył.

– Pozwól, że przedstawię...

Słowa zamarły mu w gardle, gdy Pel i pozostali jednocześnie unieśli broń. Ich odprężenie znikło, zastąpione przez coś twardego i niebezpiecznego.

Grayson przeklął w duchu. Powiedział Pelowi, żeby zachowywał się dyskretnie, by nie denerwować Gillian. Miał już coś powiedzieć, kiedy nagle uświadomił sobie, że jedna z kobiet celuje w niego.

– Pel, co się dzieje?

– Zachowajcie spokój, a nikomu nic się nie stanie – ostrzegł Pel. – Duży facet i dziewczynka – powiedział do jednego z mężczyzn – to biotycy. Zdejmijcie ich pierwszych.

Mężczyzna zabezpieczył broń i wyciągnął coś, co wyglądało jak zautomatyzowana wielorazowa strzykawka. Poruszając się z wytrenowaną precyzją, podszedł do Hendla.

– Wyciągnij rękę – rozkazał Pel.

Hendel po prostu się na niego patrzył.

– Wyciągnij rękę albo zastrzelę kobietę – doprecyzował Pel, celując w twarz Kahlee. Szef ochrony niechętnie posłuchał, wyciągając rękę dłonią do góry. Mężczyzna złapał go za czubki palców i lekko je zgiął, po czym wbił strzykawkę w odsłonięty nadgarstek. Rozległ się ostry dźwięk uwalnianej dawki, a Hendel syknął, gdy igła wbiła mu się w skórę. Sekundę później zachwiał się i upadł nieprzytomny.

– Hendel! – krzyknęła Kahlee, rzucając się, by go podtrzymać, nim uderzy głową o ziemię. Zachwiała się pod ciężarem przyjaciela i osunęła u stóp mężczyzny ze strzykawką, a na nią zwałił się nieprzytomny Hendel.

Mężczyzna pochylił się i przycisnął jej strzykawkę do szyi. Znowu kliknął spust i chwilę później Kahlee zwiotczała.

– Tatusiu? – zawołała drżącym głosem Gillian. Jej oczy były wytrzeszczone ze strachu i dezorientowania.

– Dziewczynka! – warknął Pel. – Szybko!

– Proszę, nie – błagał Grayson, ale jego były współnik nawet na niego nie spojrzał. Kobieta trzymająca go na muszce lekko pokręciła głową, ostrzegając, by został na miejscu. Mężczyzna złapał Gillian za nadgarstek i brutalnie szarpnął. Dziewczynka skrzywiła się z bólu, gdy jej dotknął, i zawyła. Najemnik, nie zwracając na to uwagi, przycisnął strzykawkę do jej skóry i podał dawkę błyskawicznie działającego narkotyku. Krzyk Gillian

urwał się, jej twarz zubożyła, a ona sama padła nieprzytomna w ramiona mężczyzny.

Najemnik położył ją na ziemi, nie łagodnie, ale ostrożnie. Potem podszedł do Graysona.

– Powiedział chociaż dlaczego? – zapytał Grayson, stojąc nieruchomo, podczas gdy mężczyzna przykładął mu strzykawkę do szyi.

– Nie przyjmujemy już rozkazów od Człowieka Iluzji – odparł Pel.

Mechanizm spustowy strzykawki zasyczał i świat znikł, nim Grayson zdążył spytać Pela, co miał na myśli.

* * *

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, nim się w końcu ocknął, ale miał wrażenie, że co najmniej kilka godzin. Znajomy głód narkotykowy już na niego czekał, ale doskwierał mu bardziej psychicznie niż fizycznie. Czerwony piasek szybko zniknął z organizmu, fizyczne symptomy odstawienia zwykle ustępowały po dwunastu, góra szesnastu godzinach.

Co chyba było dobrą rzeczą, biorąc pod uwagę, że leżał na podłodze w pomieszczeniu wyglądającym na prowizoryczną celę. W przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi, zapewne zamknięte, a jedynym źródłem światła była wydajna dioda na suficie. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli ani dekoracji, ale w rogu znajdowała się mała kamera, by można było go obserwować.

Z trudem usiadł. Wciąż był otumaniony i dopiero po chwili zorientował się, że nie jest sam. Kahlee siedziała oparta o ścianę w przeciwległym kącie.

– Chyba jednak twój przyjaciel wyda nas Cerberusowi – powiedziała.

Przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi, ale uświadomił sobie, że ona nie słyszała jego rozmowy z Pelem. Wciąż uważała olbrzyma za dilerę i nie

miała pojęcia, dla kogo tak naprawdę pracuje Grayson.

– Myślę, że on nie pracuje dla Cerberusa – powiedział, uznając, że taka drobna informacja nie mogła mu zaszkodzić. – Wiesz, co stało się z Gillian?

Pokręciła głową.

– Nie widziałam ani jej, ani Hendla.

Grayson przygryzł wargę.

– Pel wie, że oni są biotykami – mruknął. – Musiał się zabezpieczyć. Pewnie będzie ich trzymał w stanie uśpienia, póki... – urwał, uświadomiwszy sobie, że nie ma pojęcia, co Pel dla nich zaplanował.

– Sprawdziłaś drzwi? – zapytał.

– Odłączyli panel dostępu. Otwierają się tylko od zewnątrz. – Zmieniła pozycję i skrzyżowała nogi, próbując jakoś usadowić się wygodniej na twardej podłodze. – Masz pomysł, jak się z tego wykaraskać?

Mógł tylko pokręcić głową. Nie było już nic do powiedzenia, więc siedzieli w milczeniu przez ponad dziesięć minut, aż drzwi otworzyły się z głośnym sykiem, zaskakując ich oboje.

Do pokoju wszedł Pel w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników i postawił na środku pomieszczenia małe drewniane krzesło. Kiedy je zajął, strażnicy ustawili się po obu stronach otwartych na oścież drzwi.

– Uznałem, że po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, powinienem dotrzymać ci towarzystwa

– powiedział.

– Gdzie jest moja córka? – zapytał rozwścieczony Grayson, nie chcąc słuchać, jak Pel usprawiedliwia swoją zdradę.

– Nie martw się, jest bezpieczna. Nie chcemy jej skrzywdzić. Jest zbyt cenna. Tak samo jak twój przyjaciel – dodał.

– Ile Cerberus ci płaci? – zapytała Kahlee.

Pel zaśmiał się, a Grayson poczuł, jak żołądek zwija mu się w pętlę.

– Cerberus płaci całkiem nieźle – przyznał olbrzym. – Prawda, Zabójco?

Wzrok Kahlee spoczął na Graysonie, ale on nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– Więc Hendel miał rację – powiedziała. W jej głosie więcej było rozpaczy i rezygnacji niż gniewu z powodu tego, czego się dowiedziała. – Ty i Jiro pracowaliście razem. Jak ojciec mógł zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Graysonowi nawet przez myśl nie przeszło bronienie się twierdzeniem, że nie jest prawdziwym ojcem Gillian. Między nimi nie było więzi biologicznej, ale wychował dziewczynkę od niemowlęctwa. Przez dziesięć lat sam dbał o nią, uczył ją, karmił, aż została przyjęta do Projektu Podniesienie. Była, wtedy i teraz, środkiem i spoiwem jego świata. Nie miał wątpliwości, że naprawdę jest jego córką. Gdyby nią nie była, wszystko byłoby o wiele prostsze.

– To nie tak miało być – powiedział miękko. – Gillian jest niezwykła. Próbowaliśmy tylko pomóc jej sięgnąć do swoich zdolności biotycznych. Chcieliśmy, żeby wykorzystała swój potencjał.

– Brzmi zupełnie jak cel waszego Projektu Podniesienie, prawda? – powiedział do Kahlee z szerokim uśmiechem Pel.

– Nie zrobilibyśmy nic, co mogłoby zagrozić uczniowi! – warknęła, w końcu okazując gniew. – Nic nie jest warte takiego ryzyka.

– A jeśli mogłoby to pomóc setkom... albo nawet tysiącom... innych? – zapytał cicho Grayson. – Co, jeśli twoje dziecko miałoby potencjał mogący ocalić całą ludzkość? Ile to byłoby warte? Co byś wtedy zaryzykowała?

– Inaczej mówiąc – wtrącił się wciąż uśmiechnięty Pel – jeśli chcesz zrobić omlet, musisz rozbić kilka jajek.

– To nie jajka! – krzyknęła Kahlee. – To dzieci!

– Nie każdego można ocalić – powiedział Grayson, powtarzając słowa Człowieka Iluzji. Mówiąc to, wpatrywał się w podłogę. – Jeśli ludzkość ma przetrwać, trzeba ponosić ofiary w imię większego dobra. Przymierze tego nie rozumie, Cerberus tak.

– Tym właśnie jesteśmy? – zapytała z pogardą Kahlee. – Męczennikami sprawy?

– Nie – Pel po raz kolejny przerwał im bezceremonialnie. – Widzisz, Cerberus płaci nieźle. Ale Zbieracze płacą lepiej.

– Myślałam, że Zbieracze to legenda – mruknęła Kahlee, jakby podejrzewając, że Pel droczy się z nią.

– Och, są prawdziwi. I dobrze płacą za zdrowych ludzkich biotyków. Za dziewczynkę i twojego kolegę dostaniemy tyle, że będziemy żyć jak królowie do końca swoich dni.

– Do czego są Zbieraczom potrzebni? – zapytała.

Pel wzruszył ramionami.

– Uznałem, że lepiej nie wypytywać o ponure szczegóły. Mógłbym mieć potem koszmary. Wiesz, jak to jest z koszmarami, prawda, Zabójco?

– Zdradziłeś sprawę. Zdradziłeś całą ludzkość.

– Cerberus naprawdę namieszał ci w głowie – roześmiał się Pel. – Wiesz, gdyby wszyscy agenci byli tak oddani, Człowiekowi naprawdę mogłoby się udać coś osiągnąć. Ale w naturze ludzkiej leży troszczenie się przede wszystkim o siebie. Szkoda, że nigdy na to nie wpadłeś.

– A co będzie z nami? – zapytała Kahlee.

– Myślę, słodziutka, że Zbieracze dopłacą nam co nieco za ciebie, biorąc pod uwagę, że jesteś jakimś ekspertem od ludzkiej biotyki. A jeśli chodzi o mojego starego kumpla, dorzucimy im go gratis. To da nam trochę czasu, nim Cerberus zorientuje się, co się stało.

– Człowiek Iluzja będzie was ściagał jak ogar – prychnął Grayson.

Pel wstał.

– Biorąc pod uwagę, co mogę zyskać, jestem skłonny podjąć to ryzyko. Wsadźcie ją z tamtą dwójką. – Skinął głową w stronę Kahlee. – Jeśli zostawimy tych dwoje samych, to pewnie wydrapie mu oczy.

Jeden ze strażników wstał, poderwał Kahlee na nogi i wyciągnął z celi.

Pel, z krzesłem w ręce, odwrócił się na chwilę przed zamknięciem drzwi.

– Zabójco, to nic osobistego – jak zawsze miał ostatnie słowo.

.16.

Pel szedł za strażnikiem i Kahlee korytarzem do pokoju na jego końcu. Otworzył drzwi, żeby można ją było wepchnąć do środka. Kobieta jęknęła, gdy zobaczyła dwa nieruchome ciała na podłodze.

– Spokojnie, słonko. – Pel mrugnął do niej. – Są tylko nieprzytomni.

Strażnik wepchnął ją do środka i drzwi zamknęły się za nią, nim mogła coś odpowiedzieć.

– Pilnujcie kamer – ostrzegł strażników Pel. – Jeśli którekolwiek z tych dwóch biotyków choćby obróci się przez sen, dajcie im kolejną dawkę winka na dobranoc. W ich przypadku nie będziemy ryzykować.

Skinęli głowami i Pel zostawił ich pod celą, udając się do swojego łóżka na parterze. Było już po północy i nadszedł czas na sen.

Oczywiście w pierw musiał pokonać szalony labirynt, jakim było wnętrze budynku. Jakby na wzór znajdujących się na zewnątrz ulic, magazyn został przekształcony w płataninę korytarzy i schodów. Trzeba było zejść na parter, kilka razy skręcić w lewo albo prawo na rozgałęzieniach, potem wejść na górę na mały podest nad garażem i dopiero wtedy trzecimi schodami dojść do dużego pokoju, w którym urządzili kwaterę.

– Jakiś czas temu dostaliśmy wiadomość od Golo – powiedziała Shela, jego nieoficjalna zastępczyni, gdy tylko dotarł na miejsce.

Siedziała na skraju swojej pryczy, ściągając buty i szykując się do snu. Poza dwoma strażnikami, którzy mieli pilnować więźniów, i jednym patrolującym korytarze wszyscy już spali.

– Ma jakieś wiadomości, kiedy pojawią się Zbieracze?

Pokręciła głową.

– Kiedy zapytałam, powiedział, że przyjdą do nas, gdy będą gotowi. I że musimy być cierpliwi.

Usiadł, wzdychając ciężko.

– Więc po co dzwonił?

– Chciał nas ostrzec. Mówi, że kręci się tu quarianin, który jutro w nocy będzie chciał się wślizgnąć do budynku. Przesłał szczegóły.

Zdziwiony Pel uniósł brwi. Golo mógł być tchórzliwym, zdradzieckim, grającym na dwa fronty quariańskim wyrzutkiem, ale był cholernie użyteczny.

– Dobrze, jutro pošlemy kogoś, żeby się nim zajął.

– A co z tym w piwnicy? – zapytała Shela.

W zamieszaniu związanym z przybyciem Graysona Pel niemal zapomniał o quariańskim pilocie, którego pojмали na „Cyniadzie”. W końcu wydobyli z niego potrzebne informacje, ale wątpił, żeby quarianin przydał im się na coś jeszcze. Tortury i infekcja zmieniły go w nieskładnie bełkoczącego szaleńca. Oczywiście teraz, gdy zrywali wszelkie więzi z Cerberusem, to wszystko okazało się tylko stratą czasu... chociaż przy okazji Shela pokazała mu nowe, całkiem interesujące techniki prowadzenia przesłuchań.

– Teraz na nic nam się nie przyda. Zabij go rano – powiedział.

– Ostatnio, jak go widziałam, wyglądał kiepsko – zauważyła Shela. – Sądzę, że do jutra nie wytrzyma.

– Założymy się?

– Dwadzieścia kredytów, że nie dotrwa do wschodu słońca.

– Stoi.

Gdy Pel pochylił się, by przypieczętować zakład uściskiem dłoni, całym budynkiem wstrząsnęły odgłosy serii strzałów ze strzelby. Hałas dochodził z piętra.

* * *

Lemm był młody, ale nie głupi. Wiedział, że Golo nie można ufać, i kiedy starszy quarianin zasnął, Lemm wyślizgnął się z jego mieszkania i wrócił na dachy w dzielnicy Szponów. Uznał, że istnieje pięćdziesiąt procent szans, że Golo ma więcej wspólnego z ludźmi, niż przyznał, a Lemm nie zamierzał dać się zwabić w pułapkę. Najlepszym sposobem na uniknięcie tego zagrożenia było wyruszenie dzień wcześniej. Jeśli Golo nie uprzedził ludzi, to pora ataku na magazyn nie miała znaczenia. Jeśli jednak ich ostrzegł, to Lemm mógł zyskać przewagę, wyruszając wcześniej, niż się go spodziewali.

Biegł szybko po dachach, a adrenalina wzbierała w jego krwi, w miarę jak zbliżał się do małego piętrowego budynku, który obserwował cały dzień. Na Omedze przestrzeń była cenna, więc przeskakiwanie z jednego budynku na drugi wymagało pokonania piętnastu czy dwudziestu stóp pustki pomiędzy nimi. Nawet z plecakiem pełnym sprzętu Lemm nie musiał zbytnio obawiać się upadku. Więcej groziło mu ze strony mieszkańców któregoś z budynków, którzy mogli mieć ochotę na kilka haustów nocnego powietrza na dachach, gdzie nie docierał smród ulic. Gdyby do tego doszło, na pewno skończyłoby się strzelaniną.

Na szczęście udało mu się przebyć całą drogę bez nieoczekiwanych spotkań. Po ostatnim skoku z dwupiętrowego budynku na dach magazynu przetoczył się po dachu, by stłumić odgłos upadku.

Wstał i znieruchomiał, nasłuchując. Ale nie usłyszał nic niezwykłego. Podszedł do skraju dachu, wyglądając na znajdujące się niżej duże okno.

Przez przyciemniane szkło nie można było zajrzeć do środka. Ale Lemm nie był zainteresowany widokami – w każdym razie jeszcze nie. Odpiął od paska omniklucz i włączył latarkę. Cienki promień miękkiego światła pozwolił mu zlokalizować małe emitery podczerwieni ulokowane wokół

zewnątrznej ramy okiennej. Zmieniając ustawienia omniklucza, wykorzystał go do bezprzewodowego nadania sygnału przeciążającego system alarmowy.

Drzwi nie miały klamki, musiał więc otworzyć je po swojemu. Ściągnął plecak i postawił go na dachu, a potem wygrzebał z niego przecinak do szkła. Promień lasera ciął szybę z ledwie słyszalnym wysokim jękiem. Lemm wyciął mały kawałek w górnym rogu: na tyle duży, by można było wsunąć do środka przewód z kamerą na końcu.

Obraz z kamery był przekazywany do jego omniklucza, teraz mógł się zorientować, co czeka na niego po drugiej stronie. Okno znajdowało się na końcu korytarza, a po obu stronach drzwi prowadzące zapewne do schowków. Na samym końcu stał stół, przy którym dwóch uzbrojonych strażników grało w karty, obaj co chwilę zerkali na stojące obok monitory.

Korzystając z możliwości kamery, powiększył obraz widoczny na monitorach. Było ich w sumie sześć. Cztery pokazywały puste pokoje, ale na jednym z pozostałych widać było samotną postać skuloną w kącie, a na drugim trzy osoby, dwie leżące i trzecią siedzącą pomiędzy nimi.

Lemm szybko wyciągnął kamerę. Oczywiście było, że składy zostały zmienione na cele, a ci strażnicy pilnowali więźniów. Na Omedze nie było policji ani sił porządkowych, więc pozostawało tylko jedno wyjaśnienie.

Łowcy niewolników. A on dobrze wiedział, kim byli ci niewolnicy.

Rozwścieczony widokiem swoich ziomków trzymanyh w klatkach jak zwierzęta, Lemm wepchnął kamerę do plecaka, plecak zarzucił na ramiona. Przygotował strzelbę i ostrożnie opuścił się z dachu na wąski parapet. Tym razem nie używał przecinaka, ale rzucił się naprzód, pewien, że gruby materiał kombinezonu ochroni go przed odłamkami.

Siła skoku rzuciła go na podłogę korytarza. Skulony ruszył naprzód, strzelając. Żaden ze strażników nie spodziewał się ataku. Ich tarcze

kinetyczne wyłapały pierwsze strzały, zyskując dla nich tyle czasu, by poderwali się na nogi. Ale zginęli, nim zdążyli wyciągnąć broń. Strzał rzucił ich obu w tył z taką siłą, że padli na stół, zrzucając i rozbijając monitory.

Wiedząc, że musi działać szybko, Lemm skupił się na celach. Cztery były puste, drzwi były otwarte. Uderzył ręką w panel dostępu najbliższych zamkniętych, mając nadzieję, że nie są zabezpieczone kodem. Ku jego uldze otworzyły się, odsłaniając pokój z trzema osobami w środku. I wtedy Lemm uświadomił sobie, jak straszliwie się pomylił.

To nie byli quarianie – ale ludzie! Mężczyzna i dwie kobiety. *Nie*, poprawił się w myślach, *mężczyzna, kobieta i dziewczynka*. Kobieta, ujrawszy go, poderwała się, ale pozostali ani drgnęli. Ku swojemu zaskoczeniu Lemm ją rozpoznał.

– Jesteś Kahlee Sanders?

Skinęła głową.

– Kim ty jesteś?

– Nie teraz – powiedział, przypominając sobie plan budynku, którego nauczył się na pamięć. – Mamy tylko minutę, nim dotrą tu posiłki. Chodź.

– Nie mogę ich zostawić – powiedziała, wskazując leżącą na ziemi dwójkę.

Dziewczynka była na tyle mała, że można ją było nieść, ale mężczyzna był większy niż Lemm czy Kahlee. Lemm podbiegł do człowieka i przeskanował go swoim omnikluczem.

– Myślę, że zdołam go obudzić – powiedział. – Weź broń strażników i wypuść swojego przyjaciela z drugiej celi.

– Zostaw go – powiedziała jadowicie. – Jest jednym z nich.

Lemm wyciągnął z plecaka strzykawkę i podał nieprzytomnemu mężczyźnie lek, podczas gdy Kahlee wyszła na korytarz. Kiedy wróciła z

karabinami strażników, mężczyzna już ziewał i próbował wstać.

– Pomóż mi go podnieść.

Kahlee odłożyła broń i podeszła. Razem zdołali postawić ogromnego mężczyznę na nogi. Ku uldze Lemma dał radę sam stać.

– Jak się nazywa?

– Hendel.

– Hendel! – krzyknął, mając nadzieję, że przebije się przez narkotyki wciąż spowijające umysł człowieka. – Jestem Lemm! Wyciągnijmy cię stąd! Rozumiesz!?

Olbrzym skinął głową, choć ten gest sprawił, że zachwiał się na nogach. Lemm uświadomił sobie, że nawet jeśli obudzi dziewczynkę, to mało prawdopodobne jest, by przez najbliższe dwadzieścia minut była w stanie iść.

– Będzie szybciej, jeśli poniosę małą – powiedział.

Kahlee skinęła głową i quarianin poprawił plecak, pochylił się i lewą ręką podniósł dziewczynkę, przerzucając ją sobie przez ramię jak worek. Była cięższa, niż wyglądała, i mimo że miał prawą rękę wolną, a ciężar plecaka pomagał w utrzymaniu równowagi, wiedział, że ciężko mu będzie ją nieść i strzelać celnie.

– Czy w Przymierzu nauczyli cię, jak się tym posługiwać? – zapytał Kahlee, wskazując na karabiny.

Skinęła głową i pochyliła się, by je podnieść.

– Skąd wiesz, że byłam w Przymierzu?

– Później – odparł. – Musimy iść.

Kahlee wręczyła jeden z karabinów Hendlowi, ale wyślizgnął mu się z rąk i upadł na podłogę.

– Zapomnij – powiedział Lemm. *W tej chwili nie trafiłby w budynek przed sobą.* – Za mną! – dodał, krzycząc w nadziei, że mężczyzna zareaguje

na jego głos.

Poprowadził ich przez pokręcone korytarze, wiedząc, że ich szansą na ucieczkę są pojazdy w garażu. Niestety, wróg pewnie też to wiedział.

Kiedy dotarł do schodów prowadzących na parter, zerknął przez ramię. Hendel dotrzymywał mu kroku dzięki Kahlee, która na wpół go ciągnęła, na wpół niosła. Dziewczynka wciąż zwiślała z ramienia Lemma, gdy cała czwórka niezręcznie zeszła na dół, na mały podest i potem do garażu. W pomieszczeniu pełno było stojących w przypadkowym porządku kontenerów i skrzyń, stanowiących idealną kryjówkę dla strażników czekających w zasadzce.

– Tam – powiedziała Kahlee, wskazując na stos metalowych skrzyń ustawionych w kącie pod przeciwległą ścianą. – Wy troje biegnijcie i schowajcie się. Będę was osłaniać.

Lemm skinął głową i ruszył, tak szybko jak mógł ze swoim nietypowym ciężarem.

Zza skrzyń wyskoczyła kobieta, mierząc w nich. Lemm ku swojemu przerażeniu uświadomił sobie, że choć jego chroniły tarcze kinetyczne, to dziewczynka i Hendel nie mieli żadnych osłon. Nim kobieta zdążyła strzelić, Kahlee zasypała ją gradem kul, zmuszając do szukania schronienia.

Kątem oka Lemm zobaczył mężczyznę na wpół ukrytego za pudłami po prawej. Człowiek strzelał do nich, jednak celował w Lemma, a nie w Hendla czy dziewczynkę. Quarianin odpowiedział mu kilkoma strzałami na oślep, które odbiły się echem w olbrzymim magazynie. Na tak niewielkim dystansie celność nie miała znaczenia, systemy autocelowania wystarczały, by strzały trafiały. Tarcze kinetyczne Lemma odbiły większość kul poza jedną, która trafiła w opancerzone ramię jego kombinezonu, nie czyniąc szkody, i drugą, która rozerwała róg jego plecaka. Jego przeciwnik nie miał tyle szczęścia. Pociski rozorały mu twarz i ręce i mężczyzna padł na ziemię.

Gdy tylko znaleźli się bezpiecznie za kontenerami, Lemm pośpiesznie ściągnął plecak z ramienia i położył dziewczynkę na podłodze, a potem wychylił się, by osłaniać Kahlee. Sanders przebiegła przez magazyn, trzymając nisko głowę.

Strzelba nie była najlepszą bronią do osłaniania kogoś ogniem. W przeciwieństwie do karabinu nie wyrzucała z siebie nieskończonego strumienia kul. Ale Lemm pamiętał, skąd wychyliła się kobieta, która chciała ich wcześniej zaatakować. Jeśli byłaby na tyle głupia, by wyrzeć z tego samego miejsca, miałby ją na muszce.

Właśnie to zrobiła. Lemm nacisnął spust, gdy tylko zobaczył jej głowę. Rozbrzmiało echo wystrzału, a skrzynia, za którą chowała się najemniczka, przesunęła się pod wpływem siły uderzenia. Bariery kinetyczne ocaliły kobiecie życie, absorbując chmurę pocisków. Ponownie skryła się za pojemnikami. Lemm wątpił, by popełniła kolejny błąd i po raz trzeci wyjrzała z tego samego miejsca.

Kahlee zatrzymała się gwałtownie za jego plecami, dysząc ciężko. Niemal w tej samej chwili przez drzwi, którymi ledwie kilka chwil wcześniej Lemm i pozostali weszli do magazynu, wpadło jeszcze dwóch strażników, mężczyzna i kobieta. Skoordynowany ostrzał ze strzelby i karabinu sprawił, że uciekający musieli skryć się za skrzyniami.

– Zajdą nas od drugiej strony – ostrzegł Lemm, przypominając sobie, że do magazynu prowadziły dwa wejścia, poza tym jeszcze schody z podestu na górze i drzwi garażowe. – Spróbują nas okrążyć.

– Myślisz, że zdołamy dostać się do roverów? – Kahlee wskazała na dwa pojazdy zaparkowane na środku garażu.

– Nie ma się gdzie schować. Będę musiał obejść magazyn naokoło i zejść od tamtej strony. Dasz radę utrzymać tę pozycję?

– Przez jakiś czas. Wiesz, ilu ich jest?

– O ile wiem, było dziewięcioro. Dwóch martwych na górze, jeden tutaj.
– Sześć do dwóch – mruknęła. – Bez jednego z tych roverów nie mamy szans.

Hendel wybełkotał coś, czego żadne z nich nie zrozumiało. Wydawał się przytomniejszy, ale nadal nie mógł mówić.

– Zostaniesz tu ze mną i Gillian – powiedziała Kahlee, poklepując go po udzie. – Trzymaj głowę nisko.

Wyglądając przez małą szparę pomiędzy skrzyniami osłaniającymi ich przed ogniem nieprzyjaciela, Lemm próbował zaplanować sobie trasę od jednej kryjówki do drugiej, tak by dostać się do jednego z pojazdów. Była szansa, ale musiał się postarać. A Kahlee musiała być w pogotowiu.

Gdy zastanawiał się, czy kobieta da sobie z tym radę, w drzwiach pojawił się kolejny z łowców niewolników. Kahlee wyskoczyła zza osłony i zdjęła go jedną celną serią w pierś.

Dwa do pięciu.

– Dobrze, jestem gotów – powiedział, biorąc głęboki oddech.

– Powodzenia – odpowiedziała. Nie odwróciła się, by na niego spojrzeć, była skupiona na polu walki.

Kiedy wybiegł spomiędzy skrzyń, zaczęła strzelać.

* * *

Grayson usłyszał strzały na korytarzu, ale nie był pewien, co one oznaczają. Kilka minut później usłyszał odgłosy strzelaniny dochodzące z pewnej odległości, jednak jak przypuszczał, wciąż z wnętrza budynku.

Ktoś atakuje bazę. Masz szansę się stąd wydostać.

Był uwięziony w składziku, nie w prawdziwej celi, a ściany go otaczające wykonane były z turiańskiego odpowiednika gipsu. Wstał, podszedł do jednej z nich i zaczął w nią kopać.

Jeśli strażnicy wciąż byli na zewnątrz, zobaczyliby na ekranach, co robi. Ale Grayson mógł się założyć, że teraz są zajęci czym innym.

Kilka mocnych kopniaków wystarczyło, by przebił się na drugą stronę. Przyłożył do dziury oko. Wyglądało na to, że za ścianą jest kolejna cela. Ale była pusta, a małe drzwi prowadzące na korytarz były otwarte.

Kopał dalej i pięć minut później otwór był wystarczająco duży, by mógł się przez niego przeczołgać. Ta wyjątkowo powolna ucieczka nie zwróciła niczyjej uwagi, założył więc, że strażników nie ma w pobliżu. Biorąc pod uwagę, że z wnętrza budynku wciąż dochodziły strzały, uznał, że pobiegli pomóc w odparciu ataku. Kiedy wyszedł na korytarz i zobaczył dwa ciała, zrozumiał, że jego przypuszczenia były błędne.

Wystarczyło szybko rozejrzeć się wokół, by dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebował. Pozostałe cele były puste. Gillian i reszta zniknęli. Ktoś ich wydostał... chociaż Grayson nie miał pojęcia, kto to mógł być. *Ktokolwiek to był, był tak miły, że zostawił mi karabin*, pomyślał, podnosząc broń z podłogi.

Grayson nie wiedział, gdzie się znajduje, ale wiedział, gdzie musi iść – odnaleźć Gillian. Najrozsądniejsze wydawało się zatem podążanie za odgłosami wystrzałów.

Szybko uświadomił sobie, że to trudniejsze, niż się spodziewał. Zgubił się całkiem w nonsensownie rozplanowanym budynku.

* * *

Lemm kluczył pomiędzy kontenerami, nieustannie zmieniając kierunek, starał się nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu. Dłonie zaciskał na strzelbie, ale nie zamierzał do nikogo strzelać – chciał się dostać do pojazdów.

Kahlee starała się jak mogła go osłaniać, ale przeciwnicy mieli przewagę. Gdy Lemm jeden raz odważył się przystanąć w jednym miejscu na tyle długo, by się obejrzeć, zobaczył dwóch najemników strzelających do niej zza stosu skrzyń i kolejnych dwóch, dopiero co przybyłych, z podestu nad garażem.

Oba zespoły skoordynowały swój ostrzał, nie dając Kahlee chwili, by mogła odpowiedzieć. Ale to nie powstrzymało jej od wyglądania zza osłony i ostrzeliwania się.

Bardzo odważne, zwłaszcza że nie ma żadnej tarczy.

Kahlee skupiała na sobie uwagę czterech łowców niewolników, to oznaczało, że on musiał się martwić tylko o jednego. Niestety, nie miał pojęcia, gdzie wróg się znajdował. Za każdym razem gdy wybiegał na otwartą przestrzeń, mógł trafić pod zabójczy grad kul.

Nie myśl o tym. Skup się napojeździe. Już prawie do niego dotarłeś.

Od rovera dzielił go już tylko krótki odsłonięty odcinek. Szybki bieg i będzie po wszystkim, w ten czy inny sposób.

Wypadł z ukrycia i rzucił się biegiem do pojazdu. Piąta najemniczka czekała na niego. Wyskoczyła zza skrzyni oddalonej o jakieś dwadzieścia stóp, w chwili gdy Lemm ją mijał. Zaczęła strzelać z bliskiej odległości, wzbijając w powietrze chmury cementu. Celowała nisko, tam gdzie tarcze były najsłabsze, próbując ściąć go z nóg.

Skulony Lemm wiedział, że największą szansę na przeżycie ma po prostu biegnąc dalej. Od bezpiecznego schronienia dzieliło go już tylko pół kroku, gdy wydrążony nabój trafił go w lewą łydkę. Pocisk spłaszczył się, a potem rozprysnął, tnąc małymi odłamkami metalu nogę quarianina, rozrywając mięśnie i ścięgna. Krzycząc z bólu, Lemm zachwiał się i wypuścił strzelbę. Z rozpędu zrobił jeszcze dwa chwiejne kroki,

wystarczające, by schronił się za opancerzonym roverem, nim ostatecznie zwalił się na ziemię.

Przetoczył się na plecy, chwytając za krwawą miazgę poniżej kolana, która kiedyś była jego nogą. Usłyszał zbliżające się kroki i zorientował się, że broń została gdzieś z tyłu, porzucona na podłodze.

Chwilę później zza pojazdu wyszła kobieta. Uśmiechnęła się i wymierzyła w niego.

I nagle przeleciała przez cały garaż.

Lemm patrzył na jej ciało przecinające powietrze i w końcu rozbijające się o jedną ze ścian i spadające bezwładnie na podłogę. Leżała tam nieruchomo, ze skrzyżowanym pod okropnym kątem karkiem. Dopiero wtedy usłyszał, jak Hendel do niego krzyczy, i zorientował się, co się stało: człowiek był biotykiem!

– Rover! Szybko!

Quarianin wiedział, że minie trzydzieści albo czterdzieści sekund, nim Hendel znowu będzie mógł użyć swojej biotyki... nie mieli tyle czasu. Zaciskając zęby i mając nadzieję, że nie zemdleje z bólu, podniósł się, opierając o przedni zderzak rovera. Stojąc na sprawnej nodze, otworzył drzwi od strony kierowcy i wczuł się do środka. Ignorując ból najlepiej jak mógł, zajął się pokonywaniem kodów dostępu i odpaleniem silnika. Zajął mu to pół minuty.

Pojazd nie miał przedniej szyby, bardziej przypominał opancerzony transporter z nawigacją, która dawała Lemmowi pogląd na to, co znajdowało się na zewnątrz. Istoty organiczne wykrywane przez czujniki na podczerwień i ultrafiolet były małymi kropkami na ekranie. Widział wszystkich znajdujących się w magazynie, przyjaciół i wrogów.

Rover nie był uzbrojony, ale zbudowany z czterech ton kuloodpornego metalu. Lemm dodał gazu. Opony zostawiły czarny ślad palonej gumy na

podłodze, gdy pojazd zawrócił niezgrabnie, a otumaniony bólem Lemm próbował nim kierować.

Uderzył w stos kontenerów, wyrzucając ciężkie metalowe pojemniki w powietrze. Obrócił kierownicę i nacisnął pedał gazu. Ignorując straszliwy ból, jaki pojawił się, gdy jego ranna noga uderzyła w drzwiczki kierowcy, skierował się prosto do Kahlee i pozostałych.

Po drodze staranował skrzynie stanowiące osłonę dla dwóch znajdujących się na niższym poziomie garażu najemników, zmiażdżył ich i zatrzymał się tuż przed Hendlem.

Otworzył drzwi i bioty k wsiadł na tylne siedzenie z wciąż nieprzytomną dziewczynką w ramionach. Kahlee osłaniała go ogniem, celując w dwóch łowców na podeście. Odpowiedzieli jej strzałami, a ich kule odbijały się od pancerza pojazdu w symfonii rykoszetów.

– Ładują raketnicę! – krzyknęła Kahlee, rzucając plecak Lemma na tylne siedzenie i wskazując na fotel pasażera. – Spadamy stąd!

– Lepiej ty prowadź – wydyszał przez zaciśnięte zęby Lemm, niezgrabnie starając się przesunąć na miejsce pasażera.

Spojrzała na jego zmasakrowaną nogę, a potem odepchnęła go na bok i usiadła za kierownicą.

– Przepraszam! – wrzasnęła, zatrzasnąjąc drzwi i wrzucając wsteczny.

Nacisnęła pedał gazu i wystrzelili w tył. Na ekranie nawigacyjnym pojawiła się szybko zbliżająca się do nich kropka: rakietka. Lemm myślał, że już po nich, ale Kahlee w ostatniej chwili szarpnęła kierownicą w prawo. Zamiast rozerwać rovera na kawałki, pocisk trafił w podłogę obok. Rozległ się huk, a pojazd zachwiał się pod wpływem siły eksplozji, koła z jednej strony uniosły się wysoko nad ziemię, a potem z impetem opadły z powrotem.

Kahlee w jakiś sposób zachowała kontrolę, używając ekranu nawigacyjnego do kierowania na wstecznym przez cały garaż, nieustannie przyśpieszając. Lemm był przerażony, gdy zorientował się, że przy pełnej prędkości uderzą w metalowe drzwi garażu.

– Trzymajcie się! – ostrzegła ich. – To będzie bolało!

Uderzyli w drzwi z taką siłą, że jedno skrzydło niemal wyrwali z zawiasów, wygniatając metal. Tył rovera zgniótł się, absorbując siłę uderzenia. Wszyscy znajdujący się w środku zostali wciśnięci w fotele, gdy nagłe wytracenie prędkości przy zderzeniu spowodowało gwałtowne zatrzymanie pojazdu.

Lemm, obijając się po wnętrzu uderzył nogą o tablicę rozdzielczą. Wrzasnął z bólu, walcząc o zachowanie przytomności. Spojrzał na Kahlee, która przechylała się na bok na swoim fotelu, otumaniona zderzeniem.

– Kahlee! – krzyknął. – Musisz prowadzić!

Jego głos przywołał ją z powrotem do świadomości. Wyprostowała się, potrząsnęła głową i ponownie wcisnęła pedał gazu. Pojazd, wciąż jadący na wstecznym, ponownie uderzył w drzwi. Kahlee przyśpieszała nadal, próbując przebić się przez metalowe drzwi uniemożliwiające im ucieczkę.

– Dawaj, sukinsynu! – warknęła. – Pokaż, co potrafisz!

Drzwi wyginały się pod naporem sześciu kręcących się kół, ale nie ustępowały, wystawiając ich na cel niczym kaczki na strzelnicy.

* * *

To się nie dzieje naprawdę.

Pel powtarzał to w myślach raz za razem, odkąd usłyszał pierwsze strzały.

Wrzeszczał do swoich ludzi, by wstawali i biegli do garażu odciąć drogę ucieczki, złapał broń i pobiegł razem z Shelą, jedyną przytomną poza nim,

na piętro. Znaleźli tam martwych strażników. Uwięzieni biotycy zniknęli.

Pobiegli z powrotem na podest nad garażem, zajmując stanowiska umożliwiające obserwację całego garażu, i ostrzeliwali tę kobietę, Kahlee. Na podeście był na wpół złożony miotacz rakiet, nowy nabytek. Pel rozważał użycie go, ale zrezygnował, wciąż chcąc pojmać biotyków żywcem, by móc ich sprzedać Zbieraczom.

Szybko pożałował tej decyzji. Ze swojego miejsca dobrze widział, jak jego zespół zostaje pokonany przez strzały Kahlee, biotykę Hendla i ich własny opancerzony rover.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślał znowu.

– Bierz wyrzutnię rakiet! – krzyknął do Sheli. – Załatw pojazd!

Zajęła się składaniem broni, podczas gdy on ostrzeliwał wchodzących do rovera więźniów. Pojazd stał tak, że uniemożliwiał mu trafienie. Nie było mowy o braniu ich żywcem.

– Gotowe! – krzyknęła Shela, podczas gdy rover zaczął przyspieszać na wstecznym.

– Strzelaj, do cholery!

Rakieta poleciała w kierunku pojazdu, ale cel w ostatniej chwili skręcił i pocisk trafił w podłogę. Rover przyspieszał, a potem uderzył z ogłuszającym hukiem w drzwi od garażu. Drzwi wygięły się, ale nie ustąpiły.

– Skończ z nimi! – krzyknął Pel, a Shela po raz drugi i ostatni wycelowała.

* * *

Grayson od dziesięciu minut błąkał się po nieznanym korytarzach i schodach.

Może lata piaskowania pozbawiły cię wyczucia kierunku.

Jedyne, co skłaniało go do podążania dalej, to przybliżający się odgłos strzałów i świadomość, że ktokolwiek odbił więźniów, miał Gillian.

Już miał w rozpaczy zacząć bić pięściami w ścianę, kiedy usłyszał niezwykle głośną eksplozję, jakby od granatu albo rakiety, i huk dobiegający tuż zza rogu. Poruszając się szybko, ale cicho, podążył tam i znalazł się na małym podeście nad wielkim, dwupoziomowym garażem.

Na podłodze rozrzucone były skrzynie i pudła, a także kilka ciał. Na przeciwległym końcu pojazd najwyraźniej dopiero co rozbił się o drzwi garażu. A na podeście niecałe dziesięć stóp od niego stał Pel i nieznajoma kobieta. Kobieta trzymała na ramieniu wyrzutnię rakiet.

Silniki pojazdu zawyły, gdy rover próbował przebić się przez drzwi. Biorąc pod uwagę okoliczności, Grayson był niemal pewien, że Gillian i pozostali byli w środku.

– Skończ z nimi! – krzyknął Pel, a kobieta wycelowała.

Grayson otworzył ogień. Nie miał skrupułów przed strzeleniem kobiecie w plecy. Deszcz kul przebił się przez tarcze i zmienił jej tułów w hamburgera. Miotacz wypadł z bezwładnych dłoni, a ona przechyliła się przez poręcz podestu. Kolejna seria sprawiła, że spadła na podłogę garażu.

Pel już się obracał, próbując unieść swój karabin, gdy Grayson znowu wystrzelił. Celował w prawe ramię Pela, seria z karabinu niemal oderwała je od ciała. Broń wypadła Pelowi z ręki i przeleciała przez poręcz.

Były partner Graysona upadł na kolana, spoglądając w szoku na strumienie krwi wypływające z tętnicy w rozerwanej ręce. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale kolejna seria wystrzelona przez Graysona uciszyła go na zawsze. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat ostatnie słowo nie należało do Pela.

Okropny zgrzyt zgniatanego metalu przyciągnął uwagę Graysona. Zobaczył, że rover zdołał wcisnąć się w kąt drzwi i wygiąć je na zewnątrz.

Grayson, stojąc nieruchomo, obserwował, jak pojazd przeciska się przez wyrwę, wystrzeliwując na zewnątrz niczym nowo narodzone dziecko.

Przez następne sześćdziesiąt sekund Grayson stał bez ruchu, nasłuchując, czy ktoś nie przeżył. Ale słyszał tylko cichnący w oddali dźwięk silników rovera.

.17.

Kahlee słyszała, jak metalowe drzwi drapią stalowy pancierz rovera, gdy pojazd przedarł się na ciemne ulice Omegi. Wciąż na wstecznym przejechała pół przecznicy, nim zaciągnęła hamulec i obróciła ich o pięćset czterdzieści stopni. Ustawili się w tę samą stronę, z której przyjechali, ale już nie jechali do tyłu.

Uciekli z magazynu, ale ucieczka nie mogła się skończyć, póki nie opuszczą Omegi.

– Masz statek? – zapytała siedzącego obok quarianina.

– Jedź do portu – odparł. – Na końcu przecznicy. Trzecia w lewo, potem pierwsza w prawo – jego dochodzący zza maski głos był słaby i pełen napięcia.

Kahlee na chwilę odwróciła się od ekranu i zerknęła na jego nogę. Wyglądała źle, ale rana nie zagrażała życiu.

– Hendel – odezwała się do siedzącego z tyłu – sprawdź, czy jest tam apteczka.

– W... moim... plecaku., jest medizel – zdołał wydyszeć walczący z bólem quarianin.

Kahlee nie odważyła się zatrzymać na czas opatrywania rany. Hendel przeszedł przeszkolenie medyczne: opatrzenie nogi w jadącym roverze nie było dla niego problemem.

Kierując się instrukcjami quarianina, wyjechali spomiędzy ciasnej zabudowy i dotarli na skraj dzielnicy i doki. Gdy pędzili po otwartej przestrzeni, ekran nawigacyjny wykrył trzy małe statki stojące razem na końcu portu.

– Lemm, który wahadłowiec jest twój? – zapytała Kahlee.

– Który wybierzesz – jego głos brzmiał teraz mocniej. Zauważyła, że Hendel usztywnił jego nogę i owinął sterylnym opatrunkiem, by ograniczyć dostęp wirusów. Medyzel zmniejszył ból, jednocześnie lecząc i dezynfekując ranę.

Kahlee zatrzymała rovera kilka stóp od najbliższej śluzy i wyskoczyła na zewnątrz. Odwróciła się do rannego quarianina. Lemm przeczołgał się po siedzeniu, a potem, wspierając się na Kahlee, wysiadł z pojazdu, stając na swojej sprawnej nodze. Kilka chwil później wysiadł też Hendel, niosący wciąż nieprzytomną Gillian i plecak Lemma.

– A niech mnie – mruknął, spoglądając przez okno widokowe na wahadłowiec przycumowany po drugiej stronie. Kahlee nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy uświadomiła sobie, na co Hendel patrzył: zamierzali ukraść statek Graysona.

Quarianin zajął się pokonywaniem zabezpieczeń statku. Po mniej więcej minucie śluza otworzyła się z lekkim kliknięciem i z miękkim sykiem mechanizmu wysunęła się rampa.

Kiedy znaleźli się w środku, Hendel ułożył Gillian na jednym z foteli pasażera. Rozłożył oparcie i zapiął pasy, podczas gdy Kahlee pomagała kulejącemu Lemmowi przejść do kokpitu.

– Potrafisz tym latać? – zapytała.

Przyjrzał się kontrolkom i skinął głową.

– Tak mi się wydaje. Wygląda na standardowy system.

Quarianin zajął miejsce w fotelu pilota i trzypalczastą, odzianą w rękawiczkę ręką sięgnął do konsoli. Kahlee uświadomiła sobie nagle, że choć za sprawą skafandrów i masek quarianie przypominali posturą ludzi, jednak byli to obcy. A ten obcy właśnie ryzykował życie, by ich ocalić.

– Dziękuję – powiedziała. – Zawdzięczamy ci życie.

Lemm nie odpowiedział na jej wyrazy wdzięczności.

– Dlaczego trzymali was w niewoli? – zapytał.

– Chcieli nas sprzedać Zbieraczom.

Zadrzał, ale nie powiedział nic więcej. Chwilę później ekrany ożyły.

– Nie ma śladów pościgu – mruknął.

– Cerberus łątwo z nas nie zrezygnuje – ostrzegł ją wchodzący do kokpitu Hendel.

– Oni nie pracowali dla Cerberusa – wyjaśniła Kahlee, przypominając sobie, że Hendel nie słyszał jej rozmowy z Graysonem. – Już nie. Chyba uznali, że więcej zarobią jako wolni strzelcy.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że Hendel nawet nie zapytał, czemu zostawili Graysona. *Musi go nienawidzić bardziej, niż sądziłam.* Biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń, nie mogła go za to winić.

– Miałaś rację co do Graysona – powiedziała. – Był agentem Cerberusa. Musiał przez cały ten czas pracować z Jiro.

Statek zadrzał lekko, a silniki zaczęły buczeć, gdy Lemm je odpalił.

Ujawnienie prawdziwego oblicza Graysona nie zaskoczyło Hendla w ogóle. Na jego korzyść przemawiało, że nie stwierdził „a nie mówiłem”. Zapytał tylko:

– Zabiłaś go?

– Żyje, o ile mi wiadomo – przyznała Kahlee. – Był więźniem, jak my. Zostawiłam go w celi.

– Jeśli oddadzą go Zbieraczom, będzie żałował, że go nie zabiłaś – wtrącił się Lemm.

Kahlee nie myślała o tym, ale ta uwaga wywołała u Hendla ponury uśmiech.

Quarianin dokonał jeszcze kilku operacji i włączył napęd, unosząc wahadłowiec powoli w górę.

– Jaki kurs ustawić? – zapytał.

Dobre pytanie, pomyślała Kahlee.

– Nic się nie zmieniło – Hendel wypowiedział na głos to, co i jej chodziło po głowie. – Cerberus nadal będzie chciał położyć łapska na Gillian, a my nie możemy zaryzykować pójścia z tym do Przymierza. Grayson i jego byli kumple mogą już się nie liczyć, ale Cerberus ma dość innych agentów.

– Nieważne, dokąd się udamy, wcześniej czy później nas znajdą.

– Zatem musimy być w ruchu – powiedziała Kahlee. – Wyprzedzić ich o krok.

– Gillian nie będzie łatwo – ostrzegł ją Hendel.

– Nie mamy wyboru. Z tego, co wiemy, mogą mieć kogoś na każdym świecie, kolonii i stacji w Galaktyce dostępnej dla ludzi.

– Znam miejsce, gdzie Cerberus na pewno was nie znajdzie – powiedział Lemm, obracając się w fotelu. – Wędrowną Flotę.

* * *

Gdy już było po wszystkim, Grayson przeszukał magazyn od sufitu po piwnice. Przez chwilę rozważał zabranie drugiego rovera i ściganie Gillian, ale wiedział, że zanim dotrze do stojącego na parterze pojazdu, uciekinierzy będą już daleko. Jeśli chciał odnaleźć Gillian, musiał być cierpliwy i sprytny.

W garażu znalazł kilka ciał, w tym kobiety, której strzelił w plecy. Dwoje pozostałych też zostało postrzelonych, dwoje przejechanych przez rovera, a jedna kobieta leżała pod ścianą ze skręconym karkiem. Grayson od razu poznał, że zabiła ją moc biotyka. Podejrzewał, że użył jej Hendel, nie Gillian.

Znalazł też strzelbę leżącą na środku podłogi. Wyglądała na turiańską, ale została przerobiona w prowizoryczny, aczkolwiek wielce efektywny

sposób charakterystyczny dla quarian.

Na pierwszy rzut oka rozpoznając dobrą broń, zabrał ją ze sobą, wychodząc z garażu i ruszając na zwiad do pozostałej części magazynu. Kilka razy zgubił się w labiryncie korytarzy, ale w końcu dostał się na parter, do pomieszczenia przerobionego na kwatery.

Było tam dwanaście prycz, ale tylko dziewięć nosiło ślady użytkowania. W magazynie Grayson znalazł siedem ciał, dwa znajdowały się przy celach, co wyjaśniało, dlaczego nie napotkał nikogo podczas przeszukiwania magazynu. Wiedząc, że wszyscy mieszkańcy magazynu nie żyją, mógł zrezygnować z podwyższonej czujności.

Na każdej innej stacji czy jakimkolwiek świecie martwiłby się, że siły porządkowe zareagują niezwłocznie na odgłosy walki. Ale na Omedze nie było policji, a odgłosy strzałów i eksplozji zachęcały sąsiadów, by zajęli się własnymi sprawami. W końcu ktoś pewnie zajrzy do magazynu – pewnie ten, kto wynajmował go Pelowi i jego ludziom. Jednak Grayson spodziewał się, że nie dojdzie do tego wcześniej niż za kilka dni.

Za kwaterami znajdował się krótki korytarz prowadzący do kilku biur, gdzie Pel założył stanowisko dowodzenia. Przeglądając zawartość komputerów i dysków, Grayson znalazł raporty z ich pierwotnej misji. Były, rzecz jasna, zakodowane, ale tylko podstawowym szyfrem Cerberusa i Grayson nie miał problemów z ich odczytaniem.

Pel został wysłany na Omegę, by znaleźć sposób na zinfiltrowanie quariańskiej floty. Niestety, raporty były niekompletne. Wymieniany był w nich napadnięty statek, „Cyniad”, i informacje o tym, że został pojmany i przesłuchany jeden więzień, ale nie było ani słowa o wynikach przesłuchań. Pel najwyraźniej zrezygnował z rejestrowania misji, kiedy zaczął robić interesy z tajemniczymi Zbieraczami, nie był też na tyle głupi, by

zapisywać informacje o swoich aktualnych działaniach w jakikolwiek sposób mogący go zdradzić przed Człowiekiem Iluzją.

Wzmianka o quariańskim statku i więźniu połączona z odkryciem quariańskiej strzelby z dużym prawdopodobieństwem wyjaśniała, kto odbił więźniów. Quariański zespół ratunkowy musiał przybyć na ratunek ziomkowi i z jakichś powodów zabrał ze sobą Gillian, Kahlee i Hendla.

Uznawszy, że dowiedział się z plików tyle, ile mógł, wrócił do powolnego i dokładnego przeszukiwania magazynu. W kolejnym biurze, zlokalizowanym, jak sądził, bliżej centrum budynku, odkrył małe drzwi w podłodze. Były prymitywnie zaprojektowane, zamiast poruszać się po szynach, otwierały się do góry na metalowych zawiasach. Zamknięte były na prostą zasuwę.

Grayson wycelował w nie ze swojej nowo zdobytej strzelby i czubkiem buta odsunął zasuwę na bok. Odczekał kilka sekund, a kiedy nic się nie stało, pochylił się ostrożnie i szarpnięciem otworzył drzwi, gotów strzelić, gdyby w polu widzenia pojawił się cel.

Piwnica była zupełnie ciemna. Klatka schodowa prowadziła w mrok. Grayson włączył latarkę wbudowaną w lufę strzelby, używając jej mocnego promienia, by odgonić ciemność, gdy schodził powoli po schodach.

Kiedy dotarł na dół, oświetlił teren wokół siebie, sięgając światłem latarki w każdy kąt. Pomieszczenie było kwadratowe, wysokie na około dziesięć stóp. Ściany były z cegieł i zaprawy, podłoga z nagiego betonu. Było całkiem puste, jeśli nie liczyć nieruchomej postaci leżącej na plecach pod jedną ze ścian.

Kierując promień latarki – i wylot lufy – na ciało, Grayson podszedł bliżej. Dopiero gdy od ciała dzieliło go tylko kilka kroków, zorientował się, co widzi: znalazł quariańskiego jeńca.

Przesuwając promieniem po ciele, zobaczył, że więzień jest związany od stóp do głów i całkiem nagi. Grayson nigdy nie widział quarianina bez kombinezonu i hełmu, choć wątpił, czy ten w piwnicy mógł jeszcze uchodzić za przedstawiciela tej rasy. Jego twarz była zdeformowaną masą guzów, siniaków, ran i przypaleń stanowiących oczywisty dowód tortur, jakim go poddano. Ktoś wybił mu wszystkie zęby i złamał kość policzkową. Drugi policzek był dziurawy, jakby ktoś przeciął go od wargi do quariańskiego odpowiednika ucha.

Jedno oko niknęło pod opuchlizną. Drugiemu brakowało dolnej i górnej powieki, poszarpane kawałki ciała świadczyły o tym, że powieki okrutnie wyrwano kleszczami. Grayson z odrazą przypomniał sobie, jak bardzo Pel lubił tę torturę: oprócz brutalnego wyrwania kawałka ciała ofiara powoli i w bólach ślepla, gdy odsłonięta gałka oczna się odwadniała.

Reszta ciała też nie prezentowała się lepiej. Wszystkie palce u rąk i nóg były połamane, a kilka wyrwano ze stawów. Każdy cal odsłoniętej skóry nosił ślady pobicia, cięcia, przypalania ogniem albo kwasem. Jednak ciało miało w sobie coś jeszcze, coś, co sprawiło, że Grayson pochylił się niżej.

Z ran wyrastały dziwne łośwate szare narośle pełzające po skórze. Dopiero po chwili Grayson uświadomił sobie, że to musiał być jakiś rodzaj grzyba i jakby nie dość było tortur, quarianin cierpiał też z powodu jakiejś choroby.

Stęknął z obrzydzeniem i odsunął się od ciała. Ku jego zaskoczeniu quarianin zareagował na to jękiem przerażenia.

Jezu Chryste, ten biedny dupek jeszcze żyje!

Obcy próbował mówić, powtarzając w kółko to samo zdanie trzęsącym się, ochryłym głosem. Słowa były zniekształcone przez brak zębów i obrażenia twarzy i translator Graysona dopiero po kilku powtórzeniach zdołał je odcyfrować.

– Częstość cztery trzy dwa dwa trzy... Moje ciało podróżuje ku odległym gwiazdom, ale moja dusza nigdy nie opuszcza Floty... Częstość cztery trzy dwa dwa trzy... Moje ciało podróżuje ku odległym gwiazdom, ale moja dusza nigdy nie opuszcza Floty... Częstość cztery trzy dwa dwa trzy... Moje ciało podróżuje ku odległym gwiazdom, ale moja dusza nigdy nie opuszcza Floty...

Powtarzał to w kółko, a jego rozedrgany, przerażony głos wznosił się i opadał. Grayson przykucnął przy nim, uważając, by nie dotykać zainfekowanych ran.

– Już dobrze – powiedział miękko, wiedząc, że jego translator przełoży te słowa na quariański. – Nikt cię już nie skrzywdzi. Już dobrze.

Quarianin zdawał się tego nie słyszeć. Dalej bełkotał, coraz szybciej i szybciej, jego wymęczony umysł starał się wyrzucić z siebie informacje w rozpaczliwej próbie uniknięcia tortur.

– Już po wszystkim – szepnął Grayson, próbując uspokoić spanikowanego więźnia. – Już po wszystkim.

Jego słowa wywołały efekt przeciwny do zamierzonego, quarianin zaczął szarpać się w więzach. Wrzasnął rozpaczliwie i zaczął pluć i kaszeć. Z jego ust i dziury w policzku trysnęła czarna, śmierdząca posoka i Grayson odskoczył, by uniknąć rozbryzgu.

Quarianin wydał z siebie kilka bulgoczących, urywanych westchnień, aż w końcu zamilkł i znieruchomiał. Z trudem znosząc odór, który wydzielało teraz ciało, Grayson podszedł na tyle blisko, by móc stwierdzić, że więzień nie oddycha.

Zostawił ciało w mrokach piwnicy i wyszedł z powrotem na parter. Zamknął za sobą włącznik na zasuwę, a potem zebrał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i co mógł nieść. Piętnaście minut później siedział za

kierownicą drugiego rovera Pela, jadąc nieznanymi ulicami Omegi z paką pełną zapasów i strzelbą na siedzeniu obok.

Skupienie się na celu pozwoliło mu zignorować cienki głosik namawiający go, by poszukał dilerów i kupił działkę. Zamiast tego zajął się znalezieniem stacji transmisyjnej, z której mógłby się połączyć z siecią i wysłać wiadomość Człowiekowi Iluzji, by wyjaśnić mu, co się stało.

Pel odwrócił się od Cerberusa, ale Grayson wciąż był lojalny... i wiedział, że organizacja może mu pomóc odnaleźć Gillian.

.18.

Od ucieczki z magazynu minęło sześć godzin.

Lemm zdołał ustalić aktualne położenie floty, zalogowawszy się do sieci i sprawdzwszy wiadomości. Wędrowną Flota przelatywała przez odległy, kontrolowany przez volusów system nieopodal granic przestrzeni Rady. Wedle najnowszych wiadomości kilku voluskich dyplomatów złożyło w Cytadeli petycję, domagając się, by Rada zrobiła, co w jej mocy, by przyśpieszyć przelot quarian.

Kahlee wątpiła, by apele polityczne odniosły jakiś skutek. Cytadela wciąż dochodziła do ładu ze zmianami, które wymusił atak Sarena i jego gethów. Teraz celem Cytadeli było wyeliminowanie kilku utrzymujących się punktów oporu gethów rozsianych po całej Galaktyce. Był to wynik nacisków koalicji, na której czele stali ludzie i Przymierze. Kahlee podejrzewała, że kiedy gethy zostaną odepchnięte za Mgławicę Perseusza, następnym zadaniem będzie rekonstrukcja Rady i radykalne zmiany w polityce. Wędrowną Flota była w tej chwili ostatnim, z czym Cytadela chciała mieć do czynienia.

Kahlee wiedziała, że nawet podczas długich okresów międzygwiazdowego pokoju poprzedzających przybycie ludzi różne gatunki postrzegały Flotę jak niewiele więcej niż drobną niedogodność... póki Flota nie znalazła się w ich systemie. Wtedy najrozsądniejszym wyjściem było podarowanie niechcianych zasobów w formie zazłomowanych statków, surowych materiałów i części zamiennych quariańskiej Admiralicji.

Quarianie pozwalali się przekupić takimi podarkami i flotylla szybko stawała się problemem innego systemu. Kahlee nienawidziła osądzać, ale nie mogła się powstrzymać, by nie porównać jej do zgniłego jajka, które wszyscy podrzucają sobie nawzajem.

A za czterdzieści godzin mamy nadzieję do nich dołączyć, pomyślała, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jak wszystko się zmieniło w ciągu ostatnich kilku dni.

Lemm wprowadził kurs do systemu nawigacji, a gdy weszli w nadświetlną, poszedł się położyć w kabinie sypialnej na rufie. Kahlee wciąż chciała mu zadać wiele pytań – choćby skąd ją znał – ale zważywszy na to, co dla nich zrobił, mogła się zdobyć na cierpliwość. Zamierzała dać mu kilka godzin na odpoczynek i regenerację sił, a dopiero potem zasypać go pytaniami. Poza tym teraz chciała sprawdzić, jak czuje się Gillian, która już się obudziła.

Kiedy dziewczynka odzyskała przytomność, pierwsze, co powiedziała, to „jestem głodna”. Hendel zaraz rozwiązał ten problem, przygotowując jej podwójnych rozmiarów posiłek z zapasów umieszczonych na statku.

System nawigacyjny prowadził ich wyznaczonym kursem, więc nikt nie musiał pilnować kontrolek. Cała trójka – Kahlee, Gillian i Hendel – zebrała się w kabinie pasażerskiej. Dwoje dorosłych siadło obok siebie na wprost Gillian, która trzymała na kolanach plastikową tacę z posiłkiem i jadła.

Właśnie kończyła swój obiad. Tak jak w Akademii, przeżuwała każdy kęs starannie, nie przerywając ani nie gubiąc tempa i gryząc metodycznie jedzenie. Kahlee zauważyła jednak, że dziewczynka nie trzymała się swojego zwyczaju gryzienia po kolei każdego rodzaju pożywienia. Co więcej, nie tknęła jabłka ani deseru, póki nie zjadła pozostałych rzeczy.

Kiedy już skończyła, ostrożnie odstawiła tacę i odezwała się po raz drugi od czasu odzyskania przytomności.

– Gdzie jest mój tata? – w jej głosie nie było emocji, tylko monotonia, jak u prymitywnych syntezatorów mowy z dwudziestego wieku.

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi. Na szczęście, kiedy Gillian wciąż spała pod wpływem podanych jej narkotyków, Kahlee i Hendel

przedyskutowali ten temat.

– Musiał się czymś zająć – skłamała Kahlee, uznając, że w tej chwili prawda może być dla dziewczynki zbyt trudna do zniesienia. – Dołączy do nas później, ale na razie jesteśmy tylko my troje, ty, ja i Hendel. W porządku?

– Jak nas znajdzie, skoro zabraliśmy jego statek?

– Przyleci innym – zapewniła dziewczynkę.

Gillian spoglądała na nią, mrużąc lekko oczy, jakby podejrzewała oszustwo i próbowała dojrzeć prawdę. Po kilku sekundach skinęła głową, przyjmując sytuację do wiadomości.

– Wracamy do szkoły?

– Jeszcze nie – powiedział Hendel. – Spotkamy się z innymi statkami. Quariańskimi. Pamiętasz, jak w zeszłym roku na lekcjach historii uczyliście się o quarianach?

– Stworzyli gethy – powiedziała krótko.

– Tak – przyznała Kahlee, mając nadzieję, że to nie jest jedyne, co kojarzy się Gillian z rasą ich wybawiciela. – Pamiętasz coś jeszcze?

– Wynnani niemal trzysta lat temu z ojczywego systemu przez gethy, quarianie w większości żyją na pokładach Wędrownej Floty, flotylli składającej się z pięćdziesięciu tysięcy statków, od wahadłowców pasażerskich po mobilne stacje kosmiczne – odpowiedziała Gillian, a Kahlee uświadomiła sobie, że dziewczynka zacytowała cały akapit z podręcznika historii. – Stanowiąca dom dla siedemnastu milionów quarian Flota ma oczywiście ograniczone zasoby – mówiła dalej Gillian. – Z tego powodu każdy quarianin po osiągnięciu dojrzałości musi przejść rytuał zwany Pielgrzymką. Opuszcza wtedy flotyllę i powraca, dopiero gdy znajdzie coś wartościowego...

– Dobrze, Gillian – powiedział łagodnie Hendel, przerywając jej, nim wyrecytowała im cały rozdział.

– Dlaczego spotykamy się z quariańskim statkiem?

Kahlee nie była pewna, ile Gillian pamiętała z brutalnego przywitania, jakie spotkało ich na Omedze, odpowiedziała zatem wymijająco:

– Kiedy spałaś, spotkaliśmy quarianina o imieniu Lemm. Pomoże nam się ukryć przed ludźmi, którzy nas szukają.

– Przed Cerberusem – powiedziała dziewczynka, a dorośli wymienili nerwowe spojrzenia, niepewni, gdzie usłyszała tę nazwę.

– Tak – przytaknął po chwili Hendel. – Chcą cię skrzywdzić, a my na to nie pozwolimy.

Gillian zmarszczyła czoło i przygryzła wargę. Przez kilka długich chwil milczała, a potem zadała pytanie, które już od jakiegoś czasu dręczyło Kahlee:

– Dlaczego Lemm nam pomaga?

Żadne z dorosłych nie znało odpowiedzi.

– Chyba będziemy musieli go zapytać, kiedy się obudzi – przyznała w końcu Kahlee.

Na szczęście nie musieli czekać długo. Niecałą godzinę później usłyszeli nierówne kroki kulejącego Lemma idącego korytarzem. Na nodze miał hermetycznie zamknięty, usztywniany wysoki but, który ochraniał i wspierał wszystko od kostki aż po kolano. Oczywiście nadal miał na sobie maskę i kombinezon. Kahlee podejrzewała, że nie zdejmie ich, póki nie dotrą do flotyli.

– Lemm – powiedziała, gdy stanął w drzwiach kabiny – to jest Gillian. Gillian, to jest Lemm.

Quarianin zrobił krok naprzód i skłonił się lekko, wyciągając okrytą rękawiczką dłoń w powitalnym geście wspólnym dla obu gatunków. Ku

zaskoczeniu Kahlee Gillian uścisnęła ją.

– Miło mi cię poznać – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, widząc cię w pełnym zdrowiu – odparł, siadając ostrożnie obok niej, naprzeciwko Kahlee i Hendla.

– Dlaczego nam pomagasz? – zapytała go Gillian.

Kahlee drgnęła. Nie zdążyli ostrzec quarianina o stanie Gillian i miała nadzieję, że Lemm nie potraktuje jej braku taktu jako obrazy.

Na szczęście tak nie było.

– Przechodzisz prosto do sedna, co? – roześmiał się za maską.

– Jestem autystyczna – odpowiedziała głosem absolutnie pozbawionym emocji.

Nie było jasne, czy Lemm rozumiał pełne znaczenie tego słowa, ale Kahlee uznała, że był na tyle bystry, by pojąć, o co chodzi. Nim zdążył odpowiedzieć, Gillian powtórzyła swoje wcześniejsze pytanie:

– Dlaczego nam pomagasz?

– Sam jestem tego ciekaw – dodał Hendel, odchylając się na swoim krześle i zakładając nogę na nogę.

– Jestem na Pielgrzymce – zaczął quarianin. – Byłem na świecie zwanym Kanuk, kiedy spotkałem dwóch załogantów z „Bevei”, statku zwiadowczego z „Idenny”. Opowiedzieli mi o innym statku, „Cyniadzie”, który poleciał na Omegę by zrobić pewien interes, ale nie wrócił. Przybyłem na Omegę w poszukiwaniu załogi „Cyniada”. Miałem nadzieję, że ich uratuję, albo przynajmniej dowiem się, co się z nimi stało. Na Omedze inny quarianin, zwany Golo, powiedział, że „Cyniad” miał zrobić interes z małą grupą ludzi. Włamałem się do ich magazynu w nadziei, że znajdę załogę. Zamiast nich znalazłem was.

– Ale czemu ryzykowałeś życie, by nas ocalić? – zapytał Hendel.

– Podejrzałem, że ci ludzie to łowcy niewolników. Żadna rasa nie powinna być kupowana ani sprzedawana. Moim moralnym obowiązkiem było was uwolnić.

Kahlee była pewna, że mówi szczerze, ale wiedziała też, że kryje się za tym coś więcej.

– Rozpoznałeś mnie – powiedziała. – Znałeś moje imię.

– W ciągu ostatnich miesięcy imię Kahlee Sanders stało się znane pośród moich ziomków – przyznał. – Widziałem twoje stare zdjęcie pobrane przez nas z extranetu. W ciągu osiemnastu lat niewiele się zmieniłaś.

Kahlee zaczęła dopasowywać do siebie fakty. Osiemnaście lat wcześniej brała udział w nielegalnym projekcie Przymierza dotyczącym sztucznej inteligencji, prowadzonym przez doktora Shu Qiana. Qian zdradził projekt, zmuszając Kahlee do ucieczki w desperackiej próbie ocalenia życia. Tak spotkała kapitana Andersona... i turiańskie Widmo imieniem Saren Arterius.

– Z powodu moich powiązań z Sarenem – powiedziała, szukając potwierdzenia.

– Twoich powiązań z nim i jego z gethami – uściślił Lemm. – Bunt gethów był najważniejszym wydarzeniem w dziejach mojego ludu. Zmusiła nas do ucieczki armia sztucznych maszyn – bezwzględnych, niestrudzonych i niepowstrzymanych. Ale Saren poprowadził armię gethów na Cytadelę. Znalazł jakiś sposób, by go słuchały. Znalazł sposób kontrolowania ich i poddania swojej woli. Czy to dziwne, że interesuje nas on i każdy, kto jest z nim w jakiś sposób powiązany?

– Kahlee? – Hendel postawił obie nogi na ziemi i usiadł prosto, napinając mięśnie. – O czym on mówi?

– Kiedy jeszcze byłam w Przymierzu, Saren był Widmem wysłanym, by zbadać projekt, nad którym pracowałam. – Nigdy nie rozmawiała o tym, co stało się podczas misji, z nikim poza Andersonem i nie chciała teraz tego robić. – Jak quarianie się o tym dowiedzieli? – zapytała. Jej głos brzmiał o oktawę wyżej, zaczynała się trochę bać, a to ją rozzłościło. – Akta Przymierza zostały utajnione.

– Za odpowiednią cenę da się uzyskać każdą informację – przypomniał jej quarianin. Trudno było odgadnąć, jaką ma minę pod maską, ale jego głos wydawał się spokojny. – A jak mówiłem, mamy zrozumiałą obsesję na punkcie gethów. Kiedy dowiedzieliśmy się, że Saren prowadzi ich armię, zaczęliśmy zbierać wszelkie informacje, jakie mogliśmy zdobyć o jego życiu i poprzednich misjach. Kiedy odkryliśmy, że miał powiązania z ludzkim naukowcem prowadzącym nielegalne badania nad SI, to oczywiście sprawdziliśmy również naukowca.

– Nielegalne SI? – mruknął Hendel, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– To było dawno temu – powiedziała quarianinowi Kahlee.

– Kapitan „Idenny” będzie chciał z tobą porozmawiać.

– Nie mogę wam pomóc – upierała się. – Nie wiem nic o Sarenie ani gethach.

– Możesz wiedzieć więcej, niż sądzisz – odparł Lemm.

– Mówisz tak, jakbyśmy nie mieli wyboru – powiedział groźnie Hendel.

– Nie jesteście więźniami – zapewnił go quarianin. – Jeśli zabiorę was do Floty, będziecie jej gośćmi.

Jeśli nie chcecie tam lecieć, mogę w każdej chwili zmienić kurs. Mogę was zabrać na każdy świat, jaki wybierzecie. Jednak jeśli udamy się do Floty, to możliwe, że nie pozwolą wam od razu jej opuścić – przyznał. – Moi ziomkowie są bardzo ostrożni, jeśli chodzi o ochronę naszych statków.

Hendel spojrzał na Kahlee.

- Ty decydujesz. Ty tu jesteś gwiazdą.
- To zakończy twoją Pielgrzymkę, prawda? – zapytała Lemma. – Spotkanie ze mną to twój podarunek dla kapitana.
- Skinął głową, ale nic nie powiedział.
- Jeśli tego nie zrobisz, nie będziesz mógł jeszcze wrócić do Floty?
- Będę musiał kontynuować moją podróż, póki nie znajdę czegoś wartego przywiezienia mojemu ludowi. Ale nie zmuszę was do podróży. Podarunek, który przywozimy, nie może zostać zdobyty w sposób powodujący krzywdę i cierpienie u innego quarianina lub niequarianina.
- Dobrze – powiedziała, przemyślawszy to. – Porozmawiam z nimi. Zawdzięczamy ci życie i przynajmniej tak możemy się odwdziżyć. - Poza tym – dodała – nigdzie indziej nie będziemy bezpieczniejsi.

* * *

Czterdzieści godzin później wyszli z nadświetlnej w odległości mniej więcej pięciuset tysięcy kilometrów od Wędrownej Floty. Lemm znowu siedział w fotelu pilota, Kahlee obok niego. Hendel zajmował swoje nowe ulubione miejsce, stojąc tuż obok drzwi prowadzących do kabiny pasażerskiej, i nawet Gillian usiadła z nimi w ciasnej przestrzeni, stając tuż za fotelem quarianina.

Dziewczynka zdawała się lubić Lemma. Zaczęła za nim chodzić po statku albo siadała i patrzyła się na niego, gdy siedział albo spał. Nie inicjowała rozmów, ale odpowiadała na jego pytania. To było niezwykle, ale budujące, widzieć ją reagującą na kogoś, więc ani Kahlee, ani Hendel nie próbowali jej powstrzymać, kiedy przyszła do kokpitu.

Wędrowna Flota i jej tysiące statków lecących w ciasnej formacji pokazały się na ich ekranie w formie pojedynczej ogromnej czerwonej

masy, gdy się zbliżyli. Lemm przyśpieszył i zaczęli lecieć równym kursem w stronę flotylli.

Kiedy zbliżyli się na odległość stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, ekran nawigacyjny pokazał, jak kilka mniejszych statków oderwało się od armady, lecąc kursem przejmującym w ich kierunku.

– Patrole reagują na każdy statek zbliżający się do Floty – poinformował ich wcześniej Lemm. – Są ciężko uzbrojone. Otworzą ogień do każdej jednostki, która się nie zidentyfikuje albo nie będzie chciała zawrócić.

Z tego, co Kahlee wiedziała o społeczeństwie quariańskim, wynikało, że ich reakcja była zupełnie zrozumiała. Głęboko w sercu Wędrownej Floty leciały trzy wielkie agrostatki: olbrzymie rolnicze jednostki, które były głównym źródłem wyżywienia dla siedemnastu milionów jednostek żyjących na Flocie. Gdyby jakiś wróg uszkodził albo zniszczył któryś z nich, nieuniknionym efektem byłby katastroficzny głód i ponura perspektywa śmierci głodowej dla milionów quarian.

Lemm, widząc zbliżający się patrol, włączył wspólny kanał komunikacyjny. Kilka minut później zabrzmiał na nim głos mówiący po quariańsku, choć oczywiście mały translator, który Kahlee nosiła jak medalion na szyi, przełożył te słowa na angielski.

- Wkraczacie na teren zastrzeżony. Zidentyfikujcie się.
- Mówi Lemm’Shal nar Tesleya i prosi o pozwolenie powrotu do Floty.
- Potwierdź autoryzację.

Lemm wyjaśnił im wcześniej, że większość quarian wyruszających na Pielgrzymkę wracała do Floty na zdobytych statkach. Jako że te jednostki nie były zarejestrowane ani nie miały odpowiednich sygnałów wywoławczych, jedynym sposobem potwierdzenia tożsamości osób znajdujących się na pokładzie był unikatowy system kodowania. Przed wyruszeniem Lemm w rytualną podróż kapitan „Teslei”, macierzystego

statku Lemma, kazał mu zapamiętać dwa szczególne zdania. Jedno, zdanie alarmowe, było ostrzeżeniem, że coś jest nie tak, na przykład wrogowie obecni na statku zmuszali pilota, by pomógł im zbadać Flotę. Zdanie alarmowe spowodowałoby, że patrole natychmiast otworzyłyby do nich ogień. Drugie zdanie, właściwe, sprawiało, że bezpiecznie minęliby patrole, a potem dołączyli do lecących w ciasnym szyku statków, wahadłowców i krążowników.

– Podróż w poszukiwaniu wiedzy zawiodła mnie daleko od mojego ludu, teraz odkrycie mądrości sprowadziło mnie z powrotem.

Przez długą chwilę panowała cisza, gdy patrol kontaktował się z „Tesleyą” lecącą gdzieś w głębi formacji, by potwierdzić hasło. Dłonie Kahlee były mokre od potu, w ustach czuła suchość. Przełknęła głośno ślinę i wstrzymała oddech. Wahadłowiec Graysona został zbudowany do szybkich, długodystansowych podróży. Nie miał uzbrojenia ani systemu obrony GARDIAN, ani żadnego opancerzenia. Jeśli Lemmowi pomieszały się hasło alarmowe i oznaczające, że wszystko w porządku, patrol w kilka sekund zmieni ich w proch.

– Lemm, „Tesleya” wita cię w domu – nadeszła odpowiedź, a Kahlee wypuściła powietrze w długim westchnieniu ulgi.

– Przekażcie im, że dobrze jest być tu z powrotem – odparł i dodał: – Muszę się skontaktować z „Idenną”.

Znowu zapadła cisza, ale tym razem Kahlee nie czekała już w nieznośnym napięciu, aż quarianie się odezwą.

– Przesyłam koordynaty i częstotliwości „Idenny” – odpowiedział patrol.

Lemm potwierdził otrzymanie wiadomości, a potem wyłączył wspólny kanał. Lecieli dalej w kierunku Floty, a pojedyncza ogromna czerwona plama na ekranie nawigacyjnym zmieniła się w niezliczoną ilość pikseli tak

stłoczonych, że Kahlee zastanawiała się, jak udaje im się uniknąć wpadania na siebie.

Ich quariański pilot pewną i doświadczoną ręką wprowadził ich w tę masę statków, przemieszczając się powoli do miejsca, gdzie dryfowała „Idenna”. Dwadzieścia minut później znowu włączył wspólny kanał i zaczął ich wywoływać.

– Lemm’Shal nar Tesleya prosi o pozwolenie zadokowania na „Idennie”.

– „Idenna” udziela pozwolenia. Kieruj się do doku numer trzy.

Trójpalce dłonie Lemma szybowały nad panelem kontrolnym, dostosowując kurs. Dwie minuty później poczuli lekkie szarpnięcie, gdy uchwyty dokujące zapięły się na ich statku, przytrzymując go w miejscu. Zaraz potem rozległ się brzdęk, gdy uniwersalna śluza przyczepiła się do śluzy ich statku.

– Proszę o zespół ochrony i kwarantanny – powiedział na kanale wspólnym Lemm. – Upewnijcie się, że mają na sobie kombinezony. Statek nie jest czysty.

– Prośba potwierdzona. Zespoły są w drodze.

Quarianin uprzedził ich o tym. Zespół do spraw kwarantanny był niezbędny w przypadku każdego nowego statku sprowadzanego do flotyli. Quarianie nie mogli ryzykować, że bakterie, wirusy czy inne zanieczyszczenia pochodzące od poprzednich niequariańskich właścicieli zostaną przypadkiem rozproszone po Flocie.

Podobnie było z zespołem ochrony – poproszenie go o sprawdzenie statku było powszechnym obyczajem pomiędzy quarianami. Pokazywało, że nie ma się nic do ukrycia. Zwykle zespół wkraczał na pokład, przedstawiano się sobie nawzajem i nie dochodziło do żadnego przeszukania.

Jednak tym razem sytuacja była wyjątkowo nietypowa. W ciągu trzystu lat, jakie quarianie spędzili na wygnaniu, żaden przedstawiciel obcej rasy nie postawił nogi na ich statku. Choć Lemm bardzo chciał zaprowadzić Kahlee przed oblicze kapitana „Idenny”, zwyczajnie nie leżało to w jego mocy. A niespodziewana obecność ludzi na statku, który przeszedł przez kontrolę patroli, mogła z dużym prawdopodobieństwem wywołać alarm i przerażenie.

Nie było żadnego protokołu regulującego tę niezwykle sytuację, ale Lemm wyjaśnił, że istnieją procedury, które można było zastosować, by zminimalizować ryzyko zarówno dla załogi „Idenny”, jak i dla ludzi na wahadłowcu.

– Powitajmy naszych gości – powiedział Lemm, stając krzywo na zranionej nodze. – Pamiętajcie, zachowajcie spokój, a wszystko będzie dobrze. Musimy im wszystko powoli wyjaśnić.

Cała czwórka przeszła do kabiny pasażerskiej i troje ludzi usiadło na fotelach. Lemm poszedł do śluzy, by wpuścić ochronę i specjalistów od kwarantanny.

Kahlee znowu zaczęła odczuwać stres związany z siedzeniem i czekaniem. Co, jeśli Lemm źle przewidział reakcję innych quarian na ich obecność? Co, jeśli ktoś zobaczył ludzi i spanikował? Pokładali wiele wiary w kims, kto w zasadzie nie był nawet dorosłym w oczach swoich ziomków.

Chyba po tym, co dla nas zrobił, zasługuje na odrobinę zaufania.

Kahlee nie mogła się kłócić z twardą logiką swojego umysłu, ale nie ukoilo to jej lęków. Słyszała głosy dochodzące ze śluzy, choć były zbyt daleko, by mogła zrozumieć, co mówią. Jeden z nich był podniesiony, w gniewie albo ze strachu. Ktoś – chyba Lemm, choć nie była pewna – próbował uspokoić tego zdenerwowanego. A potem rozległy się kroki zbliżające się od śluzy do wnętrza statku.

Kilka sekund później czworo zamaskowanych quarian, jedna kobieta i trzech mężczyzn, uzbrojonych w karabiny, weszło do kabiny. Stojąca na czele kobieta przyjrzała im się bardzo uważnie, zanim przez ramię powiedziała do stojącego z tyłu Lemma:

– Myślałam, że żartowałeś – powiedziała. – Naprawdę myślałam, że żartowałeś.

– To nie do uwierzenia – mruknął któryś z pozostałych.

– Coś ty sobie myślał? – chciała wiedzieć kobieta, najwyraźniej dowodząca grupą. – To mogą być szpiegzy!

– Nie są szpiegami – upierał się Lemm. – Nie poznajesz kobiety? Przyjrzyj się.

Troje ludzi siedziało w milczeniu, podczas gdy quarianka podeszła bliżej, by się lepiej przyjrzeć.

– Nie... to niemożliwe. Człowieku, jak cię zwa?

– Kahlee Sanders.

Pozostałym quarianom wyrwały się zaskoczone westchnienia, a Kahlee wydawało się, że słyszy, jak Lemm chichocze.

– Jestem Isli'Fayy vas Idenna – przedstawiła się quarianka, skłaniając głowę w czymś, co wyglądało na gest szacunku. – To zaszczyt cię poznać. To moi współzałoganci, Ugho'Qaar vas Idenna, Erdra'Zando vas Idenna i Seeto'Hodda nar Idenna.

Kahlee w odpowiedzi skinęła głową.

– To moi przyjaciele, Hendel Mitra i Gillian Grayson. To zaszczyt dla nas, że się tu znaleźliśmy.

– Przywiozłem tu Kahlee, by porozmawiała z kapitanem – wtrącił się Lemm. – To spotkanie jest moim darem dla „Idenny”.

Isli zerknęła na Lemma, potem odwróciła się do Kahlee.

– Wybacz mi, Kahlee Sanders, ale nie mogę wpuścić cię na pokład „Idenny”. Tę decyzję musi podjąć kapitan, a wcześniej będzie chciał się skonsultować z radą obywatelską statku.

– Co to oznacza? – Hendel uznał, że atmosfera pozwalała, by i inni wzięli udział w rozmowie. – Musimy odlecieć?

– Nie możemy wam też pozwolić na odlot – powiedziała po chwili namysłu Isli. – Nie bez zgody kapitana. Wasz prom musi zostać w doku, a wy musicie pozostać na jego pokładzie, póki kapitan nie podejmie decyzji.

– Ile to potrwa? – zapytała Kahlee.

– Sądzę, że kilka dni – odparła Isli.

– Będziemy potrzebowali kilku rzeczy – powiedział Hendel. – Przede wszystkim jedzenia. Ludzkiego.

– I pasujących kombinezonów, gdy kapitan postanowi wpuścić ich na statek – dodał optymistycznie Lemm.

– Zrobimy, co w naszej mocy, by zaspokoić wasze potrzeby – powiedziała Isli. – Nie mamy na „Idennie” zapasów niequariańskiego pożywienia, ale skontaktujemy się z innymi statkami, by sprawdzić, co mają. – Odwróciła się do Lemma. – Będziesz musiał pójść ze mną. Kapitan będzie chciał porozmawiać z tobą osobiście. – Potem zwróciła się do ludzi: – Pamiętajcie, nie wolno wam opuszczać tej jednostki. Ugho lub Seeto będą przez cały czas trzymali straż pod waszą służą. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, pomogą wam.

Po tych słowach quarianie, włączając w to Lemma, wyszli. Minutę później trójka ludzi usłyszała głośny brzdęk, gdy drzwi od zewnętrznej służu „Idenny” zatrzasnęły się, zamykając ich na pokładzie wahadłowca.

– Pfff – prychnął Hendel. – Tak się nie traktuje celebrytki.

.19.

Mimo wszystkiego, co zrobił dla Cerberusa, mimo setek misji i niemal szesnastu lat służby Grayson na palcach jednej ręki mógł policzyć swoje spotkania twarzą w twarz z Człowiekiem Iluzją.

Na ekranie widu Człowiek emanował charyzmą i wzbudzał podziw, w kontaktach bezpośrednich jeszcze mocniej odczuwało się te cechy. Była w nim powaga, roztaczał wokół siebie aurę autorytetu. Dzięki chłodnej pewności siebie sprawiał wrażenie, jakby kontrolował wszystko, co go otacza. W jego stalowych oczach widać było inteligencję, która w połączeniu z siwymi włosami i onieśmielającą postawą sprawiała, że wyglądał na kogoś, kto posiadał mądrość niedostępną przeciętnym ludziom.

Te wrażenia potęgował jeszcze wystrój biura, w którym Człowiek Iluzja odbywał spotkania. Pokój był wyłożony ciemnym drewnem, co sprawiało, że miejsce nabierało powagi, stawało się wręcz ponure. Światło było delikatne i przyciemnione, kąty spowijał mrok. Sześć czarnych krzeseł otaczało stół z mlecznego szkła stojący na krańcu pokoju na wypadek spotkań w większym gronie.

To spotkanie jednak było prywatne. Grayson siedział w jednym z dwóch ogromnych skórzanych foteli stojących na środku pomieszczenia, dokładnie naprzeciwko Człowieka. Wchodząc do pokoju, zauważył, że tuż za drzwiami czeka dwóch strażników, ale wewnątrz byli tylko we dwóch.

– Nie znaleźliśmy jeszcze żadnych dowodów potwierdzających twoją historię – powiedział Człowiek Iluzja, pochylając się do przodu. Łokcie opierał na kolanach, splótł palce dłoni.

Jego twarz wyrażała współczucie, a głos był pełen zrozumienia, jednak kryło się w tym coś więcej. Grayson po raz kolejny uznał, że Człowiek

potrafi jednocześnie emanować empatią i onieśmielać. Sprawiał, że aż *chciało się* mu zwierzyć. Jednak jeśli ktoś zdecydowałby się kłamać, to w spojrzeniu jego oczu kryło się coś jeszcze... ostrzeżenie przed konsekwencjami.

Na szczęście dla Graysona, prawda była po jego stronie.

– Obstawiam przy tym, co napisałem w raporcie. Wedle rozkazów wyciągnąłem Gillian z Projektu Podniesienie. Podczas misji musiałem zmienić plany ze względu na Kahlee Sanders i Hendla Mitrę, którzy upierali się, by lecieć z Gillian. Ustaliłem z Pelem, że on się nimi zajmie, ale kiedy przyleciałem na Omegę, uwięził nas, by sprzedać Zbieraczom.

Człowiek Iluzja skinął głową, jakby zgadzał się z każdym słowem.

– Tak, oczywiście. Ale wciąż nie jest dla mnie jasne, co stało się później.

To pytanie brzmiało niewinnie, ale Grayson od razu poznał, że to pułapka. W ciągu dwóch dni, jakie minęły od odebrania jego wiadomości, Cerberus wysłał specjalny zespół, by przewiózł go z Omegi na Ziemię na spotkanie z przywódcą. Biorąc pod uwagę, że Pel i jego ludzie nie żyli – i niektórzy padli z jego ręki – nie mógł odrzucić tego zaproszenia.

Zaraz po wylądowaniu wsadzili go do samochodu i zabrali wprost do biurowca, który pełnił rolę głównej siedziby Cord-Hislop Aerospace, legalnej firmy będącej przykrywką Cerberusa. Niemal cały budynek pełen był ludzi zajmujących się produkcją i sprzedażą statków i wahadłowców. Żaden z nich nie miał pojęcia, że tak naprawdę pracują dla anonimowego osobnika zajmującego zabezpieczony penthouse na szczycie budynku, nad prywatnymi apartamentami bardziej znanych kierowników.

Podczas niekończącej się podróży windą na szczyt biurowca Grayson marzył o działce piasku. Ale ćpanie przed tak ważnym spotkaniem byłoby totalną głupotą – i narażeniem się na ogromne niebezpieczeństwo. Miał

jedną szansę, by przekonać Człowieka Iluzję, że Pel był zdrajcą. Jeśli mu się nie udało, nie opuści budynku żywy i nigdy już nie zobaczy Gillian.

– Powiedziałem wszystko, co wiem o śmierci Pela. Jakaś nieznana osoba lub osoby, prawdopodobnie quarianie, włamały się do magazynu. Zakładam, że pomogli pozostałym uciec. Większość zespołu Pela zginęła podczas ich ucieczki. Podczas walki wyostałem się celi. Zabiłem Pela i pozostałą przy życiu członkinię zespołu. Potem skontaktowałem się z tobą.

Człowiek Iluzja ponownie skinął głową i powoli wstał. Miał trochę ponad sześć stóp wzrostu i górował nad siedzącym Graysonem.

– Paul – powiedział miękko, spoglądając na niego z góry – czy jesteś uzależniony od czerwonego piasku?

Nie kłam. Nie pytałby, gdyby już o tym nie wiedział.

– Nie byłem naćpany podczas misji. Nie miałem halucynacji, kiedy strzelałem do Pela, i nie zabiłem jego i jego zespołu, by zatuszować błąd popełniony, kiedy byłem na haju. Zrobiłem, co było konieczne.

Człowiek Iluzja odwrócił się do niego plecami i zrobił kilka kroków, rozważając jego słowa. Nie patrząc na Graysona, zapytał:

– Zależy ci na Gillian?

– Tak – przyznał. – Zależy mi na niej tak, jak ojcu zależy na dziecku. Kazałeś mi ją wychować, jakby była moja, i tak zrobiłem. Tylko tak mogłem sprawić, by mi zaufała. – *Na to pytanie też znalazłeś odpowiedź.*

Człowiek Iluzja ponownie odwrócił się twarzą do niego, ale nie usiadł.

– Masz jakieś wątpliwości co do tego, co robimy w Cerberusie, Paul? Czy czułeś jakiś konflikt w związku z tym, co działo się z Gillian?

Grayson milczał przez kilka chwil, próbując ostrożnie dobrać słowa. Nie udało mu się sformułować wymijającej odpowiedzi, więc udzielił jej tak szczerze, jak mógł.

– Boli mnie, gdy tylko o tym pomyślę. Ale rozumiem, dlaczego tak musi być – dodał z przekonaniem.

– Wiem, że to służy większemu dobru. Wierzę w naszą sprawę.

Człowiek Iluzja zaskoczony uniósł jedną brew, przechylając głowę na bok, gdy patrzył na siedzącego przed nim – i poniżej niego.

– Twój były partner nigdy nie odpowiedziałby mi tak szczerze jak ty – Grayson nie był pewien, czy to była obraza, czy komplement.

– Nie jestem taki jak Pel. On zawarł umowę ze Zbieraczami. Zdradził ludzkość. Zdradził Cerberusa.

Zdradził ciebie.

Gdy Człowiek Iluzja usiadł, Graysonowi odrobinę ulżyło.

– Nie mamy żadnych raportów precyzujących położenie twojego wahadłowca, odkąd opuścił Omegę. Ani jednego kontaktu wzrokowego na żadnej stacji czy kolonii w przestrzeni Rady ani Układach Terminusa.

– Chyba wiem dlaczego – oznajmił Grayson. Wypuścił z płuc powietrze, które nieświadomie wstrzymywał, wyciągając swojego asa z rękawa. – Sądzę, że ukrywają się w quariańskiej flotyli.

Człowiek Iluzja znowu uniósł brew.

– Ciekawi mnie, na jakiej podstawie wyciągasz dość nieprawdopodobne wnioski.

Nie miał na to dobrej odpowiedzi. Jego teoria opierała się na kilku poszlakach: strzelbie, którą znalazł w magazynie, więźniu w piwnicy i niewzruszonej pewności, że po prostu *wiedział*, gdzie jest Gillian.

– Instynkt – odpowiedział w końcu. – Czuję to. Quarianie zabrali moją córkę.

– Jeśli tak się stało – odpowiedział jego zwierzchnik – to jest poza naszym zasięgiem.

Grayson pokręcił głową, w milczeniu odrzucając to stwierdzenie.

– Znalazłem w magazynie raporty z misji Pela. Wiem, że zbierała informacje potrzebne, by zinfiltrować Wędrowną Flotę, i myślę, że to właśnie ściągnęło quarian do magazynu. Ale zostawili jednego ze swoich: więźnia, którego Pel torturował, aż tamten postradał zmysły. Przed śmiercią podał mi częstotliwość i coś, co jak sądzę, jest jakimś rodzajem hasła dostępu. Raport Pela wspomina o quariańskim statku zdobywczym, który przejął, „Cyniadzie”. Myślę, że moglibyśmy zebrać zespół i użyć częstotliwości i kodu, by dostać się na flotyllę i odbić Gillian.

Człowiek Iluzja nie próbował zaprzeczyć informacjom o misji Pela. Rozważył plan Graysona, szacując potencjalne zyski i straty.

– Mogłoby się udać... zakładając, że masz rację i to quarianie zabrali Gillian.

Znowu wstał, ale tym razem był to znak zakończenia ich spotkania, jakby już dowiedział się od Graysona tego, czego chciał.

– Każę naszym agentom w Układach Terminusa sprawdzić, czy zdołają zdobyć coś na poparcie twojej teorii. Jeśli tak, wyślemy po nią zespół. Mamy na Omedze quariański kontakt, który mógłby nam pomóc – dodał. – Podam mu kody, by sprawdzić, czy może potwierdzić ich autentyczność.

Grayson osiągnął połowę tego, czego chciał: Cerberus wysłał siły, by sprowadzić Gillian z powrotem. Ale tym razem to mu nie wystarczyło. Nie miał zamiaru dłużej pozwalać, by inni kontrolowali życie jego córki, podczas gdy on siedział beczynnienie.

– Chcę być częścią zespołu.

Człowiek Iluzja pokręcił głową.

– Ta misja będzie wymagała precyzji i płynności. Najmniejszy błąd mógłby narazić cały zespół. Martwię się, że twoje uczucia wobec Gillian mogą wpłynąć na twoją ocenę sytuacji.

– Muszę być tego częścią – upierał się Grayson. – Muszę odzyskać córkę.

– Daję ci słowo, że nie stanie się jej krzywda – zapewnił go Człowiek Iluzja niskim, kojącym głosem. – Zrobimy, co w naszej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Wiesz, jaka jest dla nas ważna.

Na to liczę.

Gillian stanowiła niemal dekadę badań Cerberusa. Dziesiątki tysięcy godzin i biliony kredytów zostały zainwestowane w tę małą dziewczynkę w nadziei, że pewnego dnia stanie się kluczem otwierającym nowe możliwości ludzkiej biotyki. Człowiek Iluzja chciał odzyskać Gillian tak samo mocno jak Grayson, choć z innych powodów. A to dawało jej ojcu coś, czego ludzie zwykle nie mieli w kontaktach z Człowiekiem Iluzją: przewagę.

– Nie masz wyboru – ostrzegł go Grayson, wygłaszając swoje ultimatum pewnym, spokojnym tonem.

– Nie podam ci kodów. Nie póki nie znajdę się na statku lecącym do serca Wędrownej Floty. Jeśli chcesz odzyskać Gillian, to jestem twoją jedyną szansą.

To było niebezpieczne zagranie. Mogli torturami wydobyć z niego informacje, a używane przez nich sposoby sprawiały, że to, co Pel zrobił quariańskiemu więźniowi, wydawało się litością. Ale Grayson wciąż był przydatny, zwłaszcza jeśli chodziło o Gillian, Cerberus wiedział, jaki był stan jego córki, wiedzieli, że potrafiła nie reagować na obcych. Jej ojciec wart był zachowania w jednym kawałku... a przynajmniej taką miał nadzieję.

– Jesteś jej bardzo oddany – powiedział Człowiek Iluzja z uśmiechem, który nie do końca ukrywał furię. – Mam nadzieję, że w przyszłości nie stanie się to problemem.

– Zatem mogę lecieć?

Człowiek Iluzja skinął głową.

– Ustalę termin spotkania z Golo, naszym quariańskim kontaktem na Omedze.

Zrobił dłonią gest i Grayson wstał, z trudem ukrywając swoją radość. Było bardzo prawdopodobne, że jego bunt ściągnie na niego w przyszłości problemy – Człowiek Iluzja miał bardzo, ale to bardzo dobrą pamięć. Ale teraz Graysona to nie obchodziło. Gotów był zapłacić każdą cenę za odzyskanie córki.

.20.

– Gillian, pamiętaj, co ci mówiłem – powiedział Hendel. – Stwórz w swoim umyśle obraz, a potem zaciśnij pięść i skup się.

Gillian wykonywała jego polecenie, krzywiąc twarz, gdy skupiała całą swoją uwagę na poduszce leżącej w stopach łóżka, na którym siedzieli ze skrzyżowanymi nogami. Kahlee przyglądała im się z drugiej strony sypialni, opierając się o framugę.

Mimo że nie była biotykiem, знаła techniki, których nauczał Hendel. Projekt Podniesienie korzystał z prostego biomechanicznego wsparcia, takiego jak zaciskanie pięści albo wyciąganie ręki w górę, by uwolnić moc biotyczną. Kojarzenie podstawowych ruchów mięśni z koniecznymi skomplikowanymi wzorami myślowymi tworzyło mechanizm uruchamiający specyficzne przejawy mocy. Dzięki praktyce i treningom odpowiedni ruch stawał się katalizatorem procesu umysłowego, zwiększającym siłę i szybkość wystąpienia efektu biotycznego.

– Gillian, potrafisz – ponaglił ją Hendel. – Tak jak ćwiczyliśmy.

Dziewczynka zaczęła zgrzytać zębami, pięści zaciskała tak mocno, że aż zaczęły się trząść.

– Dobra dziewczynka – zachęcał ją Hendel. – A teraz wyrzuć rękę do przodu i wyobraź sobie, że poduszka leci przez cały pokój.

Kahlee wydawało się, że zauważyła lekkie drganie powietrza, jakby pod wpływem gorąca. I wtedy poduszka uniosła się z łóżka i poleciała w stronę Kahlee, trafiając ją prosto w twarz. Nie bolało, ale zaskoczyło ją.

Gillian zaśmiała się – z nerwów i podekscytowania. Nawet Hendel uśmiechnął się lekko. Kahlee spojrzała na nich spode łba z udawaną złością.

– Twój refleks stał się trochę wolniejszy – skomentował Hendel.

– Chyba lepiej będzie, jeśli zostawię was samych, zanim dostanę lampą w zęby – rzuciła, wychodząc z pokoju i idąc do siedzeń w kabinie pasażerskiej.

Minęły trzy dni, odkąd zadokowali na „Idennie”, i wciąż czekali, aż kapitan da im pozwolenie na wejście na pokład. Przez cały czas dbano o nich jak najlepiej, ale Kahlee zaczynała odczuwać klaustrofobię.

Gillian i Hendel walczyli z nudą, ćwicząc i rozwijając jej talent biotyczny. W ciągu krótkiego czasu dokonała zadziwiających postępów. Może z powodu indywidualnych lekcji z Hendlem, może z powodu jej wybuchu w stołówce Akademii, który przełamał jakąś wewnętrzną barierę umysłową – Kahlee nie umiała tego określić. Choć cieszyła się, że Gillian robi postępy, niewiele mogła jej pomóc.

Było jasne, że dziewczynka zaskakująco dobrze radzi sobie z sytuacją. Zawsze miała lepsze i gorsze dni, niekiedy jej stan się pogłębiał, niekiedy polepszał. W ciągu kilku ostatnich dni wciąż zdarzały się chwile, gdy Gillian zdawała się nieprzytomna lub oderwana od tego, co się wokół niej działo, ale ogólnie wydawała się bardziej zorientowana i zaangażowana w wydarzenia. Kahlee nie potrafiła jednoznacznie zidentyfikować przyczyny. Może działo się tak dlatego, że skupiano na niej więcej uwagi niż w Akademii. Mogło na to wpływać przebywanie w zamkniętej przestrzeni wahadłowca, którego każdy centymetr dobrze знаła. Zapewne czuła się na pokładzie bezpieczna i chroniona, podczas gdy na korytarzach Akademii była odsłonięta i krucha. Decydującym czynnikiem mogło też być to, że musiała wchodzić w interakcje z mniejszą ilością ludzi – poza Hendlem i Kahlee jedynym gościem na pokładzie był Lemm.

Wpadał raz, dwa dziennie by opowiedzieć im, co dzieje się na „Idennie”, i podzielić się ważniejszymi wiadomościami nadchodzącymi z innych

statków. Pomędzy niemal pięćdziesięcioma tysiącami statków – w tym fregat, wahadłowców i małych statków osobistych – przepływały nieustannie strumienie informacji.

Na szczęście, jako że quarianie nieustająco szukali zasobów dla swojego społeczeństwa, codziennie przylatywały i odlatywały na pobliskie światy dziesiątki statków. Zgodnie z obietnicą „Idenna” zapytała inne jednostki o zapasy pożywienia nadającego się dla ludzi, a także o pasujące na ludzi kombinezony ochronne. Dzień po ich przybyciu zaczęły spływać zapasy i ładownia promu była już przepełniona.

Nie było zaskoczeniem, że ta prośba wywołała podejrzenia i plotki wśród pozostałych statków. Według Lemma to był jeden z powodów, dla których podjęcie decyzji trwało tak długo. Kapitan każdego ze statków miał na nim absolutną władzę, pod warunkiem, że jej nie nadużywał i nie zagrażał reszcie flotylli. Wyglądało na to, że przyjmowanie statku z ludźmi wykraczało poza granice tego, co było dozwolone.

Po dziwnej prośbie „Idenny” o zapasy odpowiednie dla ludzi Konklawe i Admiralicja – cywilne i wojskowe władze quariańskie – dołączyły do dyskusji o tym, jak należy postąpić. Lemm wyjaśnił Kahlee, że ostateczną decyzję podejmie kapitan „Idenny”, ale dopiero kiedy wszyscy inni wygłoszą swoje opinie i zalecenia.

By jakoś zabić czas pomiędzy wizytami Lemma, Kahlee rozmawiała z quarianami pełniącymi straż przy służbie. Ugho, starszy, był uprzejmy, ale chłodny. Odpowiadał na pytania krótko i w urywany sposób i Kahlee szybko zrezygnowała z prób konwersowania z nim.

Seeto był jego całkowitym przeciwieństwem. Kahlee przypuszczała, że jest w wieku Lemma, chociaż ze względu na maskę i kombinezon jedyną wskazówką co do tego pozostawało „nar” w nazwisku. Z jakiegoś powodu Seeto wydawał się bardziej naiwny i młodszy niż ich wybawca. Lemm

spędził kilka miesięcy z dala od floty, na Pielgrzymce, i z pewnością tu należało szukać przyczyny, ale Seeto miał też w sobie dziecięcą wylewność, która musiała wypływać z jego otwartej osobowości.

Szybko przekonała się, że był gadatliwy. Wystarczyły jedno czy dwa pytania, by wywołać potok, a nawet rwącą rzekę. Kahlee to nie przeszkadzało. Pomagało jej to zabić czas i przy okazji dowiadywała się wiele o quarianach, a zwłaszcza o „Idennie”.

„Idenna”, licząca sobie zaledwie trzydzieści lat, wyjaśnił, była wciąż uważana za nowy statek. Było to zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że niektóre statki Floty zostały zbudowane trzy wieki wcześniej, przed porażką quarian i ich ucieczką przed gethami. W ciągu tego czasu były ulepszone, naprawiane i przerabiane, aż w końcu nie przypominały już w ogóle swojej pierwotnej formy, ale wciąż postrzegano je jako mniej godne zaufania niż nowe statki.

Seeto powiedział jej też, że „Idenna” była średnich rozmiarów krążownikiem, wystarczająco dużym, by mieć swoje miejsce w Konklawe, cywilnej radzie, która doradzała Admiralicji w kształtowaniu polityki Floty i podejmowała decyzję w konkretnych przypadkach. Kahlee dowiedziała się, że „Idenna” była doipem dla sześciuset dziewięćdziesięciu trzech mężczyzn, kobiet i dzieci – sześciuset dziewięćdziesięciu czterech, jeśli dar Lemma zostanie zaakceptowany przez kapitana i ich wybawca dołączy do załogi. Kahlee była zaskoczona tą liczbą. Średniej wielkości statek Przymierza miałby załogę siedemdziesięciu do osiemdziesięciu osób. Wyobrażała sobie, jak mieszkańcy „Idenny” egzystują w stłoczeniu i żałosnych warunkach.

Im więcej rozmawiała z Seeto, tym bardziej otwarty się stawał. Opowiedział jej o Ysinie’Malu was Idennie, kapitanie statku. Kapitanowie statku zwykle byli osobami oddanymi tradycji. Jednak Mal był

powszechnie uważany za agresywnego propagatora zmian i postępu. A nawet, jak powiedział szeptem Seeto, zaproponował, by flotylla zaczęła wysyłać statki na długie misje odkrywcze do nieznanymi regionów wszechświata w nadziei, że znajdą niezamieszkałe, nadające się do życia światy, które quarianie mogliby zasiedlić.

Takie poglądy sprawiały, że był skonfliktowany z innymi kapitanami i z Konklawe, którzy wierzyli, że quarianie powinni pozostać zjednoczeni w Wędrowniej Flocie. Jednak po sposobie, w jaki o tym mówił, Kahlee zorientowała się, że Seeto wspiera stanowisko kapitana, a nie powszechne przekonanie pozostałych.

Przechodząc przez kabinę pasażerską do służby, miała nadzieję, że zastanie przy niej interesującego Seeto, a nie stoika Ugho. Wciąż nie mogąc opuścić statku, miała już użyć interkomu, by skontaktować się ze strażnikiem i poprosić go, by wszedł na pokład, kiedy drzwi nagle się otworzyły.

Zaskoczona odsunęła się, gdy do środka weszła grupa kilku quarian. Kahlee poczuła niepokój, gdy wkroczyli na pokład, ale kiedy uświadomiła sobie, że żaden z nich nie ma wyciągniętej broni, odprężyła się.

Rozpoznała Seeto i Ugho. Wydawało jej się, że na czele stała Isli, przywódczyni patrolu, który pierwszy ich powitał. Pozostałych czterech nie znała.

– Kapitan zgodził się na spotkanie z wami – powiedziała Isli na powitanie, jednocześnie potwierdzając swoją tożsamość.

Nareszcie, pomyślała Kahlee. Na głos zapytała:

– Kiedy?

– Teraz – odparła Isli. – Pójdziemy na mostek. Oczywiście w stroju ochronnym.

– Dobrze. Tylko powiem Hendlowi i Gillian, gdzie idę.

– Oni też muszą iść – uparła się Isli. – Kapitan chce się spotkać z wami wszystkimi. Lemm już tam czeka.

Kahlee nie podobał się pomysł zmuszenia Gillian do opuszczenia wahadłowca i prowadzenia jej przez zatłoczone pokłady „Idenny”, ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogła odmówić.

Kiedy powiedziała o tym Hendlowi, podzielał jej obawy, ale Gillian nie wyglądała na zaniepokojoną tym pomysłem. Pięć minut później, gdy tylko włożyli kombinezony, ruszyli. Isli, Ugho i Seeto stanowili ich eskortę, a pozostała czwórka quarian została z tyłu.

– Muszą wysterylizować wasz statek – powiedziała Isli. – Lepiej, żeby nie było was na pokładzie podczas ich pracy.

Kahlee zastanawiała się, czy naprawdę zamierzali oczyścić wahadłowiec, czy korzystali z okazji, by przeszukać cały statek, nie obrażając przy tym jego pasażerów. Nie robiło to żadnej różnicy – ludzie nie mieli nic do ukrycia.

Isli poprowadziła ich, a Ugho szedł obok niej. Seeto zwolnił i szedł razem z ludźmi, by wyjaśniać i komentować to, co widzieli podczas drogi.

– To pokład handlowy „Idenny” – powiedział, gdy wychodzili z doków na to, co na statku Przymierza byłoby ładownią.

Pomieszczenie było pełne kręcących się quarian, wszystkich ubranych w kombinezony. Każdy miał ze sobą torbę albo plecak. Pod ścianami stały szafki. Większość była otwarta, a w środku pełna przeróżnych przedmiotów, od odzieży po przyrządy do gotowania. Podobne towary zalegały w wielkich, otwartych stalowych skrzyniach i metalowych kontenerach rozstawionych na podłodze tak, że wypełniały całe pomieszczenie poza wąskimi alejkami.

Quarianie przechodzili od kontenera do kontenera i od szafki do szafki. Przeglądali zawartość, co rusz podnosząc jakiś przedmiot i oglądając go,

nim albo go zatrzymali, albo odłożyli i kontynuowali poszukiwania.

– Każdy, kto ma jakieś niepotrzebne rzeczy, przynosi je tutaj – powiedział Seeto. – A inni mogą przyjść i zabrać to, co im potrzebne.

– Czyli pozwalacie każdemu zabierać, co zechce, od kogoś innego? – zapytał zaskoczony Hendel.

– Nie jeśli ktoś inny z tego korzysta – powiedział Seeto, dając jasno do zrozumienia, że dla niego to oczywiste.

– Ale jeśli z czegoś nie korzystasz, to po prostu przynosisz to tu i oddajesz innym za darmo?

– A co innego można z tym zrobić? – zapytał młody quarianin. Najwyraźniej concept handlu nadwyżką towaru był mu obcy.

– A co, jeśli ktoś gromadzi dobra? – zapytał Hendel. – Wiesz, zatrzymuje wszystko dla siebie?

Seeto roześmiał się.

– Po co? Przestrzeń życiowa stałaby się tak pełna, że trzeba by spać na stojąco tylko po to, żeby mieć rzeczy, z których się nie korzysta. – Pokręcił głową i zachichotał nad głupotą Hendla.

Kiedy przechodzili przez pokład handlowy, Kahlee spojrzała na Gillian. Ciężko było odczytać jej stan emocjonalny, ponieważ jej twarz skrywała maska, ale wyglądało na to, że wszystko z nią w porządku.

Zadowolona Kahlee skupiła się znowu na quarianach. Na pierwszy rzut oka przypominali tłum na każdym z targowisk kosmosu. Jednak kiedy przyjrzało się bliżej, okazywało się, że tu jest zupełnie, zupełnie inaczej. Brakowało tu agresywnej, buzującej energii charakteryzującej zwykłe targowisko. Mimo że tłum był gęsty – Kahlee szacowała, że liczył czterdzieści, pięćdziesiąt osób – nikt się nie przepychał, nie przeciskał czy kłócił. Często dwie czy trzy osoby przystawały i rozmawiały, lecz zawsze z boku, by nie blokować alejek.

Po chwili uświadomiła sobie, że brakuje jeszcze czegoś: hałasu. Nie było handlarzy zachwalających donośnie swoje towary ani krzyków klientów i kupców kłócących się o ceny. Tylko delikatne odgłosy przeszukiwania szafek i pojemników i ciche, radosne rozmowy sąsiadów i przyjaciół.

Byli już blisko ogromnej windy towarowej, którą mieli pojechać na wyższy pokład, gdy Kahlee zauważyła coś jeszcze. Mały stół wykonany z trudnego do zidentyfikowania obcego gatunku drewna stał przed drzwiami prowadzącymi do magazynu przy ładowni. Za nim przed komputerem siedziała quarianka, a przed nią ustawiała się kolejka pięciu czy sześciu osób. Za jej plecami stało dwóch quariańskich mężczyzn.

Pierwszy w kolejce powiedział coś kobiecie, która wprowadziła coś do komputera. Mężczyzna z kolejki dał jej puste pudełko, które ona podała mężczyźnie stojącemu z tyłu. Ten znikł za drzwiami i kilka sekund później wyszedł i podał pudełko, już pełne, właścicielowi.

– Co tam się dzieje? – zapytała Kahlee.

– Podstawowe artykuły, takie jak jedzenie czy leki, są przechowywane osobno – wyjaśnił Seeto. – Musimy kontrolować zasoby, żeby zawsze mieć dość pożywienia dla wszystkich w kolonii.

– Co się stanie, jeśli zapasy stopnieją? – zapytał Hendel.

– Jeśli będziemy nimi starannie zarządzać, nie dojdzie do tego – odpowiedział Seeto. – Co tydzień przylatują dostawy podstawowych produktów z agrostatków. A rzeczy specyficzne czy luksusowe przywożą statki zwiadowcze, które wysyłamy, by badały systemy, które mijamy, albo handlowe jednostki Floty.

Wsiedli do windy i zaczęli podróż w górę, ponad pokład handlowy. Kiedy dotarli na następny poziom, drzwi rozsunęły się, a Kahlee aż rozdziawiła usta, gdy zobaczyła, co znajduje się na wyższym piętrze.

Znajdowali się tam, gdzie na krążowniku Przymierza znajdowałby się pokład załogi. Ale zamiast mesy, kajut, pokładowego szpitala i pokoju rekreacyjnego przed Kahlee rozpościerało się miejsce, w którym żyła większość quarian.

Większość ścian działowych zburzono, by zmaksymalizować wykorzystanie przestrzeni. Zastąpiły je skupiska sześcianów, połączonych w grupy po sześć: po trzy wzdłuż linii dziób – rufa, po dwie wzdłuż linii burta – burta. Każdy sześcian mierzył sobie może dwanaście stóp na krawędzi, trzy ściany miał zrobione ze stalowych płyt, które sięgały na trzy czwarte wysokości połączenia. Czwarta ściana, ta wychodząca na alejki, które przecinały przestrzeń między boksami, była otwarta, chociaż w większości sześcianów zasłonięta ciężkimi wielokolorowymi zasłonami zwisającymi z sufitu. Hałas, którego brakowało na targowisku, zdawał się przenieść do tego pomieszczenia, gwar głosów i rozmów dochodził z każdego sześcianu.

– Na tym pokładzie mieszkam – powiedział z dumą Seeto, gdy Isli prowadziła ich alejką ku centrum obszaru mieszkalnego. Tak jak na pokładzie handlowym alejki pełne były quarian, którzy poruszali się o wiele pewniej niż leniwie przeglądający towary nabywcy, ale grzecznie ustępowali innym z drogi.

Gdy mijali komórkę za komórką, Kahlee zastanawiała się, czy kolory i skomplikowane wzory wyszyte na zasłonach miały jakieś znaczenie, na przykład identyfikowały osobników z konkretnego klanu czy rodziny. Próbowwała znaleźć powtarzające się lub podobne motywy, które mogły wskazywać na jakieś znaczenie dzieła, ale nawet jeśli istniały, to nie była w stanie ich dojrzeć.

Wiele zasłon było tylko częściowo zaciągniętych i Kahlee nie mogła się oprzeć, by nie zerkać do mijanych kwater, dostrzegając tam ślady

codziennego życia quarian. Niektórzy gotowali na małych elektrycznych kuchenkach, inni sprząтали. Jeszcze inni grali w karty lub inne gry albo oglądali widy. Niektórzy zbierali się w małych grupkach, siedzieli na podłodze podczas wizyt u przyjaciół i rodziny. Kilka osób nawet spało. Wszyscy mieli na sobie kombinezony ochronne.

– Mają na sobie kombinezony ze względu na nas? – zastanawiał się Hendel.

Seeto pokręcił głową.

– Rzadko zdejmujemy kombinezony, tylko w naprawdę prywatnych miejscach lub podczas sytuacji intymnych.

– Ciężko pracujemy nad utrzymaniem naszych statków – dodała idąca przodem Isli – ale musimy być nieustannie przygotowani na zagrożenia związane z przerwaniem poszycia albo wyciekami z silnika.

Wyjaśnienie miało sens, ale Kahlee podejrzewała, że kryje się za tym coś więcej. Nieszczelności kadłuba zdarzały się niezmiernie rzadko, nawet na starszych, wyeksploatowanych jednostkach. A proste urządzenia monitorujące jakość powietrza razem z wykrywaczami elementu zero mogły ostrzec obecnych na pokładzie, kiedy powinni włożyć skafandry z powodu niebezpieczeństwa, na długo zanim komuś mogła stać się krzywda.

Wyglądało na to, że noszenie kombinezonów stało się głęboko zakorzenioną tradycją, zwyczajem zrodzonym z nieuniknionego braku prywatności na zatłoczonym statku. Maski i warstwy kombinezonów mogły służyć jako fizyczny, emocjonalny i psychologiczny bufor w społeczeństwie, gdzie odosobnienie było niemożliwe do osiągnięcia.

– A jak korzystacie z toalety? – zapytała Gillian ku zaskoczeniu Kahlee. Spodziewała się, że dziewczynka wycofa się, próbując uciec przed tłumem i natłokiem nieznanomych dźwięków i miejsc.

Może ona też odczuwa psychologiczną prywatność za maską i kombinezonem.

– Na niższych pokładach mamy łazienki i prysznice – wyjaśnił Seeto. – Pomieszczenia są zamknięte i sterylne. To jedno z niewielu miejsc, gdzie możemy spokojnie zdjąć kombinezony.

– A jeśli nie znajdujecie się na quariańskim statku? – dopytywała Gillian.

– Nasze kombinezony są tak skonstruowane, by mogły pomieścić kilkudniowe wydaliny w zamkniętych przedziałach pomiędzy warstwą zewnętrzną i wewnętrzną. Można je później opróżnić z zanieczyszczeń w każdym pomieszczeniu sanitarnym – takim jak toaleta na waszym statku – bez narażania się na kontakt z wirusami z zewnątrz. – Seeto nagle podbiegł do przodu i rozchylił zasłony jednej z komórek. – To moja kwatery – powiedział, zapraszając ich gestem, by spojrzeli.

Zajrzawszy do środka, Kahlee zobaczyła pełną różnych rzeczy, ale wysprzątaną komórkę. W kącie stała zwinięta mata do spania, obok osobisty wid. Kilka kawałków jaskrawo pomarańczowego materiału, w kolorze pasującym do wejściowej zasłony, wisiało na ścianach.

– Mieszkasz tu sam? – zapytała Kahlee, a Seeto po raz kolejny zaśmiał się z głupoty ludzkiej.

– Razem z ojcem i matką. Przez wiele lat mieszkała tu też moja siostra, póki nie wyruszyła na pielgrzymkę. Teraz jest w załodze „Rayyi”.

– Gdzie są teraz twoi rodzice? – Kahlee wydawało się, że słyszy w głosie Gillian tęsknotę.

– Mój ojciec pracuje na wyższych pokładach jako nawigator. Matka zwykle bierze udział w spotkaniach cywilnej rady, która doradza kapitanowi Malowi, ale w tym tygodniu zgłosiła się na ochotnika na agrostatek. Wróci za dwa dni.

– A co z tym pomarańczowym materiałem na ścianach? – zapytała Kahlee, nie chcąc ciągnąć tematu nieobecnych rodziców. – Czy on coś oznacza?

– Oznacza, że moja matka lubi pomarańczowy kolor – zachichotał Seeto, opuszczając zasłonę, podczas gdy ruszyli w dalszą drogę.

Szli pomiędzy sześcianami, póki nie doszli do kolejnej windy.

– Sama zaprowadzę ludzi dalej – powiedziała Isli do Seeto i Ugho. – Wy wracajcie do zwykłych obowiązków.

– Obawiam się, że tutaj się rozstaniemy. – Seeto skłonił im się dwornie. – Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Ugho skinął im głową, ale nie odezwał się.

Drzwi windy rozsunęły się i ludzie weszli za Isli do środka. Kahlee ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła kilka sześcianów więcej stojących wzdłuż jednej ze ścian korytarza. Wyglądało na to, że przestrzeń tutaj była tak cenna, że nawet kilka stóp od mostka wykorzystywano każde dostępne miejsce.

– To kwatery kapitana – wyjaśniła Isli, gdy mijali komórki. Teraz gdy Seeto już z nimi nie było, ona przejęła funkcję przewodnika. Niebieskie i zielone zasłony były całkowicie zaciągnięte, nie pozwalając zajrzeć do środka. Jednak biorąc pod uwagę rozmiar korytarza i dwie stalowe płyty tworzące ściany, Kahlee oceniała, że kwatera kapitana miała taką samą wielkość jak inne.

Kiedy dotarli na mostek, Kahlee ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że to jedyne miejsce na statku, które nie było zatłoczone ponad miarę. Na małej przestrzeni znajdowało się mnóstwo osób – sternik, dwóch nawigatorów, operator urządzeń komunikacyjnych i inni członkowie załogi – ale tak samo było na każdym ze statków Przymierza. Kapitan siedział na fotelu na środku mostka, a Lemm, wciąż z ochronnym butem na zranionej

nodze, stał obok niego. Kiedy weszli, kapitan wstał i podszedł do nich, a Lemm pokuśtykał za nim.

– Kapitanie Ysin'Mal vas Idenna – Lemm dokonał prezentacji – proszę pozwolić, że przedstawię Kahlee Sanders i jej towarzyszy, Hendla Mitrę i Gillian Grayson.

– Witam ciebie i twoich przyjaciół na pokładzie „Idenny” – powiedział kapitan, podając każdemu z nich dłoń. Gillian znowu nie wzdrygała się przed kontaktem fizycznym, choć nie miała odwagi się odezwać.

To musi być wpływ skafandra, pomyślała Kahlee.

Według niej kapitan Mal wyglądał jak każdy inny quarianin płci męskiej, jakiego spotkała. Wiedziała, że to, jak go postrzega, to wynik odchylenia międzygatunkowego. Nawet biorąc pod uwagę, że wiele z różnic fizycznych było ukrytych pod kombinezonami, można było spokojnie stwierdzić, że wszyscy quarianie byli do siebie bardzo podobni. Mieli niemal identyczny wzrost i budowę ciała, o wiele mniej zróżnicowane niż w przypadku ludzi.

Poza Lemmem, którego łatwo było rozpoznać po bucie zabezpieczającym nogę, pozostałych rozróżniała po drobnych różnicach w odzieniu. Na przykład Seeto miał małe, ale widoczne odbarwienie na lewym ramieniu kombinezonu, jakby skafander został tam przetarty albo był bardzo znoszony. Jednak gdyby Hendel i Grayson obaj mieli na sobie kombinezony ochronne, łatwo by ich było odróżnić bez uciekania się do tajnych szczegółów: Hendel był pół stopy wyższy i siedemdziesiąt funtów cięższy niż ojciec Gillian. W quariańskiej populacji takie zróżnicowania się nie zdarzały.

To tak jak w przypadku innych ras, pomyślała Kahlee. Z jakiegoś powodu ludzie są bardziej zróżnicowani genetycznie niż reszta Galaktyki.

Nigdy dotąd tego świadomie nie zauważała, jednak na pokładzie „Idenny” ją to uderzyło.

Z nami też zaczyna się tak dziać, uświadomiła sobie, gdy Hendel ścisnął dłoń kapitana. Mieszanka nordyckich i hinduskich cech, taka jak u szefa ochrony, była teraz na Ziemi normą, a nieuniknionym skutkiem genetycznym była coraz bardziej homogeniczna pod względami fizycznymi populacja. W dwudziestym drugim wieku jasne włosy takie jak jej były rzadkością, a naturalnie niebieskie oczy zupełnie nie występowały. *Ale przy tych wszystkich farbach do włosów, tonerach skóry i koloryzujących soczewkach kogo to obchodzi?*

– Każdego z was witam ciepło w imieniu swoim i mojej załogi – powiedział kapitan, a jego słowa przywołały Kahlee do rzeczywistości. – To zaszczyt móc cię poznać.

– Cała przyjemność po naszej stronie, kapitanie Mal – odparła Kahlee. – Przyjęliśmy nas, gdy nie mieliśmy dokąd pójść.

– Sami jesteśmy wędrowcami – odpowiedział kapitan. – Odnaleźliśmy spokój i wspólnotę na pokładzie Wędrownej Floty, a teraz i wam je oferuję.

– Dziękujemy – odrzekła Kahlee.

Kapitan skinął jej głową, a potem położył rękę na ramieniu, pochylając się ku niej tak, by móc powiedzieć coś szeptem tak cichym, że ledwie go słyszała przez modulator głosu w hełmie:

– Niestety, bezpieczeństwo Wędrownej Floty jest ułudą.

Kahlee była zbyt zaskoczona tajemniczym ostrzeżeniem, by coś odpowiedzieć. Na szczęście kapitan nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Zdjął dłoń z jej ramienia i odsunął się, podejmując rozmowę już zwykłym tonem.

– Reprezentanci Konklawe i Admiralicji przybędą na „Idennę”, by z wami porozmawiać – powiedział.

– To wielki zaszczyt dla mnie i mojej załogi.

Ton, jakim to powiedział, kazał Kahlee przypuszczać, że ten zaszczyt jego zdaniem był raczej niedogodnością.

– Sir – odezwał się jeden z załogantów – „Lestiak” prosi o pozwolenie na dokowanie.

– Wyślijcie ich do piątego doku – odparł Mai. – Tam się z nimi spotkamy. Chodźmy – powiedział do Kahlee i jej towarzyszy. – Nie możemy kazać tak ważnym gościom czekać.

.21.

Po raz kolejny Kahlee i jej towarzysze szli przez statek za trzema quarianami. Tym razem jednak ich eskorta składała się z Isli, Lemma i ich kapitana.

Prowadzili ludzi przez niższe poziomy do doków. Jednak zamiast na wahadłowiec Graysona poszli do jednego z pozostałych zajętych doków, gdzie „Lestiak” i jego składająca się z VIP-ów załoga już na nich czekali.

Biorąc pod uwagę status osób obecnych na pokładzie, Kahlee była zaskoczona, że kapitan nie prosił o pozwolenie przed otwarciem śluzy i wejściem na pokład wahadłowca.

– Chyba na swoim statku kapitan może chodzić wszędzie, gdzie chce – szepnęła do Kahlee Hendel, również zauważając dziwne zachowanie.

Na pokładzie wahadłowca zaprowadzono ich do dużej sali konferencyjnej, która wyglądała na przygotowaną do czegoś w rodzaju oficjalnego przesłuchania. *Albo do posiedzenia sądu wojennego*, pomyślała Kahlee. Stał tam długi, półkolisty stół z sześcioma krzesłami. Pięć z nich było zajętych przez quarian, jedno, na końcu stołu, puste. Za plecami dygnitarzy stało kilku uzbrojonych strażników.

Mal poprowadził ich na środek pokoju, gdzie stali, podczas gdy on dokonywał prezentacji. Kahlee nie próbowała zapamiętać wszystkich wymienianych imion. Jednak zwróciła uwagę na to, że troje z obecnych quarian było przedstawicielami cywilnego Konklawe, a pozostali dwaj członkami wojskowej Admiralicji.

Nie umknęło jej też, że gdy Mal przedstawiał Lemma, określił go jako Lemma’Shala vas Idennę. Wyglądało na to, że Pielgrzymka młodego quarianina dobiegła końca i został przyjęty do załogi Mala.

Kiedy prezentacje się skończyły, Mal zajął wolne miejsce przy stole. Isli stanęła za jego plecami, dołączając do pozostałych strażników. Lemm nie ruszył się, został z ludźmi stojącymi przed stołem.

– Kahlee Sanders – jeden z członków Admiralicji zaczął przesłuchanie – czy wiesz, dlaczego cię tu sprowadzono?

– Sądzicie, że mogę wiedzieć coś o Sarenie Arteriusie i o tym, w jaki sposób zapanował nad gethami – odparła.

– Czy mogłabyś opisać swoje związki z Sarenem? – zapytał inny quarianin, członek Konklawe.

– Nie było żadnych – stwierdziła Kahlee. – Zetknęłam się z nim przelotnie dwa czy trzy razy. O ile wiem, był tylko Widmem przydzielonym do zbadania działań mojego mentora, doktora Shu Qiana.

– A jakie to były działania?

– Qian odkrył pewien rodzaj artefaktu obcych – ostrożnie dobierała słowa. – Mógł być proteański. Może nawet wcześniejszy. Nie wiedzieliśmy. Qian sądził, że to był klucz do stworzenia nowego rodzaju sztucznej inteligencji. Ale pozostałym z nas nic nie mówił, byliśmy dla niego tylko maszynami wprowadzającymi do komputera dane, które zebrał z testów i eksperymentów. Qian był jedynym, który wiedział coś o artefakcie: gdzie był, czym był, co robił. Ale Qian zniknął i nigdy nie odnaleziono ani jego, ani jego akt.

– Czy to możliwe, że Saren je odnalazł? – zapytał jeden z członków Konklawe. – Czy to możliwe, że znalazł ten artefakt i użył go do zdobycia kontroli nad gethami?

– To możliwe – odpowiedziała z lekkim wahaniem Kahlee. Przyszło jej to już wcześniej na myśl, ale nie podobał jej się pomysł, że odgrywała jakąś rolę, choćby niewielką, w zniszczeniach spowodowanych przez gethy.

– Słyszałaś kiedyś o gatunku zwanym Zbieraczami? – zapytał jeden z quarian.

Kahlee pokręciła głową.

– Z Cytadeli dochodzą wieści, że statek Sarena, „Suveren”, był zaawansowaną SI. Był żywy. Jeden z wielu z rasy ogromnych, zabójczych statków zwanych Żniwiarzami.

– To tylko plotki – sprzeciwił się Hendel. – Nie ma żadnego dowodu na ich potwierdzenie.

– Ale to by wyjaśniało, dlaczego gethy podążają za Sarenem – skontrował quarianin. – Zaawansowana sztuczna inteligencja mogłaby pokonać podstawowy system inteligencji gethów.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić – odparła Kahlee. – Nie wiem nic o gethach poza tym, co widziałam na widach. I nie mam pojęcia, dlaczego słuchały Sarena.

– Ale jeśli „Suveren” był Żniwiarzem – naciskał jeden z członków Admiralicji – to może być więcej mu podobnych. Mogą dryfować w nieznanach regionach kosmosu, czekając, aż ktoś przypadkiem je odkryje i obudzi.

– Może. – Kahlee wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się oczywiste, że to coś, czego chcielibyśmy za wszelką cenę uniknąć – wtrącił się jeden z przedstawicieli Konklawe. – Jeden Żniwiarz prawie zniszczył Cytadelę. Kolejny mógłby dokończyć dzieła. Galaktyka już wini nas za gethy. Nie chcemy dawać im kolejnego powodu, by nas znienawidzili.

– A może, gdybyśmy znaleźli jednego z tych Żniwiarzy – odezwał się po raz pierwszy Mal – moglibyśmy go wykorzystać tak jak Saren, by przejąć kontrolę nad gethami! Moglibyśmy powrócić na nasze światy i odzyskać to, co należy do nas!

Na długą chwilę zapadła cisza, po czym jeden z przedstawicieli Admiralicji zapytał Kahlee:

– Czy kapitan Mal ma rację? Czy wierzysz, że byłoby możliwe odkrycie uśpionego Żniwiarza i wykorzystanie go, by zdobyć kontrolę nad gethami?

Kahlee oszołomiona pokręciła głową.

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Jest zbyt wiele nieznanymi zmiennymi.

– Proszę – naciskał quarianin, choć jego prośba bardziej przypominała rozkaz. – Spekuluj. Jesteś jednym z największych ekspertów od syntetycznej inteligencji w Galaktyce. Chcemy wiedzieć, co myślisz.

Kahlee wzięła głęboki oddech i przed udzieleniem odpowiedzi przemyślała wszystko dokładnie.

– Biorąc pod uwagę to, co wiem o badaniach doktora Qiana, jeśli statek Sarena był obcym artefaktem, który badaliśmy, mógł zostać użyty do kontrolowania gethów. I *jeśli* istnieje więcej statków takich jak „Suveren”, to można przyjąć logiczne założenie, że również mogłyby zostać użyte do kontroli albo wpływania na gethy... zakładając, że to właśnie zrobił Saren.

Ciężko było odczytać mowę ciała quarian siedzących przy stole, jako że ich twarze skrywały maski. Ale Kahlee wydawało się, że z postawy niektórych jest w stanie wyczytać gniew i frustrację. Za to Mal wydawał się bardziej wyprostowany niż wcześniej.

– Kahlee Sanders, czy możesz nam coś jeszcze powiedzieć? – zapytał jeden z członków Admiralicji. – Coś o Sarenie, gethach albo badaniach doktora Qiana?

– Nie mam nic do dodania – powiedziała przepaszająco Kahlee. – Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocna.

– Sądzę, że usłyszeliśmy już wszystko, czego potrzeba – powiedział Mal, wstając. – Dziękujemy, Kahlee.

Zorientowawszy się, że nic więcej się od swojego gościa nie dowiedzą, pozostali uczestnicy dostosowali się do jego decyzji i wstali ze swoich miejsc.

– Dziękujemy ci za twój czas – powiedział jeden z nich. – Kapitanie Mal, chcielibyśmy kontynuować tę dyskusję w gronie Konklawe. Mamy nadzieję, że dołączysz do nas.

Mal skinął głową.

– Chętnie z nimi porozmawiam.

– Powinniśmy odlecieć najszybciej jak to możliwe – stwierdził jeden z pozostałych quarian. – Może twój szef ochrony mógłby odprowadzić ludzi na ich wahadłowiec?

– Kahlee i jej towarzysze są gośćmi na „Idennie” – wytknął Mal. – Nie potrzebują eskorty. Mogą chodzić sami, gdzie chcą.

Zapadła niezręczna cisza, którą w końcu przerwał jeden z członków Admiralicji:

– Zrozumiano, kapitanie.

Powiedziawszy, co chciał, Mal odwrócił się do Kahlee i pozostałych.

– O ile nie będziecie przeszkadzać w działaniach prowadzonych na statku, macie prawo do wolnego poruszania się na nim. Jeśli będziecie potrzebowali przewodnika, Lemm z przyjemnością was oprowadzi.

– Dziękujemy, kapitanie. – Kahlee nie mogła się doczekać opuszczenia „Lestiaka” i zostawienia za sobą tej coraz bardziej napiętej sytuacji.

– Być może po moim powrocie z Konklawe porozmawiamy jeszcze – powiedział.

– Oczywiście – odparła. – Zawsze jest pan mile widziany na pokładzie naszego wahadłowca.

Nie wiedząc, czy istnieją jakieś zasady co do tego, kiedy powinni odejść, Kahlee po prostu stała w miejscu, póki Lemm delikatnie nie pociągnął jej

za łokieć.

– Chodźmy – szepnął.

Mal i Isli zostali z tyłu, podczas gdy Lemm ich prowadził. Kiedy wyszli z wahadłowca i znaleźli się na pokładzie „Idenny”, Hendel odwrócił się do Lemma.

– O co, do cholery, tam chodziło?

– O politykę – odpowiedź była krótka i nic nie wyjaśniała.

– Mógłbyś rozwinąć? – naciskała Kahlee.

– Jestem pewien, że kapitan wszystko wyjaśni, gdy wróci z Konklawe – zapewnił ją Lemm. – Proszę, poczekajcie cierpliwie jeszcze kilka dni.

– Innego wyboru nie mamy – burknął Hendel. – Ale cierpliwość mi się ostatnio kończy.

* * *

Grayson nie lubił Golo.

Człowiek Iluzja zaaranżował spotkanie Graysona z quarianinem na Omedze, gdzie mieli zaplanować napaść na Wędrowną Flotę. Spotkali się w małym wynajętym mieszkaniu w talońskiej dzielnicy, niecałe dwie przecznice od magazynu, w którym Grayson zabił Pela. Pokój był pusty, znajdowały się w nim tylko dwa krzesła, jeden stół i ich dwóch.

– Możesz od razu zrezygnować – powiedział na powitanie Golo. – Zinfiltrowanie quariańskiej floty jest niemożliwe.

– Mają moją córkę – odpowiedział Grayson, starając się, by jego słowa brzmiały spokojnie mimo guli, jaką miał w gardle. – Chcę ją odzyskać. Powiedziano mi, że możesz nam pomóc.

Golo mógł być sojusznikiem Cerberusa, ale był zdrajcą swojego ludu. Grayson nie mógł szanować kogoś, kto zdradził swoich dla zysku. To było wbrew wartościom, które wyznawał.

– Wędrowną Flota liczy sobie pięćdziesiąt tysięcy statków – przypomniał Golo. – Nawet jeśli ona jest z nimi, skąd będziesz wiedział na którym z nich?

– Pilot statku zwiadowczego, ten, którego torturował Pel, powiedział, że nazywa się Hilo’Jaa vas Idenna. Sądzę, że „Cyniad” był statkiem zwiadowczym „Idenny”. Ktokolwiek przybył tu, szukając go, był członkiem tej samej załogi. A to oni zabrali Gillian.

– To ma sens – przyznał Golo. Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że Grayson miał wrażenie, że to wszystko jest grą, jakby Golo już o tym wcześniej wiedział. – Ale to niczego nie zmienia. Nie dostaniesz się w pobliże „Idenny”. Nawet jeśli będziesz na pokładzie „Cyniada”, patrole zestrzelą jednostkę, jeśli nie użyjesz odpowiedniego kodu i częstotliwości.

– Mam częstotliwość i kod – zapewnił go Grayson. – Pilot podał mi je przed śmiercią.

Golo się roześmiał.

– Skąd wiesz, że są prawdziwe? Co, jeśli podał ci fałszywy kod?

Grayson pomyślał o quarianinie, którego znalazł w piwnicy. Pel miał szósty zmysł, który mówił mu, kiedy ofiary kłamią na torturach. Przesłuchania zawsze były jego mocną stroną.

– Informacje są dobre – powiedział. – Przeprowadzą nas przez patrole.

– Twoja pewność jest inspirująca – odparł quarianin. W jego głosie słychać było drwinę. Grayson wiedział, że Golo był kontaktem Pela na Omedze. Pomagał przy przejęciu „Cyniada” i Grayson nie mógł się nie zastanawiać, w czym jeszcze Pel i quarianin maczali razem palce.

– Oferujemy dziesięć razy więcej, niż dostałeś za ostatnią misję – Grayson starał się nie okazywać rosnącego gniewu.

Potrzebował Golo. Kod nie wystarczył, jeśli misja miała się powieść, musiał mieć ze sobą kogoś znającego procedury działania Wędrownej

Floty, kto pomoże mu uniknąć zdemaskowania. Potrzebowali też kogoś mówiącego płynnie po quariańsku, by przekazał kod patrolom. Automatyczny translator nie wystarczał.

– Dziesięć razy? – powtórzył Golo, rozważając ofertę. – Bardzo hojnie. Ale czy taka suma jest warta ryzykowania mojego życia?

– Jest też zemsta – przypomniał mu Grayson, zarzucając przynętę. Czytał zawarty w aktach Pela profil Golo. Wiedział, że quarianin wykształcił w sobie ogromną nienawiść do społeczeństwa, które go wyгнаło, i nie wahał się wykorzystać tego uczucia. Nie jeśli miało mu to pomóc w odzyskaniu Gillian. – Flota cię wyгнаła. Wykluczyli cię. Masz szansę zemścić się na nich w sposób, jakiego nigdy nie zapomną. Pomagając nam, możesz się na nich odegrać.

– Człowiek, który wie, co mi leży na sercu. – Golo roześmiał się okrutnie, a Grayson poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności. – Wciąż musimy rozważyć kilka problemów – powiedział Golo, potwierdzając swój udział. – „Cyniad” i kody przeprowadzą nas przez patrole. Ale potrzebny nam będzie sposób na zakłócenie komunikacji na „Idennie”, po tym jak zadokujemy, żeby nie zaalarmowali reszty flotyli.

– Zajmiemy się tym – powiedział Grayson, wiedząc, że Cerberus miał odpowiednią technologię. – Co jeszcze?

– Będą nam potrzebne plany wnętrza statku.

– To wycofany batariański krążownik klasy Hensa – odparł Grayson, korzystając z informacji, które zebrali już agenci Człowieka Iluzji w ramach przygotowań do misji. – Mamy plany.

– Jestem pod wrażeniem – odpowiedział Golo. – Jednak może jest szansa, że to się uda. Zakładając, że ty i twój zespół będziecie robić dokładnie to, co powiem.

– Oczywiście – powiedział przez zaciśnięte zęby Grayson, wyciągając rękę, by symbolicznie przypieczętować umowę. – Jakżeby inaczej.

.22.

Minęły trzy dni, nim Mal powrócił na „Idennę”. Kahlee spędziła większość tego czasu, zwiedzając quariański statek, zapoznając się z jego mieszkańcami i ich kulturą.

Odkryła, że większość jej wcześniejszych poglądów na temat quarian była albo całkowicie błędna, albo wypaczająca prawdę. Zawsze uważała ich za łachmaniarzy, żebraków i złodziei: za członków kultury drobnych przestępców, którym nie można ufać. Teraz widziała w nich po prostu osobników zdeterminowanych i z ogromnymi talentami do improwizacji. Walczyli o to, by przetrwać, bazując na ograniczonych zasobach i ciasnej przestrzeni, jednocześnie nie pozwalając, by ich społeczeństwo ogarnęła degeneracja i anarchia. By to osiągnąć, pielęgowali swoje ogromne poczucie wspólnoty.

W tej jedności, mimo że wymuszonej przez okoliczności, było coś szlachetnego. Każdy quarianin naprawdę wierzył, że wszyscy muszą ze sobą współpracować, by przetrwać. Silne więzi rodzinne pomiędzy członkami załogi i gotowość jednostek do poświęcenia się w imię większego dobra były wartościami, do których, zdaniem Kahlee, inne gatunki mogły tylko aspirować... o ile wcześniej pokonałyby swoje własne uprzedzenia dotyczące quarian.

Podczas gdy Kahlee zwiedzała okręt, Hendel i Gillian spędzali większość czasu na pokładzie wahadłowca, ćwicząc biotykę. Mimo noszenia kombinezonu Gillian wciąż nie najlepiej czuła się wśród obcych i wolała zostać w odosobnieniu w znanym miejscu.

Lemm i Seeto składali im wizyty, ale żaden z nich nie puścił pary z ust, gdy Kahlee lub Hendel próbowali wyciągnąć z nich informacje o

quariańskiej polityce. Bycie pionkiem w grze, której się nie znało, było frustrujące, ale Kahlee była pewna, że niebawem uzyskają odpowiedzi: kapitan Mal w końcu miał ich odwiedzić.

W ramach przygotowań do wizyty Kahlee, Hendel i Gillian założyli kombinezony. Lemm zasugerował im to poprzedniego dnia jako sposób na okazanie szacunku quariańskim zwyczajom i tradycjom w dniu wizyty kapitana. Hendel uznał, że dopóki nie dowiedzą się, czego ma dotyczyć spotkanie, lepiej było postępować tak, by zadowolić quarian.

Kahlee, nie bez oporów, przystała na to. Nie lubiła nosić kombinezonu bez potrzeby, chociaż nie była w stanie określić, co konkretnie jej w nim przeszkadza. Skafandry miały coś w rodzaju klimatyzacji, nigdy nie czuła się w nich zgrzana ani spocona, a cienki, giętki materiał prawie nie ograniczał ruchów. Dzięki wizjerowi w hełmie i osprzętowaniu audio, nosząc kombinezon, widziała i słyszała lepiej niż bez niego.

Jednak wciąż nie czuła się w nim komfortowo. Kombinezon całkowicie odcinał ją od zwykłych wrażeń dotykowych, takich jak ciepła skóra, gdy kładła dłoń na oparciu fotela, albo chłodny, twardy metal na blacie stołu, o który bębniła palcami. Nie mogła nawet przeczesać palcami włosów.

Za to Gillian zdawała się uwielbiać kombinezon, od czasu spotkania z kapitanem na mostku zdjęła go tylko raz. Nosiła go nawet podczas treningów biotycznych z Hendlem. Kahlee wiedziała, że szef ochrony uważał to za dziwne, ale znosił to dla dobra Gillian. Jednak upierał się, by podczas lekcji zdejmowała hełm i maskę. Gillian posłuchała, chociaż nie bez narzekania i sarkania.

Już samo to, że narzekała i sarkała, zamiast w milczeniu posłuchać, było dowodem, jak bardzo się zmieniła. Kahlee zwróciła Hendlowi uwagę na to, jak wielkie postępy zrobiła dziewczynka, a nawet podzieliła się z nim swoją teorią na temat tego, że kombinezon mógł sprawić, iż dziewczynka czuła

się bezpieczniejsza i bardziej pewna siebie. Jednak Hendel zaproponował inne wyjaśnienie:

– Myślę, że polepsza jej się, bo Cerberus już nie szprycuje jej narkotykami.

Ta myśl była niepokojąca, ale Kahlee była zaskoczona, że sama na to nie wpadła. Wątpliwe, by wcześniejszy stan Gillian można było wyjaśnić tylko lekami, które podawał jej Jiro, ale było możliwe, że pogarszało to jej objawy. Ta świadomość sprawiała, że to, co Grayson pozwalał robić własnej córce, stawało się jeszcze potworniejsze.

Dźwięk otwierania śluzy wyrwał ją z rozmyślań.

– Nie zwracają sobie głowy pukaniem, co? – mruknął Hendel, wstając, by powitać gości. Kahlee i Gillian zrobiły to samo.

Kahlee spodziewała się jakiejś straży honorowej albo ochrony towarzyszącej kapitanowi, ale jeśli przyszli, to zostali przed wahadłowcem. Nie licząc Lemma, Mal przyszedł sam.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedział, gdy wymieniono uściski rąk.

– To dla nas zaszczyt – odparła Kahlee. – Proszę usiąść i się rozgościć.

W kabinie pasażerskiej były tylko cztery fotele, więc kiedy dorośli zajęli miejsca, Gillian usadowiła się na kolanach Hendla. Kahlee ponownie zadziwiło, jakie postępy zrobiła w ciągu zaledwie dwóch tygodni.

Nim którekolwiek z nich się odezwało, rozległ się krótki, zduszony brzęczyk zza maski Mala – odgłos wiadomości przekazanej przez radio w jego hełmie. Kapitan podniósł rękę, nakazując innym ciszę, gdy odsłuchiwał wiadomość. Kahlee nie słyszała, jak ona brzmiała, ale widziała, jak kapitan kiwa głową.

– Wyślijcie ich do doku siódmego – poinstruował. – I powiedzcie, że dobrze jest mieć ich z powrotem. Wybaczcie mi – powiedział chwilę

później do Kahlee i pozostałych. – Muszę wyrażać zgodę na przyjęcie wszystkich jednostek, nim zadokują.

– Musi pan iść? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Isli i jej zespół ich przywitają. Możemy wrócić do interesów.

– A jakie mamy interesy? – Hendel zrezygnował z taktu i uprzejmości. Kahlee nie winiła go, sama chciała to zrobić. Na szczęście wyglądało na to, że Mal zamierza zagrać w otwarte karty.

– Wędrowną Flota wymiera – powiedział obojętnie. – To długa, powolna, niemal niewidoczna śmierć, ale takie są fakty. Zbliża się kryzys naszego gatunku. Za jakieś osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt lat nasza populacja będzie zbyt wielka, by pomieścić się na statkach.

– Myślałam, że macie zerowy przyrost naturalny – powiedziała Kahlee, przypominając sobie, jak Seeto podczas jednej z rozmów opisał jej wymuszoną politykę kontroli urodzin.

– Nasza populacja jest stabilna, ale Flota nie – wyjaśnił kapitan. – Nasze statki starzeją się i psują szybciej, niż jesteśmy w stanie je wymieniać i naprawiać. Powoli ubywa nam przestrzeni życiowej, ale ani Konklawe, ani Admiralicja nie chcą zacząć działać. Obawiam się, że nim zrozumiemy w końcu, że należy podjąć drastyczne działania, będzie już za późno.

– Co to ma wspólnego ze mną? – chciała wiedzieć Kahlee. – Dlaczego zadawali mi tyle pytań o Żniwiarzy?

– Istnieje mała, ale wciąż rosnąca koalicja kapitanów statków, którzy wierzą, że trzeba działać natychmiast, jeśli quarianie mają przetrwać – wyjaśnił Mal. – Zaproponowaliśmy, by kilka największych statków floty wyekwipować na długą podróż. Chcemy je wysłać na dwu albo pięcioletnie podróże w niezbadane rejony kosmosu lub przez niezbadane przekaźniki.

– Brzmi niebezpiecznie – zauważył Hendel.

– Bo takie jest – przyznał Mal. – Ale to może być nasza jedyna szansa na zabezpieczenie przetrwania naszego gatunku. Musimy znaleźć nadające się do życia, niezamieszkałe światy, które będziemy mogli nazwać domem. Albo, jeśli to się nie uda, musimy w jakiś sposób powrócić do Mgławicy Perseusza i odebrać gethom nasz dom.

– Naprawdę wierzycie, że w niezbadanych rejonach kosmosu znajdziecie jeden z tych tak zwanych statków Żniwiarzy? – zapytał Hendel.

– Wierzimy, że to lepsze niż nicnierobienie i czekanie, aż nasza populacja zacznie nieuchronnie wymierać.

– To logiczne – przyznała Kahlee. – Więc czemu wysłanie tych statków budzi taki sprzeciw?

– Nasze społeczeństwo jest niezwykle kruche – wyjaśnił Mal. – Najmniejsza zmiana może mieć znaczące konsekwencje. Wysłanie kilku największych jednostek osłabi całą Flotę, przynajmniej aż do ich powrotu. Większość reprezentantów Konklawe nie chce podejmować takiego ryzyka. Ta ostrożność jest zrozumiała – przyznał kapitan. – Przez niemal trzysta lat Admiralicja i Konklawe walczyły o zachowanie tego, co nam zostało, przed rozpadem. Nie mieli innego wyjścia, jak przyjąć ostrożną i konserwatywną linię polityki. Przez jakiś czas to nam służyło – kontynuował. – Ale musimy się adaptować. Jeśli mamy przetrwać, potrzebujemy nowej polityki. Niestety, ciężar tradycji przygniata Flotę i powszechne są obawy przed zmianami. Dlatego, Kahlee, twoje zeznanie przed przedstawicielami było takie ważne – dodał. – Musimy przekonać do siebie innych, sprawić, by zrozumieli, że ryzyko jest naszą największą szansą na przetrwanie. Nawet jeśli nie znajdziemy Żniwiarzy ani nie zdołamy przegnać gethów z Mgławicy Perseusza, może znajdziemy światy, na których będziemy mogli się osiedlić.

– Moje zeznanie było bezwartościowe – sprzeciwiła się Kahlee. – To były spekulacje i gdybanie. Nie wiem niczego użytecznego o gethach ani Żniwiarzach. I nie powiedziałam, że wysłanie statków w niezbadane rejony może pomóc ich odnaleźć.

– To nie ma znaczenia – wyjaśnił Mal. – Ludzie wierzą, że masz wiedzę, która jest w stanie pokonać gethy, nieistotne, czy rzeczywiście tak jest. Stałaś się symbolem nadziei na przyszłość dla naszego społeczeństwa. Jeśli inni kapitanowie zobaczą, że jesteś moim sojusznikiem, nasza sprawa zyska poparcie. Dlatego ci, którzy są przeciw nam, chcą, byście opuścili „Idennę”.

– Opuścili? – w głosie Hendla słychać było zmartwienie. – Chcesz powiedzieć, że wykopują nas z Floty?

– Nie zrobią tego – zapewnił go Mal. – To zrobiłoby z was męczenników mojej sprawy i zyskało nam jeszcze większe poparcie. Ale wielu kapitanów jest przeciwko nam – mówił dalej. – Kilku zaproponowało, że udzieli wam schronienia na swoich statkach, jeśli będziecie chcieli opuścić „Idennę”. Wierzą, że jeśli będziecie podróżować z nimi, to ich strona zyska poparcie.

– Nie podoba mi się bycie pionkiem w politycznej rozgrywce – stwierdziła ponuro Kahlee.

– Rozumiem – powiedział ze współczuciem Mal. – I przykro mi, że sprowadziłem cię do takiej roli. Jeśli nie chcesz brać w tym udziału, możesz w każdej chwili opuścić Flotę.

Kahlee zmarszczyła czoło. Opuszczenie Floty nie wchodziło w grę. Nie póki Cerberus wciąż ich szukał.

– Proszę, Kahlee – dodał Lemm. – Wysłanie statków zwiadowczych to szansa na przetrwanie mojego ludu.

Lemm mógłby ją pewnie skłonić do wyrażenia zgody, po prostu przypominając, że zawdzięczają mu życie. Ale Kahlee dowiedziała się już dość o kulturze quariańskiej, by wiedzieć, że nigdy nie wywarliby na nią

takiej presji. Jednak była jego dłużniczką. A argumenty Mala przemawiały do niej.

Nim jednak zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli odległe, ale nie do pomylenia z niczym innym wycie alarmów na „Idennie”.

* * *

– Zaraz sprawdzimy, czy twoje informacje są wiarygodne – szepnął Golo, gdy ekrany nawigacyjne „Cyniada” pokazały kilka patroli odrywających się od skupiska Wędrownej Floty.

Quariański wahadłowiec niósł dziesięciu wyszkolonych komandosów Cerberusa, a także Golo, Graysona i pilota umiejącego prowadzić statek z quariańskimi modyfikacjami. Każdy na pokładzie miał na sobie pełen pancerz z kinetycznymi barierami i niósł ciężki karabin.

– Otwórz kanał wywoławczy – polecił Golo, a pilot zrobił, jak mu kazano. Grayson był teoretycznie dowódcą misji, ale przez większość jej czasu miał polegać na Golo i jego zrozumieniu quarian.

Kilka sekund później radio zaskrzeczało odezwą patrolu.

– Wlatujecie na zastrzeżony obszar. Zidentyfikujcie się.

– Tu statek zwiadowczy „Cyniad” z „Idenny” – odpowiedział Golo. – Prosimy o pozwolenie na powrót do Floty.

– Potwierdźcie autoryzację.

Grayson wstrzymał oddech, gdy Golo recytował kod:

– Moje ciało podróżuje do odległych gwiazd, ale moja dusza nigdy nie opuszcza Floty.

Minęło kilka sekund, nim otrzymali odpowiedź:

– „Idenna” potwierdza waszą tożsamość. Witaj z powrotem, „Cyniad”.

Golo wyłączył kanał komunikacyjny.

– Leć płynnie i powoli – poinstruował pilota. – Nie chcemy nikogo wystraszyć.

Zlokalizowanie „Idenny” w armadzie statków było zaskakująco proste. Każda jednostka Floty transmitowała na bliską odległość sygnał na swojej częstotliwości. „Cyniad”, statek zwiadowczy, był zaprogramowany na częstotliwość „Idenny”, więc krążownik na ekranie nawigacyjnym stał się zielonym pikselem, kontrastującym z czerwienią oznaczeń innych statków.

Kiedy podlecieli bliżej, Golo znowu włączył kanał komunikacyjny.

– Tu „Cyniad”, proszę o pozwolenie na dokowanie na „Idennie”.

Po kilku sekundach radio odpowiedziało:

– Tu „Idenna”. Udzielam pozwolenia. Kierujcie się do doku numer siedem. Kapitan powiedział, że dobrze jest mieć was z powrotem.

– Dobrze jest wrócić – odparł Golo. – Wyślijcie lepiej zespół do spraw kwarantanny i ochronę – dodał, nim wyłączył kanał.

– Ochronę? – zapytał podejrzliwie Grayson.

– Standardowa procedura – odpowiedział Golo. – Gdybym o to nie poprosił, nabrałiby podejrzeń.

– Będą uzbrojeni?

– Zapewne, ale nie będą się spodziewali kłopotów. Twój zespół powinien ich zdjąć bez problemu.

Gdy wlatywali do doku, Grayson poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności. Po raz pierwszy od kilku dni poczuł głód piasku, ale odepchnął go od siebie, by skupić się na misji.

Trzej mężczyźni w kokpicie mileczli, póki nie usłyszeli kliknięcia kleszczy przytrzymujących statek.

– Wymierz w cel – rozkazał Grayson, a pilot skinął głową. – Ale nie strzelaj bez mojego rozkazu. Cerberus zainstalował na „Cyniadzie” pewne dodatki, w tym mały, ale potężny laser krótkiego zasięgu.

Jeden dobrze wymierzony strzał mógł wyłączyć transponder bliskiego zasięgu „Idenny”, odłączając komunikację z resztą Floty i uniemożliwiając zaalarmowanie jej.

Jednak trzeba było to idealnie zgrać czasowo. „Idenna” zachowywała komunikację wewnętrzną i gdy tylko transponder by padł, zaalarmowano by wszystkich na pokładzie. Grayson chciał poczekać, aż ochrona wysłana im na powitanie zostanie unieszkodliwiona, i dopiero wtedy zadziałać.

– Zespół Alfa – powiedział do transpondera w hełmie – kiedy śluz się otworzy, będziecie mieć towarzystwo. Zameldujcie się, jak tylko ich zdejmiecie.

Kilka chwil później usłyszeli odgłosy wystrzałów dochodzące z zewnątrz.

– Wróg unieszkodliwiony – raportował dowódca zespołu Alfa. – Po naszej stronie żadnych strat.

– Zdejmij transponder – powiedział Grayson i pilot odpalił laser, odcinając jednym czystym cięciem talerz anteny. Niemal natychmiast włączył się alarm na statku.

– Teraz zaczyna się zabawa – powiedział Golo, a Grayson wiedział, że quarianin uśmiecha się pod maską.

.23.

– Co się dzieje? – Kahlee przekrzykiwała wyjące w oddali alarmy.

Kapitan nasłuchiwał przychodzących wiadomości, potem przekazał je pozostałym.

– „Cyniad”, jeden z naszych statków zwiadowczych, właśnie zadokował. Wyłączyli nasz transponder.

– Kiedy znalazłem was w magazynie, szukałem załogi „Cyniada” – powiedział pośpiesznie Lemm. – Myślałem, że ludzie, którzy was pojмали, mieli coś wspólnego z zaginionym statkiem.

– Cerberus – powiedział Hendel. – Przylecieli po Gillian.

– A co z ochroną, którą do nich wysłaliście? – zapytała Kahlee, przypominając sobie wcześniejsze słowa kapitana. – Z Isli i pozostałymi?

– Brak odpowiedzi – powiedział ponuro Mal. Wszyscy wiedzieli, co to prawdopodobnie oznaczało.

– Jeśli to Cerberus, będą szli prosto do wahadłowca – ostrzegł Hendel. – Będą chcieli złapać Gillian i zabrać się stąd jak najszybciej, zanim zdążycie zorganizować jakiś opór.

– Macie na pokładzie jakąś broń? – zapytał Lemm.

Kahlee pokręciła głową.

– Karabin, który zabraliśmy z magazynu, już prawie nie ma nabożów. Hendel jest biotykiem, ale nic więcej nie mamy.

– Wezwij ochronę – powiedział olbrzym.

– Nie dotrą na czas – odparł Mal. – „Cyniad” jest dwa doki od nas.

Nie możemy nawet uszczelnić wahadłowca i odlecieć, uświadomiła sobie Kahlee. *Nie odłączymy szczęk dokujących na czas.*

– No dalej! – Poderwała się. – Siedząc tu, ich nie zatrzymamy.

Cała piątka – dwóch quarian i troje ludzi – wybiegła z wahadłowca przez służę na lądowisko „Idenny”. Hendel musiał na wpół ciągnąć, na wpół nieść Gillian, by dotrzymała im kroku. Alarmy ją dezorientowały i szła wolnymi, niepewnymi krokami.

– Pokład handlowy! – krzyknął Mal. – Mamy broń w magazynie.

Gdy biegli przez zatłoczone korytarze i sale statku, Kahlee nie mogła przestać wyobrazać sobie, co się stanie, gdy siły Cerberusa odkryją, że prom Graysona jest pusty. Quarianie nie mieli powodu, by spodziewać się ataku wewnątrz statków Floty, a w zwykłych okolicznościach wolny dostęp do broni przy takim stłoczeniu był receptą na katastrofę. Dlatego nikt poza nieliczną ochroną nie nosił broni. Jeśli uzbrojeni agenci Cerberusa zaczęliby szukać Gillian na zamieszkałych pokładach, doszłoby do masakry.

Mal wykrzykiwał rozkazy przez swoje radio, próbując zorganizować wsparcie mające odciągnąć wroga.

– Musimy tu zostać! – krzyknęła Kahlee. – Zatrzymać ich na pokładzie handlowym. Jeśli tego nie zrobimy, będą setki ofiar.

Mal skinął głową i przekazał rozkazy na mostek.

Jak nas tu znaleźli? – zastanawiała się Kahlee, biegnąc. I zaraz: *Czy nie ma miejsca w Galaktyce, gdzie Gillian mogłaby się przed nimi schować?*

* * *

Zespół Cerberusa dotarł na poprzedni wahadłowiec Graysona i odkrył, że jest opuszczony.

– Musieli się ukryć gdzieś na statku – domyślił się Golo.

– Ilu jest na statku quarian? – zapytał Grayson.

– Około sześciu, siedmiu setek – ocenił Golo. – Ale tylko kilkudziesięciu ma broń. Zostań tu z kilkoma ludźmi, żeby pilnować statku,

a reszta pójdzie ze mną. Znajdziemy Gillian i przyprowadzimy ją.

Grayson pokręcił głową.

– To moja córka. Idę z tobą.

– Zapomnij – odparł Golo. – Jesteś tu potrzebny.

– Ja tu dowodzę – przypomniał mu Grayson.

– A ja jestem tym, który wie, jak się poruszać po quariańskim statku – odparował Golo. – Nie zrobisz tego beze mnie, a ja nie zabiorę cię tam jako członka zespołu. Jesteś zbyt emocjonalnie zaangażowany – dodał niemal przeproszająco. – Nie myślisz jasno i nie jesteś na to gotowy.

Grayson nie kłócił się z tym argumentem. Od ucieczki z magazynu Pela prawie nie spał, był po prostu ćpunem napędzanym adrenaliną i rozpaczą. Zmęczenie i efekty odstawienia narkotyku spowolniały jego działania i przyćmiewały osąd, zagrażając całemu zespołowi.

– Jeśli naprawdę chcesz odzyskać córkę – dodał pełnym emocji szeptem quarianin – najlepsze, co możesz zrobić, to zostać tu i przygotować wahadłowiec do naszej ucieczki.

Golo manipulował nim, grał na jego emocjach. Quarianina nie obchodził los Gillian. Był tylko kłamliwym, manipulującym sukinsynem, który dbał tylko o swoje własne interesy. Ale to nie znaczyło, że nie miał racji.

Lepiej im pójdzie bez ciebie. Dla dobra misji – dla dobra Gillian – musisz tu zostać.

– Ty, ty i ty – Grayson wskazał na pilota i dwóch pozostałych – zostańcie tu ze mną. Reszta idzie z Golo. Pamiętajcie, mamy tylko pół godziny na ucieczkę z tego statku.

– Jeśli ludzie weszli na statek, pewnie mają na sobie kombinezony – zauważył mimochodem Golo.

Grayson przeklął to dodatkowe utrudnienie.

– Człowiek Iluzja chce Gillian całą i zdrową – przypomniał idącym z Golo żołnierzom, powtarzając to, by dobrze zapamiętali. – Nie strzelajcie do niczego mniejszego niż dorosły quarianin.

– Chyba że będziecie na tyle blisko, by policzyć palce – roześmiał się Golo.

– Mostek zamyka poszczególne części statku – powiedział Mai, wydając im broń zmagazynowaną razem z jedzeniem, lekami i innymi ostrożnie rozprawdzanymi towarami. – To ich nie zatrzyma, ale może spowolnić. Cywili ewakuujemy na wyższe pokłady, a ochrona ma się tu z nami spotkać.

Kahlee wzięła od niego karabin, trzymając go w jednej ręce, by ocenić wagę. To był tani voluski produkt wedle turiańskiego projektu – broń poniżej standardu, ale lepsza taka niż żadna.

Rozglądając się po pomieszczeniu, oszacowała szanse. Z doków na pokład handlowy prowadziło tylko jedno wejście: Cerberus musiał pójść długim, wąskim korytarzem wprost na nich. Ale jeśli zdołaliby przedrzeć się przez pierwsze drzwi, znaleźliby osłonę za skrzyniami i pudłami z towarami stojącymi w całym pomieszczeniu. Dobrze zorganizowana grupa uderzeniowa nie miałaby problemu z rozproszeniem się i oflankowaniem ludzi Mala. A jeśli Kahlee i inni próbowaliby się wycofać, to mieli tylko jedną możliwość – do zatłoczonych kwater pokład wyżej.

Dwie drużyny quariańskiej ochrony były już na miejscu. Gdy Mal skończył wydawanie broni Kahlee, Lemmowi i Hendlowi, dołączyły do nich jeszcze cztery.

– Rozproszyc się i znaleźć zasłony – rozkazał kapitan. – Przytrzymajcie ich przy drzwiach do doków, jak długo możecie. Gdy wydam rozkaz, wycofajcie się na wyższy poziom.

Quarianie rozproszyli się, a Kahlee odwróciła się do Gillian. Dziewczynka nie poruszała się ani nie rozglądała. Siedziała i patrzyła przed siebie, jej ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

– Pamiętasz, gdzie mieszka Seeto? – zapytała Kahlee, próbując nie myśleć o tym, że młody quarianin, a wraz z nim Isli i Ugho pewnie już nie żyją.

Gillian nie odpowiedziała, tylko stała w milczeniu, spoglądając w przestrzeń zza wizjera maski.

– Gillian! – krzyknęła Kahlee. – To ważne!

Dziewczynka powoli odwróciła ku niej głowę.

– Pamiętasz, jak Seeto pokazał nam swój pokój? – powtórzyła Kahlee. Dziewczynka skinęła głową. – Wiesz, gdzie to było?

– Na pokładzie nad nami – odpowiedziała Gillian bezbarwnym tonem, który świadczył o tym, że wycofuje się coraz bardziej i bardziej. – Pierwszy sześcian w grupie w czwartej kolumnie i w szóstym rzędzie.

– Musisz tam pójść i poczekać na mnie albo na Hendla! – krzyknęła Kahlee. – Rozumiesz? Idź do pokoju Seeto i ukryj się.

Gillian znowu skinęła głową, a potem odwróciła się i powoli ruszyła w stronę windy.

– Schodami, Gillian – krzyknęła za nią Kahlee, wiedząc, że windy nie będą działały podczas stanu wyjątkowego. – Musisz iść schodami!

Dziewczynka nie odwróciła się, po prostu zmieniła kierunek i ruszyła do schodów.

– Jesteś pewna, że wysłanie jej samej to dobry pomysł? – zapytał Hendel, sprawdzając lunetę i autocelownik swojej broni.

Kahlee nie była pewna. Właściwie to w ogóle jej się to nie podobało. Ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Nie może tu zostać – powiedziała. – I nie możemy nikogo z nią wysłać. Jeśli mamy utrzymać pozycję, Mał potrzebuje każdego.

Hendel skinął głową, zgadzając się z jej oceną tej strasznej sytuacji, a potem pobiegł do schronienia za jednym z metalowych kubłów, zza którego mógł strzelić do każdego wychodzącego z doków. Kahlee zrobiła to samo, kuląc się za dużą stalową skrzynią pełną garnków i patelni.

Cerberus nie kazał im czekać długo.

Atak zaczął się od kilku granatów wrzuconych na pokład handlowy z doków. Żaden z członków zespołu Mała nie był na tyle blisko drzwi, by wybuch im zaszkodził, ale detonacja wyrzuciła w powietrze kilka skrzyń i ich zawartość. Nikt nie został ranny, ale w zamieszaniu dwóch żołnierzy Cerberusa ruszyło do drzwi.

Kahlee i pozostali otworzyli ogień, próbując ich odeprzeć. Wróg, ufny w moc swoich tarcz kinetycznych, odpowiedział ogniem, wbiegając na pokład i kierując się do stojących najbliżej skrzyń, by się za nimi ukryć.

Plan by się powiódł, gdyby nie Hendel. Podczas gdy Kahlee i quarianie pakowali jeden magazynek za drugim w tarcze przeciwnika, biotyk zbierał siły. W chwili gdy żołnierze Cerberusa skryli się za skrzynią, która jak sądzili, miała dać im schronienie, Hendel podniósł ją wysoko w górę, odsłaniając ich pozostałym jak na tacy.

Tarcze komandosów, już wcześniej osłabione ostrzałem, jakiemu byli poddani, nie ocaliły ich przed drugim gradem kul. Obaj mężczyźni zostali rozerwani na kawałki, a Kahlee poczuła falę triumfu.

Jej euforia miała krótki żywot. Druga fala żołnierzy Cerberusa – tym razem trzech – wybiegła w sekundę po pierwszej, korzystając z tego samego sposobu. Hendel potrzebował więcej, czasu na zebranie sił, nim mógł znowu uderzyć, więc cała trójka zdołała dotrzeć do bezpiecznego

miejsca za skrzyniami. Osłonięci przed ogniem przeciwnika mogli się przegrupować i podładować tarcze, a potem błyskawicznie zaatakować.

Wypadli ze swojej kryjówki w tej samej chwili, każdy poruszał się w innym kierunku. Rozproszyli się w labiryncie skrzyń i kontenerów. Kahlee skupiła się na najbliższym wrogu, pozostali dwaj zniknęli jej z oczu. Próbowwała go zdjąć dobrze wymierzonymi strzałami, gdy przemieszczał się od jednej skrzyni do drugiej, ale żołnierz znał wytrzymałość swoich tarcz i zawsze umykał z linii ognia, nim zupełnie się wyczerpały.

Zauważyła, że komandos próbuje przedostać się na drugą stronę pomieszczenia, skąd mógłby zakraść się do obrońców od tyłu. Kątem oka Kahlee zobaczyła, jak jeden z quarian wychodzi zza skrzyni, za którą się chował, i próbuje zastrzelić żołnierza, ale sam dostaje kulę od trzeciej fali czterech żołnierzy Cerberusa wpadających przez prowadzące do doków drzwi.

Wtedy Kahlee zrozumiała, jak beznadziejna była ich sytuacja. Mimo że dwu-, a nawet trzykrotnie przewyższali przeciwnika, nie byli w stanie pokonać jego taktycznej i technologicznej przewagi. Cerberus miał lepszą broń, lepsze zbroje i wyszkolenie. Połowa zespołu Mala – w tym Lemm, kapitan, Hendel i sama Kahlee – nie miała nawet pancerza.

A Cerberus miał granaty.

Jak na zawołanie usłyszała głośny wybuch z odległej części pokładu. Obracając głowę, zobaczyła, jak dym eksplozji rozprasza się, odsłaniając spalone i pozbawione życia ciała dwóch quarian, których dosięgnął granat.

Przynajmniej mieli po swojej stronie Hendla. Olbrzym wystawił głowę zza skrzyni i przypuścił kolejny atak biotyczny, tym razem wyrywając dwóch żołnierzy Cerberusa z ich kryjówek i rozbijając ich o ścianę. Kobieta upadła na ziemię, poderwała się i skryła za skrzynią. Kahlee nacisnęła spust, upewniając się, że drugi żołnierz tego nie zrobi.

Jednak chwilę później to Hendla poderwało w powietrze – Cerberus najwyraźniej też miał biotyka w zespole. Olbrzym krzyknął zaskoczony i uderzył plecami o ścianę tuż obok magazynu, z którego zabrali broń. Hendel upadł na ziemię i nie wstał.

– Hendel! – krzyknęła Kahlee, walcząc z samobójczą chęcią podbiegnięcia do niego.

Zamiast tego skupiła swoją uwagę na wrogu, korzystając z wyszkolenia, jakie otrzymała w Przymierzu. W walce żołnierze, nawet przyjaciele, padali i zostawali ranni. Zwykle nie można było im pomóc, póki nie zneutralizowano wroga.

Kahlee trzymała pozycję, wybierając uważnie cele. Zobaczyła, jak pada kolejny żołnierz Cerberusa – wedle jej obliczeń zostało pięciu, w tym biotyk. Ale wokoło słyszała krzyki ludzi Mala. Kiedy biotyk Cerberusa przypuścił kolejny atak, odrzucając pojemnik, za którym kryła się quarianka z karabinkiem snajperskim, wydając ją na pastwę kul, kapitan w końcu wydał rozkaz, którego Kahlee się spodziewała.

– Odwrót! – krzyknął. – Odwrót!

Nie chciała zostawiać Hendla, ale próba dotarcia do niego równała się postrzałowi. Mrugając, by przegonić z oczu łzy, zaczęła strzelać, osłaniając swój odwrót.

* * *

Gillian chodziła w tę i z powrotem wokół skupiska sześcianów, licząc cicho, aż w końcu doszła do tego z jaskrawo pomarańczową zasłoną. Z oddali słyszała ostre kaskady dźwięków, których nie potrafiła – albo nie chciała – świadomie zidentyfikować.

Wiedziała, że coś jest nie tak i że w jakiś sposób jest za to odpowiedzialna. Ale chociaż próbowała dojść dlaczego, nie mogła. Stres

spowodowany sytuacją wywołał u niej coś w rodzaju transu, a jej umysł pełen był nieposkładanych i niepasujących do siebie elementów układanki.

Na przykład zdawała sobie sprawę, że wokoło powinno być więcej osób. Miała mgliste, niekompletne wspomnienia tłumów poruszających się pomiędzy sześcianami. Pamiętała gwar rozmów, otaczający ją niczym rój wściekłych pszczół. Teraz jednak sześciany były puste. Wszystko było nieruchome i ciche.

Wiedziała, że tak nie powinno być. Nie mogła tylko wytłumaczyć sobie dlaczego.

Kahlee powiedziała: ukryj się w pokoju Seeto, pomyślała, kiedy doszła na miejsce i odsunęła zasłonę. Pokój nie wyglądał tak, jak go zapamiętała. Mata stała o pół stopy od miejsca, gdzie była poprzednio, i ktoś obrócił kuchenkę o dziewięćdziesiąt stopni.

Gillian wiedziała, że inni czasem przestawiają rzeczy. Nie podobało jej się to. Rzeczy zawsze powinny być odkładane na to samo miejsce.

Nie podoba mi się tutaj. Chcę wrócić do wahadłowca.

Wypuściła zasłonę z ręki i odwróciła się plecami do sześcianu. Idąc powoli, niepewnie, ruszyła alejkami z powrotem do schodów prowadzących na pokład niżej, wybierając dłuższą i bardziej skomplikowaną drogę od tej, którą przyszła.

* * *

Kahlee biegła po schodach, wiedząc, że jeśli Cerberus podąży za nimi na wyższy poziom, gdzie znajdowały się sześciany mieszkalne, to rozpęta się piekło. Mimo ewakuacji cywilów walka zmieni się w grę strzelaj-i-biegnij rozgrywaną w alejkach pomiędzy kwaterami, w której Cerberus ze swoim uzbrojeniem miał jeszcze większą przewagę.

Kilku podwładnych Mala zajęło stanowiska za rogami najbliższych schodom sześcianów, mierząc w drzwi, przez które Cerberus musiał wejść. Kahlee pobiegła prosto do kwatery Seeto po Gillian.

Kiedy tam dotarła, słyszała już wymianę ognia. Wiedziała, że ma mało czasu, Cerberusowi łatwo poszło przełamanie obrony quarian na niższym pokładzie, na tym utrzymanie pozycji było jeszcze trudniejsze. Było zbyt wiele możliwości. Quarianie nie mieli szans na pokonanie wroga, który mógł po prostu umknąć w alejkę i zejść ich od drugiej strony.

Kahlee odciągnęła zasłonę i spojrzała na pustą kwaterę.

* * *

Gillian wciąż błędziła po korytarzach, kiedy głośnie hałasy, których jej umysł nie chciał zidentyfikować, zabrzmiały jeszcze głośnie. Zobaczyła quarianina biegnącego na drugim końcu alejki, którą szła, a broń, którą trzymał w dłoni, zmusiła ją do przyznania, że to, co słyszała, to wystrzały.

Nie chcę tu być, wrzeszczał jej umysł. Wracaj na statek.

Gillian właśnie to zamierzała zrobić. Teraz już wszędzie słyszała strzały, sporadyczne hukki dochodzące z przodu, z tyłu i z obu boków. Ale jej przeciążony umysł po prostu odciął się od tych wrażeń i dziewczynka ruszyła w stronę schodów.

Skręciła w lewo i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną i kobietą. Od razu wiedziała, że to nie są quarianie – nie mieli kombinezonów ochronnych. Nosili hełmy, ale wizjery zakrywały tylko trzy czwarte twarzy, a ich klatki piersiowe i ramiona zakrywały grube, jakby napompowane kamizelki. Każde z nich miało broń i kiedy zobaczyli dziewczynkę, wycelowali w nią karabiny.

Gillian po prostu szła dalej, jakby nieświadoma ich obecności.

– Nie strzelaj – krzyknęła kobieta, opuszczając broń, gdy dziewczynka podeszła bliżej. – To ona! Córka Graysona!

Mężczyzna opuścił broń i podbiegł do dziewczynki, wyciągając rękę, by ją złapać. Gillian bez zastanowienia zwinęła palce w pięść i szarpnięciem wyrzuciła rękę przed siebie, jak uczył ją Hendel. Mężczyzna został odepchnięty od niej, plecami uderzył w kant ściany jednej z komórek. Rozległo się głośne trzaśnięcie i człowiek zamarł w śmiesznej pozycji.

– Matko święta... – jęknęła kobieta, ale Gillian nie pozwoliła jej dokończyć. Działając instynktownie, wyciągnęła przed siebie rękę, spodem dłoni do góry, i poruszyła nadgarstkiem. Kobieta wyleciała pod sufit, uderzając o niego tak mocno, że jej hełm pękł. Upadła u stóp Gillian. Oczy miała wywrócone białkami do góry, z nosa, ust i uszu ciekła krew. Jej noga poruszyła się, but uderzył o ścianę najbliższej komórki, a potem ciało znieruchomiało.

Dziewczynka po prostu przeszła nad nią i kontynuowała swoją wędrówkę. Dotarła do schodów, nie spotkawszy nikogo więcej, i zeszła na niższy pokład.

Słyszała dochodzące z góry strzały, ale na dole było ciszej. Czując się trochę lepiej, zaczęła mruzczyć bezgłośnie melodię, idąc do wahadłowca.

* * *

Kahlee, bliska paniki, biegała alejkami, rozpaczliwie szukając Gillian. Na szczęście dzięki swojemu wyszkoleniu była w stanie wziąć się w garść na tyle, by nie zrobić nic głupiego, i zamiast wybiegać na oślep zza rogów, wyglądała ostrożnie przed każdym skrzyżowaniem, wypatrując sił wroga.

Wokół słyszała odgłosy walki, ale nie napotkała żadnego z żołnierzy Cerberusa, póki nie trafiła na dwoje martwych komandosów leżących na środku jednej z alejek. Przez chwilę wydawało jej się, że znalazła dowód na

to, że Hendel przeżył wyrzucenie na dwadzieścia stóp w powietrze: było oczywiste, że żołnierze zginęli od ataku biotyka. Ale zaraz co innego przyszło jej do głowy.

Gillian.

Od przybycia na „Idennę” Hendel ciężko pracował z dziewczynką, ucząc ją rozwijać i kontrolować jej zdolności biotyczne. Ale mimo znaczącej poprawy jej stanu, do jakiej doszło w ciągu ostatnich kilku tygodni, wciąż była bardzo kruchą emocjonalnie dziewczynką z problemami. W stołówce Akademii coś ją sprowokowało, rozpętując piekło biotycznych mocy. Teraz Kahlee miała dowód na to, że piekło znowu otwarło swoje bramy.

Boi się, pomyślała Kahlee. Jest zagubiona. Będzie szukała miejsca, w którym czuje się bezpiecznie. Natychmiast do niej dotarło, co to za miejsce. *Idzie do wahadłowca.*

Zostawiwszy za sobą dwóch martwych żołnierzy, Kahlee ostrożnie zaczęła przekradać się ku schodom.

* * *

Golo dobrze się bawił, prowadząc atak na swoich ziomków. Choć nie był członkiem załogi „Idenny”, nie miał problemu z wyobrażaniem sobie, że quarianie, do których strzela, to ci, którzy wygnali go z „Useli”, jego statku.

Ciężko uzbrojony i opancerzony zabił już sześć osób – dwie na pokładzie handlowym i cztery kolejne podczas polowania między komórkami. Biorąc pod uwagę zaawansowane uzbrojenie, które dostał od Cerberusa, nie można było mówić o uczciwej walce... a tej Golo nie lubił. Bawił się tak dobrze, że niemal stracił poczucie czasu.

Dopiero gdy timer w jego hełmie zaczął miękko buczeć, zorientował się, że zostało tylko dziesięć minut. Nie znaleźli jeszcze dziewczynki, ale to go nie obchodziło. Czas wracać na wahadłowiec Graysona i opuścić „Idennę”.

Wiedział, że reszta zespołu będzie walczyć i szukać Gillian jeszcze przez pięć minut, nim zaczną odwrót, ale on nie chciał tak ryzykować.

Z westchnieniem żalu zrezygnował z polowania pomiędzy sześcianami i szybko i ostrożnie skierował się do klatki schodowej prowadzącej na dolny pokład.

* * *

W kabine pasażerskiej bezimiennego wahadłowca, który skradziono mu na Omedze, Grayson niecierpliwie chodził w tę i z powrotem. Zerknąwszy na zegarek, przekonał się, że zostało im już tylko dziesięć minut.

– Ty i ty – wskazał na dwóch z trzech żołnierzy, którzy zostali, by zabezpieczyć wahadłowiec – idźcie znaleźć sterowanie klamer dokujących.

Zamierzał zwlekać z odlotem do ostatniej chwili, ale to nie oznaczało, że nie miał się do niego przygotować.

Dwaj żołnierze pobiegli do śluzy, podczas gdy Grayson i trzeci żołnierz – pilot, który kierował quariańskim statkiem – czekali w milczeniu.

Usłyszeli głośny głuchy huk dochodzący spoza statku. Grayson, zaciekawiony, podszedł do śluzy i zobaczył małą kobiecą postać, odzianą od stóp po czubek głowy w kombinezon ochronny, stojącą na środku lądowiska.

– Tato? – powiedziała postać. Choć głos był częściowo zniekształcony przez maskę i aparat do oddychania, rozpoznał go od razu.

– Gigi – powiedział, przyklękając na jedno kolano i wyciągając do niej rękę.

Podeszła do niego w znajomy sztywny sposób, na tyle blisko, by go dotknąć. Znając dobrze jej stan, opuścił rękę, nie dotykając jej. A wtedy ku jego ogromnemu zaskoczeniu podeszła o krok bliżej i przytuliła go.

Dopiero gdy obejmował córkę, zauważył dwóch żołnierzy, których wysłał tu chwilę wcześniej. Leżeli pod przewróconym wózkiem widłowym, którego quarianie używali do ładowania i rozładowywania statków. Wyglądało to tak, jakby sześciotonowe auto zostało uniesione w jakiś sposób w górę i rzucone na nich, miażdżąc ich jak mrówki i zabijając na miejscu.

Ich ponowne spotkanie zostało przerwane chwilę później, gdy Grayson usłyszał za sobą pilota.

– S-sir? – powiedział drżącym głosem, spoglądając na martwych żołnierzy pod wózkiem. – Co się im stało?

– Nieważne – powiedział ostro Grayson, wypuszczając z objęć córkę i wstając. – Idź na pokład i odpal silniki. Czas ruszać.

– Nie możemy jeszcze lecieć – powiedziała Gillian. Grayson był zaskoczony, słysząc w jej głosie emocje, a nie monotonię, do której był przyzwyczajony. – Musimy poczekać na moich przyjaciół.

– Twoich przyjaciół? – zapytał zachęcająco.

– Hendla i Kahlee, i Lemma – powiedziała. – Lemm jest quarianinem.

– Kochanie, nie możemy na nich poczekać – powiedział łagodnie.

Skrzyżowała ramiona i odsunęła się od niego – nigdy nie widział, by tak się zachowywała.

– Nie lecę bez nich – powiedziała stanowczo.

Grayson zamrugał zaskoczony, potem skinął głową.

– Dobrze, kochanie, pójdziemy ich poszukać.

Kiedy odwróciła się twarzą do pokładu „Idenny”, stanął za nią i wyciągnął mały ogłuszacz, który miał przy pasku. Jeden szybki strzał

między łopatki i Gillian opadła w wyciągnięte ramiona ojca.

Czuł się winny, że do niej strzelił, ale wiedział, że mają mało czasu. Zaniósł ją na pokład wahadłowca, do sypialni, gdzie położył ją delikatnie na łóżku. Zdjął jej hełm i przez długą chwilę wpatrywał się w jej twarz. Podniósł głowę, dopiero gdy pilot znowu coś do niego mówił.

– Sir? – Żołnierz stał w drzwiach. – Kleszcze dalej są zamknięte.

– Wyłącz je – rozkazał Grayson. – Nie zostawię córki.

Mężczyzna skinął głową i zostawił ich samych.

– Nie martw się, Gigi – szepnął Grayson. – Od tej pory będę się tobą dobrze zajmował.

.24.

Kahlee biegła przez wyludniony pokład handlowy do wahadłowca, który dla Gillian stał się domem. Była tak skupiona na odnalezieniu dziewczynki, że nawet nie pomyślała o tym, by sprawdzić, co z leżącym za biurkiem Hendlem.

Zwolniła, przechodząc przez korytarz oddzielający pokład handlowy od doków, starając się poruszać cicho, na wypadek gdyby żołnierze Cerberusa na nią czekali. Ostrożność wyszła jej na dobre: tuż przed wahadłowcem stał strażnik. Stał do niej tyłem, jedną ręką manipulując przy panelu kontrolnym, by odłączyć szczęki dokujące, a w drugiej, opuszczonej, trzymając karabin.

Wystrzały mogły zaalarmować ludzi znajdujących się w pobliżu, ale to nie oznaczało, że nie mogła użyć swojego karabinu. Wiedziała, że każda broń jest wyposażona w bariery kinetyczne zaprogramowane tak, by reagowały na szybkość. Jeśli się usiadło albo szturchnęło kogoś w plecy, nie aktywowały się. Ale mocny wymach i cios w głowę wystarczyłyby, żeby je włączyć.

Kahlee pośpiesznie podkraśla się do strażnika, zaciskając ręce na lufie karabinu i trzymając go jak kij bejsbolowy. Gdy tylko znalazła się w odpowiedniej odległości, podbiegła kawałek, by mieć lepszy wymach, i zamachnęła się swoją prowizoryczną pałką tak mocno jak umiała.

Odgłos jej kroków, gdy biegła po metalowej podłodze doków, zaalarmował żołnierza i dał mu okazję do zareagowania. Na wpół odwrócił się do Kahlee, podnosząc ramię do góry i schylając głowę, tak że jej cios trafił go w rękę, a nie w hełm. Siła uderzenia wytrąciła mu karabin z ręki.

Broń potoczyła się po podłodze, podczas gdy mężczyzna zachwiał się, walcząc o zachowanie równowagi.

Kahlee zadała kolejny cios, ale była zbyt blisko, by wziąć wystarczająco duży zamach. Uderzenie trafiło w hełm, ale nie było dość mocne, by ogłuszyć żołnierza. Oszołomiony odsunął się od niej, próbując dłońmi wymacać pistolet zamocowany na biodrze.

Obracając karabin w dłoniach, Kahlee poprawiła uchwyt, by móc uderzyć ciężką kolbą. Zadała cios od dołu, tuż pod zasłaniający trzy czwarte twarzy wizor, w dolną szczękę i zęby. Głowa mężczyzny wygięła się do tyłu, a on sam upadł. Kahlee pochyliła się nad nim, oburącz uderzając go w głowę kolbą.

Nawet hełm nie był w stanie ochronić go przed serią zabójczych ciosów. Po szóstym uderzeniu Kahlee była pewna, że jej ofiara już nigdy nie wstanie. Przyłożyła mu jeszcze dwa razy dla pewności.

Prostując się, zobaczyła, że karabin wygiął się pod wpływem uderzeń.

Bezużyteczne voluskie gówno, pomyślała, odpinając pistolet od pasa martwego żołnierza.

Powaliwszy wroga, rozejrzała się po dokach. Kiedy dostrzegła ciała dwóch żołnierzy Cerberusa pod wózkiem widłowym, wiedziała, że dziewczynka tu była.

Zakradła się na pokład wahadłowca, poruszając się najciszej jak umiała. Kabina pasażerska była pusta, przeszła więc do kokpitu, ale tam też nikogo nie było. Kiedy dotarła do sypialni na rufie, nie była prawie wcale zaskoczona, widząc Gillian leżącą na łóżku i jej ojca siedzącego obok.

Wymierzyła pistolet w Graysona.

– Odsuń się od niej, ty sukinsynu.

Podniósł głowę na dźwięk jej głosu. Wytrzeszczył oczy zaskoczony. Potrwało chwilę, nim rozpoznał ją pod kombinezonem i maską.

– Kahlee? – mruknął.

Skinęła głową i poruszyła pistoletem. Grayson powoli wstał i odsunął się od łóżka.

Kahlee spojrzała na Gillian i zorientowała się, że dziewczynka jest nieprzytomna.

– Co jej zrobiłeś? Podałeś jej narkotyk? – zapytała.

– Ogłuszyłem ją – szepnął Grayson, a Kahlee wydało się, że nagle się zawstydził. Zrozumiała, że mimo wszystkiego, co zrobił, naprawdę zależało mu na córce. W jakiś sposób sprawiało to, że jego oddanie Cerberusowi stało się jednocześnie bardziej przerażające i bardziej patetyczne.

Nagle poczuła ostry koniec lufy pistoletu wbijający się pod jej żebra.

– Rzuć broń – odezwał się głos za jej plecami.

Przez ułamek sekundy Kahlee rozważała zastrzelenie Graysona. Ale zabicie ojca nie ocaliłoby Gillian, za to z pewnością kosztowałoby życie Kahlee. Wypuściła pistolet z rąk.

– Połóż się twarzą do ziemi, z rękami na plecach – rozkazał głos, szturchając ją ponownie lufą pistoletu.

Zrobiła, jak kazano, i usłyszała, jak nieznany napastnik mijają i podchodzi do łóżka.

– Golo, nie dotykaj jej – ostrzegł Grayson. Zimna furia w jego głosie sprawiła, że kroki ucichły.

Leżąc na brzuchu Kahlee odważyła się lekko przekręcić głowę, by spojrzeć w górę. Była zaskoczona, widząc, że Grayson rozmawia z quarianinem.

* * *

Hendel powrócił do świata na fali bólu. Każdy mięsień i każda kość w jego ciele bolały od uderzenia o ścianę. Świadomość powoli do niego

wracała, a on po prostu leżał, próbując jakoś wszystko sobie poukładać. Po kilku sekundach wspomnienia wróciły. Był na pokładzie handlowym, gdzie quarianie walczyli z Cerberusem.

Wciąż słyszał strzały, ale dochodziły z daleka.

Walka przeniosła się pokład wyżej.

Ignorując protest swoich mięśni, zmusił się, by wstać. Przez kilka chwil kręciło mu się w głowie, ale doszedł do siebie. Rozejrzawszy się wokoło, zobaczył swój karabin leżący na podłodze. Podniósł go.

Trzeba pomóc Kahlee i innym.

Jednak nim zdołał wydostać się zza biurka, usłyszał ciężkie kroki ludzi zbiegających po schodach. Na pokład wybiegło dwóch żołnierzy Cerberusa, skupionych nie na Hendlu, ale na ścigających ich quarianach.

Wycofują się! – uświadomił sobie Hendel. Wygraliśmy!

Biotyka nie wchodziła w grę. W głowie wciąż mu się trochę kręciło od uderzenia o ścianę i podejrzewał, że doznał lekkiego wstrząsu mózgu. Ale czuł się na tyle dobrze, by użyć karabinu.

Polegając na systemie autocelowania, a nie na własnych, wciąż być może lekko drżących dłoniach, wymierzył w najbliższego żołnierza Cerberusa i strzelił.

Z tej odległości kule szybko rozprawiły się z tarczami wroga. Bariery kinetyczne wytrzymały na tyle długo, by komandos zdążył odwrócić się do Hendla, ale nie udało mu się już podnieść broni i odpowiedzieć ogniem.

Drugi żołnierz wycelował w Hendla w chwili, gdy pierwszy padał na ziemię, szef ochrony musiał schować się za ciężkim biurkiem. Pierwszy wystrzał wroga wyrwał kilka kawałków drewna, ale zasłona wytrzymała na tyle długo, by Hendel zdołał schronić się w magazynie.

Wystawił głowę przez drzwi, by odpowiedzieć ogniem, i zobaczył, że żołnierz Cerberusa może zostać wzięty w krzyżowy ogień. Hendel zaczął

strzelać, tak samo jak quarianie schodzący po schodach z pokładu wyżej. Otoczony z obu stron żołnierz nie przetrwał nawet trzech sekund.

– To ja, Hendel! – krzyknął szef ochrony z magazynu, nie chcąc pojawiać się znienacka w obawie, że zostanie postrzelony.

– Hendel! – usłyszał Lemma. – Żyjesz!

Wyszedł z magazynu i zręcznie pokonał przewrócone biurko. Lemm, Mal i czterej inni quarianie stali u stóp schodów.

– Czy to ostatni? – zapytał Hendel, wskazując na leżących na ziemi żołnierzy Cerberusa. Uznał, że walka się skończyła, bo nie słyszał więcej strzałów.

– Mógł zostać jeden czy dwóch – odparł kapitan – ukryci na „Cyniadzie”.

– Mieli nas jak na widelcu, a potem nagle zaczęli odwrót – dodał Lemm.

– Dlaczego mieliby... – Hendel urwał gwałtownie. – Gdzie Kahlee? Gdzie Gillian?

Nikt nie odpowiedział.

– Cerberus ją ma! – krzyknął Hendel. – Dlatego się wycofują!

Cała grupa biegiem ruszyła do doków.

* * *

– Mam ją zastrzelić? – zapytał Golo.

Grayson spojrzał na ubraną w kombinezon Kahlee, wciąż leżącą twarzą do ziemi. Quarianin celował w tył jej głowy.

– Nie – powiedział. – Zostaw ją żywą. Jest ekspertem od konfiguracji wzmacniaczy biotycznych. Cerberus może skorzystać z jej pomocy przy nowym treningu Gillian.

– Nigdy nie będę pomagać w waszych chorych eksperymentach – warknęła Kahlee.

– Milcz – ostrzegł Golo, kopiąc ją mocno w żebra. Grayson się wzdrygnął.

Kahlee jęknęła i przetoczyła się na plecy, ściskając rękami obolały bok.

– Gillian cię za to znenawidzi – wydyszała ciężko. – Nigdy ci nie wybaczy.

Quarianin kopnął ją jeszcze raz, sprawiając, że podciągnęła kolana pod brodę, kuląc się w pozycji embrionalnej dla ochrony.

– Dość! – warknął Grayson.

– Jak możesz pozwalać im, by robili coś takiego twojej własnej córce? – zapytała przez zaciśnięte zęby Kahlee, wciąż zwijając się z bólu.

– Widziałaś wózek widłowy? – odparował Grayson. – Widziałaś, do czego jest zdolna Gillian? To wszystko dzięki temu, co zrobił Cerberus!

– Chcą ją zmienić w broń – odparła Kahlee, dysząc pod maską. Grayson podejrzewał, że kilka żeber miała złamanych. – Zmieniają ją w jakiegoś potwora.

– Zmieniają ją w zbawczynię rasy ludzkiej.

– Nie mamy na to czasu – ostrzegł Golo.

– Niszczą ją – prychnęła Kahlee. Jej słowa pełne były bólu i gniewu. – Te narkotyki pogarszają jej stan. Bez nich ma szansę na bycie prawie normalną!

Wspomnienie Gillian naprawdę go przytulającej przed wahadłowcem powróciło nieproszone do umysłu Graysona. Przypomniał sobie jej słowa i zaskakujący opór.

Musimy poczekać na moich przyjaciół. Bez nich nie leczę.

– Gillian była tu szczęśliwa – ciągnęła Kahlee. – Widziałeś ją kiedyś taką? Była naprawdę szczęśliwa!

– Zamknij się! – krzyknął Golo, kopiąc ją znowu.

Tym razem nie poprzestał na jednym kopniaku, ale bił ją, póki Grayson nie warknął:

– Dość! Wystarczy. To koniec.

Golo spojrział na niego, dysząc lekko ze zmęczenia, i wzruszył ramionami. Na podłodze Kahlee przetaczała się z boku na bok, jęcząc i szlochając pod hełmem.

Wzrok Graysona powędrował od niej do leżącej na łóżku Gillian. Była taka mała, krucha i bezbronna.

Zbawienie wymaga poświęceń, zdawał się słyszeć głos Człowieka Iluzji w swojej głowie. Jego myśli powędrowały ku zamęczonemu quarianinowi w piwnicy Pela.

Oceniajcie nas nie po naszych metodach, ale po celu, który chcemy osiągnąć.

– Czas nam się prawie skończył – przypomniał Golo. – Musimy odlatywać. Nie możemy czekać na pozostałych.

Graysona nagle uderzyło podobieństwo między quarianinem a jego byłym partnerem. Obaj byli sadystyczni i okrutni. Obaj nie mieli oporów przed torturowaniem czy zabijaniem innych dla korzyści osobistych.

I obaj zdradzili swoich ziomków. Mdlilo go, gdy pomyślał, z kim się sprzymierzył.

W imię większego dobra przyjmujemy na swoje barki straszliwy ciężar. To cena, jaką musimy zapłacić w imię sprawy.

– Włącz silniki i zabierz nas stąd – rozkazał Grayson.

Gdy quarianin się odwrócił, Grayson spokojnie pochylił się i podniósł pistolet, który Kahlee upuściła na podłogę. Stał za quarianinem i przyłożył lufę do jego hełmu, tak blisko, że bariery kinetyczne nie mogły zadziałać. A potem strzelił Golo w głowę. Kula przeszła przez hełm na wylot i wbiła się w poszycie wahadłowca.

Gdy quarianin upadł na ziemię, Grayson wypuścił pistolet z ręki. Odwrócił się i spojrział na Kahlee. Nie był w stanie odgadnąć, jakie myśli kłębią się pod jej maską.

– Statek, którym przylecieliśmy, jest pełen materiałów wybuchowych – powiedział. – Mamy dwie minuty, nim eksplodują i wyrwą wielką dziurę w „Idennie”. Jeśli mamy to powstrzymać, będę potrzebował twojej pomocy. Możesz iść? – zapytał, pochylając się i podając jej rękę, by pomóc wstać.

Zawahała się, nim chwyciła jego dłoń i z jękiem stanęła na nogi.

– Mogę cholernie próbować – odpowiedziała.

* * *

Hendel i quarianie biegiem wpadli do doków. „Cyniad” cumował w doku siódmym, daleko za pozostałymi statkami. Długie kroki byłego szefa ochrony sprawiły, że wysunął się na prowadzenie, ale pozostali dogonili go, gdy stanął jak wryty, widząc dwie osoby wychodzące ze śluzy doku trzeciego.

Kahlee, wciąż w kombinezonie ochronnym i Grayson w pancerzu Cerberusa wychodzili z wahadłowca. Kobieta jedną ręką wspierała się na ramieniu mężczyzny, a on zdawał się ją podtrzymywać, jakby sama nie była w stanie ustać. Żadne nie miało broni.

– Hendel! – krzyknęła Kahlee, ale urwała z jękiem i złapała się wolną ręką za bok.

– „Cyniad” – zawołał Grayson. – Statek w doku siódmym! Jest pełen materiałów wybuchowych!

Hendel, oszołomiony tym, co widział, mógł tylko potrząsnąć głową.

– Co się dzieje? Gdzie Gillian?

– Bezpieczna – odpowiedział pośpiesznie Grayson. – Ale musicie iść na „Cyniada”. Rozbroić bombę, zanim wybuchnie!

– O czym, do cholery, mówisz?

– Cerberus. Nie zamierzaliśmy uciec na „Cyniadzie”. Mieliśmy zabrać mój wahadłowiec. „Cyniad” jest pełen materiałów wybuchowych z zapalnikiem czasowym. Miały odwrócić uwagę podczas naszej ucieczki.

– Ile materiałów i ile czasu? – zapytał Hendel.

– Dwie minuty i dość, by wyrwać dziurę w kadłubie „Idenny”.

– Pilnujcie go! – powiedział Hendel, wskazując na Graysona, i odwrócił się w stronę doku siódmego.

– Czeka! – krzyknął Grayson, zatrzymując go w pół kroku. – To dualny system synchronicznego uzbrojenia. Potrzeba dwóch osób, by wprowadziły jednocześnie kod, inaczej wybuchnie.

– Jaki to kod? – zapytał Mal.

– Sześć dwa trzy dwa jeden dwa.

– Wszyscy pozostali mają się ewakuować z doków – rozkazał kapitan. Potem odwrócił się do Hendla.

– Chodźmy.

Dotarcie do śluzy zajęło im mniej niż trzydzieści sekund. Ciało Isli, Seeto i Uggho leżały tuż przed nią. Sama śluza była zamknięta.

– Czeka! – Mal złapał Hendla za ramię. – Co, jeśli to pułapka? Szef ochrony też o tym pomyślał.

– Musimy zaryzykować.

Otworzyli śluzę i wbiegli na pokład. W ładowni było dość materiałów wybuchowych, by wysadzić małą asteroidę. Co najmniej pięćdziesiąt pojemników płynnego paliwa raketowego, każdy sięgający Hendlowi do ramienia, stało na środku, połączone płataniną przewodów. Ze środka tego składu, z całkowicie niedostępnego miejsca, dochodziło rytmiczne *pip-pip-pip* timera.

– Znajdź przekaźnik! – krzyknął Hendel. Rozdzielili się, jeden okrążał beczki zgodnie z ruchem wskazówek zegara, drugi przeciwnie.

Hendel próbował zsynchronizować pikanie z wyimaginowanym zegarem w swoich myślach. Wedle jego oceny zostało im jakieś trzydzieści sekund, gdy wreszcie znalazł to, czego szukał: małą klawiaturę przymocowaną do jednego z pojemników. Dwa przewody biegły od niej do kabli owiniętych wokół materiałów wybuchowych. Hendel nie miał wątpliwości, że odłączenie jednego z nich odpali wszystko.

– Mam! – krzyknął Mai z drugiej strony stosu beczek.

– Ja też – zawołał Hendel. – Wprowadzamy kod na trzy? Raz... dwa... trzy!

Wbił liczby, wiedząc, że Mal ma tylko kilka sekund, by zrobić to samo. Jeśli nie zrobili tego jednocześnie, jeśli któryś z nich zawahał się albo pomylił, obaj wyparują.

Równe pikanie timera nagle zmieniło się w długi, przenikliwy gwizd. Hendel odruchowo zamknął oczy i przygotował się na wielkie bum...

Które nie nastąpiło.

Gwizd powoli cichł, a Hendel podniósł rękę, by otrzeć pot z czoła, ale tylko uderzył rękawicą o wizjer hełmu.

– Też mi sygnał akceptacji – burknął pod nosem. A potem zaczął się śmiać.

.25.

Po bitwie quarianie zaarrestowali Graysona. Przez niemal tydzień Admiralicja, Konklawe i cywilna rada „Idenny” debatowały nad jego losem.

Ocalił dziesiątki, może nawet setki istnień, ostrzegając ich o bombie. Ale Kahlee, tak jak i inni, wiedziała, że te życia były zagrożone z powodu tego, co zrobił. Miał na rękach krew. Ponad dwudziestu członków załogi „Idenny” zginęło podczas ataku, razem z jedenastoma żołnierzami Cerberusa i Golo, quariańskim zdrajcą. Straty były wysokie, ale mogły być jeszcze wyższe.

Mal rozumiał to i wziął pod uwagę przed wydaniem ostatecznego wyroku, co było jego prawem jako kapitana. Kahlee bała się, że konsekwencje spotkają też ją i Hendla. Do niczego by nie doszło, gdyby quarianie ich nie przyjęli. Jednak nie doceniła nacisku, jaki w quariańskiej kulturze kładziono na wspólnotę i załogę. Mal wyjaśnił jej, że zostali przyjęci jako goście. Stali się częścią rodziny „Idenny”. Nie miał zamiaru się ich teraz wyrzec i winić ich za działania Cerberusa.

W końcu kapitan zgodził się nawet, by Kahlee zabrała Graysona do Przymierza jako swojego więźnia, oddając im jego prom jako środek transportu. Lemm zgodził się być ich pilotem i pomóc w pilnowaniu jeńca.

Hendel i Gillian nie lecieli z nimi.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – spytała Hendla, gdy zegnali się w dokach.

– Gillian tego potrzebuje – powiedział. – Widziałas, jakie zrobiła postępy, odkąd tu przylecieliśmy. Nie wiem, czy to statek, kombinezon czy

brak narkotyków... wiem tylko, że na „Idennie” jest szczęśliwa. I niedługo będzie poza zasięgiem Cerberusa – dodał po chwili.

Kahlee skinęła głową, godząc się z tym, że nie skłoni go do zmiany zdania.

Wiadomość o ataku wroga wewnątrz Wędrownej Floty dogłębnie wstrząsnęła quariańskim społeczeństwem. Stanąwszy w obliczu szokującego odkrycia, że nawet wewnątrz flotyli nie są bezpieczni, większość kapitanów zmieniła poglądy na temat wysłania statków odkrywczych na długie misje w głąb Galaktyki.

Konklawe zażarcie debatowało nad tą sprawą, ale ostatecznie ci popierający podróżę, jak Mal, uzyskali większość. Admiralicja mogła odrzucić postanowienie Konklawe, ale jej członkowie też zmienili poglądy. Przystali na tę decyzję, choć wprowadzili obostrzenia na temat tego, ile statków i kiedy może polecieć.

Nie było zaskoczeniem, że „Idenna” została wybrana jako jedna z pierwszych. Za trzy tygodnie miała polecieć przez niedawno aktywowany przekaźnik masy do niezamieszkałego systemu, zmierzając ku niezbadanym częściom kosmosu. Już teraz uzupełniano ją o nową technologię mającą pozwolić jej przetrwać pięć lat bez kontaktu ze światem zewnętrznym i bez dostępu do zewnętrznych zasobów. Żeby jednak taka podróż była możliwa, załogę trzeba było zmniejszyć z siedmiuset osób do ponad pięćdziesięciu, wszystkich wybranych osobiście przez Mala.

Kapitan już wydał Hendlowi i Gillian pozwolenie na podróż.

– Naprawdę myślisz, że za pięć lat Cerberus nie będzie jej już szukał? – zapytała Kahlee.

Hendel wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale przynajmniej będzie miała szansę dojrzeć, nim będzie musiała stawić im znowu czoła.

Zerknął na wahadłowiec, gdzie Gillian zegnała się właśnie z ojcem. Hendel sprzeciwił się zostawieniu ich sam na sam, ale Kahlee go przekonała. Grayson zasługiwał chociaż na to.

– Jak myślisz, co on jej teraz mówi? – zastanowił się olbrzym.

– Nie wiem.

Nie była w stanie sobie wyobrazić, przez co przechodzi Grayson. Wszystko, co zrobił w swoim dorosłym życiu – każde działanie, każda podjęta decyzja – było dokonywane w służbie Cerberusa i jego tak zwanej wielkiej i chwalebnej sprawy. Ale w końcu przedłożył swoją córkę nad mgliste ideały. Niestety, taki wybór oznaczał, że Gillian nie będzie mogła z nim zostać.

– Co powiesz Gillian, jeśli o niego zapyta? – zapytała Hendla.

– Prawdę – odpowiedział. – Jej ojciec jest skomplikowanym człowiekiem. Popełnił kilka błędów. Ale bardzo ją kocha i chce dla niej jak najlepiej. I w końcu zrobił to, co należy.

Kahlee skinęła głową, a potem objęła Hendla.

– Uważajcie na siebie – szepnęła.

– Będziemy.

Odsunęli się od siebie, gdy usłyszeli znajome kroki Lemma.

– Gotowa do drogi? – zapytał Kahlee.

Kahlee wiedziała, że quarianin chciał zawieźć ją i Graysona do najbliższej kolonii Przymierza i wrócić do „Idenny” na czas. Tak jak Hendel i Gillian, on też został przez Mała wybrany do wzięcia udziału w tej niebezpiecznej misji.

Pożegnała się już z Gillian i choć serce ją bolało, gdy rozdzielała Graysona z córką, nadszedł czas odlotu.

– Gotowa – odpowiedziała.

* * *

Brakowało im już tylko kilku godzin do wyjścia z prędkości światła w pobliżu Cuervo, najbliższej kolonii Przymierza. Lemm już zaprogramował system nawigacyjny na cel, a Kahlee wysłała wiadomość. Gdy wylądują, będzie na nich czekał patrol ochrony, by zaarrestować Graysona.

Quarianin ucinał sobie krótką drzemkę w sypialni, a Kahlee i Grayson siedzieli twarzami do siebie w kabinie pasażerskiej. Skute kajdankami ręce Grayson trzymał na podołku. Dla bezpieczeństwa Kahlee miała z sobą pistolet i ogłuszacz, na wypadek gdyby więźniowi się coś odwidziało.

Widziała, że zaczynał się bać. Jego wzrok wędrował po kabinie, jakby szukając możliwości ucieczki, palce przebierały nerwowo.

– Wiesz, że to dla mnie wyrok śmierci – powiedział.

– Przymierze cię ochroni – zapewniła go Kahlee. – Masz cenne informacje o Cerberusie. Będą chcieli utrzymać cię przy życiu.

– Nie mogą mnie ochronić. – Grayson pokręcił głową. – To może potrwać miesiąc, może nawet rok, ale wcześniej czy później któryś z ich agentów w Przymierzu mnie dopadnie.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytała Kahlee. – Nie mogę cię wypuścić.

– Nie – powiedział miękko. – Chyba nie możesz.

– Musiałeś wiedzieć, że tak będzie – powiedziała. – Ale mimo to nam pomogłeś. Myślę, że chciałeś odpokutować za swoją przeszłość.

– Wolę myśleć, że mógłbym odpokutować, nie umierając. – Uśmiechnął się ponuro.

– Pamiętaj, dlaczego to robisz – Kahlee próbowała podnieść go na duchu. – Dla Gillian.

Wspomnienie córki wywołało uśmiech na jego cienkich wargach.

– Miałaś rację – powiedział. – W tym, co mi powiedziałaś, zanim zabiłem Golo. Gillian jest teraz szczęśliwa. Chyba tylko to się liczy.

Kahlee skinęła głową.

– Zrobiłeś to, co...

Jej słowa zostały przerwane, gdy Grayson nagle się na nią rzucił. Poruszał się szybko jak wąż, uderzając głową w jej odsłonięty nos. Kahlee uchyliła się w ostatniej chwili i oberwała w ramię.

Jego ciężar spoczywał na niej, przyszpilając ją do fotela. Skute kajdankami dłonie próbowały ją schwycić, póki nie wbiła czubków usztywnionych palców w jego tchawicę.

Walcząc o oddech i krztusząc się, spadł z fotela i zwinął się w kłębek na podłodze. Kahlee poderwała się z miejsca i stanęła nad nim, napinając mięśnie, na wypadek gdyby znowu ją zaatakował.

– Spróbuj raz jeszcze, to cię zastrzelę – ostrzegła, choć bez prawdziwej groźby w głosie.

Serce waliło jej jak młotem, a w żyłach buzowała adrenalina, ale krzywdy jej nie zrobił. Spodziewała się czegoś takiego, Grayson robił się zdesperowany. Jeśli kogoś mogła winić, to tylko siebie, że nie zauważyła, że on wciąż stanowi zagrożenie.

– No dalej – powiedziała łagodniej, cofając się o krok. – Nie zrobiłam ci dużej krzywdy. Wstawaj.

Przetoczył się na bok i Kahlee zorientowała się, że trzyma coś we wciąż skutych dłoniach. Potrwało sekundę, nim zrozumiała, że to ogłuszacz – musiał jej go zabrać podczas szarpaniny!

Próbowała krzyknąć, by ostrzec Lemmę, ale Grayson wystrzelił i wszystko pokryła czerń.

Kiedy się obudziła, stał nad nią zmartwiony Lemm. Zorientowała się, że leży na koi wahadłowca, ale wystrzał z ogłuszacza sprawił, że wciąż była zdezorientowana i zagubiona.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, próbując wstać.

- Na Daleonie – odpowiedział Lemm. – To mała voluska kolonia.
- Myślałam, że mieliśmy lądować na Cuervo – powiedziała, podczas gdy jej otumaniony umysł próbował razem poskładać kawałki.
Lemm wzruszył ramionami.
- Wiem tylko, że ktoś mnie ogłuszył. Kiedy się ocknąłem, byliśmy tu, w porcie na Daleonie.
- Gdzie Grayson? Co z Graysonem?
- Znikł – odparł Lemm. – Możemy go poszukać, jeśli chcesz. Może wciąż jest na Daleonie.
Kahlee pokręciła głową, zdając sobie sprawę, co się stało.
- Już dawno go nie ma. Nigdy go nie znajdziemy.
- Co teraz? – zapytał quarianin.
- Bierz wahadłowiec i wracaj na „Idennę” – powiedziała. – Czekają cię przygotowania do podróży.
- A ty?
- Podrzucić mnie po drodze do Akademii Grissoma – powiedziała. – W Projekcie Podniesienie wciąż jest wiele dzieci, które potrzebują mojej pomocy. – Uśmiechając się, dodała: – Jestem pewna, że dam radę przekonać zarząd, by przyjął mnie z powrotem.

EPILOG

Ekran widu zapiszczał, sygnalizując nadchodzącą wiadomość. Człowiek Iluzja podniósł głowę znad raportu, który przeglądał, siedząc przy biurku, i zauważył, że połączenie pochodzi z bezpiecznej linii.

– Przyjmij – powiedział i na ekranie pojawił się Paul Grayson.

Człowiek Iluzja zamrugał, lekko zaskoczony. Założył, że misja zinfiltrowania quariańskiej flotyli była klęską, bo minęły dwa tygodnie i nikt się do niego nie odezwał. W przypadku większości misji Cerberusa otrzymywał codzienne raporty, po prostu oglądając wiadomości, ale media nigdy nie relacjonowały tego, co działo się wewnątrz Wędrownej Floty, więc i on nic na ten temat nie wiedział.

– Paul – powiedział, przechylając lekko głowę. – Czy odzyskano nasz atut?

– Ona ma na imię Gillian – odpowiedział mężczyzna. Nawet nie starał się zamaskować wrogości w swoim głosie.

– Gillian zatem – ciągnął lodowatym tonem Człowiek Iluzja. – Co stało się podczas misji?

– Zespół nie żyje. Wszyscy. Golo.

– Poza tobą.

– Jestem jak martwy – odparł Grayson. – Jestem teraz duchem. Nie znajdziesz mnie.

– A co z twoją córką? – zapytał Człowiek Iluzja. – Jak długo będzie w stanie prowadzić życie zbiega? To nie dla niej. Przyrowadź ją, Paul, to porozmawiamy o tym, co jest dla Gillian najlepsze.

Grayson roześmiał się.

– Nawet jej ze mną nie ma. Jest na quariańskim statku zwiadowczym w środku jakiegoś nieznanego systemu poza granicami Galaktyki. Nigdy jej nie znajdziesz.

Szczęki Człowieka Iluzji zacisnęły się lekko, gdy zrozumiał, że dziewczynka jest poza jego zasięgiem. Sam fakt, że Grayson bez wahania podał mu te informacje, dowodził ich bezużyteczności. Nie było wątpliwości, że mała biotyczka jest nie do wytropienia. Człowiek Iluzja opierał się na sieci informatorów Cerberusa w przestrzeni Rady i w Układach Terminusa. Poza nimi był ślepy.

– Paul, myślałem, że jesteś oddany sprawie.

– Byłem – odparł Grayson. – A potem zobaczyłem, jacy ludzie dzielą twoją wizję, i zmieniłem zdanie.

Człowiek Iluzja prychnął.

– Paul, zajmuję się ratowaniem życia. Ludzkiego życia. Kiedyś to rozumiałeś. A wygląda na to, że nagle zacząłeś dbać o zbawienie swojej duszy.

– Myślę, że mojej duszy nie da się już zbawić.

– Więc czemu dzwonicz? – w słowa Człowieka Iluzji wkradła się nutka frustracji.

– By dać ci ostrzeżenie – padło z ekranu. – Trzymaj się z dala od Kahlee Sanders. Jeśli będziesz ją ścigał, powiem Przymierzu wszystko, co wiem.

Człowiek Iluzja uważnie przyjrzał się obrazowi na widzie. Znajome oznaki tego, że Grayson używa czerwonego piasku – przekrwione źrenice, lekki połysk na zębach – zniknęły bezpowrotnie. Człowiek Iluzja zrozumiał, że mężczyzna nie blefuje.

– Dlaczego jest tyle dla ciebie warta?

– Czy to ważne? – odparował Grayson. – Dla ciebie nie jest warta nic. Nic w porównaniu z wszystkimi małymi brudnymi sekrecikami, które ja

znam. Sądę, że moje milczenie w zamian za jej bezpieczeństwo to korzystna oferta.

– Paul, znajdziemy cię – obiecał złowrogim szeptem Człowiek Iluzja.

– Może – przyznał Grayson. – Ale nie dlatego zadzwoniłem. Jeśli chodzi o Kahlee Sanders – umowa stoi?

Po rozważeniu oferty Człowiek Iluzja skinął głową. Strata Gillian opóźni ich badania biotyczne o dekadę, ale Cerberus miał zbyt wiele innych przedsięwzięć, by ryzykować wszystko. Na ekranie Grayson się uśmiechnął. Chwilę później wid pociemniał, gdy rozmowa została zakończona.

Człowiek Iluzja nie kłopotał się próbą namierzenia połączenia – Grayson był zbyt sprytny, by wpaść na coś takim. Zamiast tego Człowiek długo, bardzo długo wpatrywał się w ciemny ekran, zaciskając zęby.

KONIEC TOMU DRUGIEGO